











**HELENA.**

HELEN A.

Edycja oryginalna IBL

# HELENA,

POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA

TEOD. J. JEŻA.

T O M II.

INSTITUT

ADAM MICKIEWICZ I PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-900 Warszawa

Tel. 26-68-68, 26-52-31 w. 42

POZNAŃ.

Nakładem Mieczysława Leitgebra.

WARSZAWA.

Gebethner i Wolff.

L W Ó W.

K. Wild.

1869.



Дозволено Цензурою.

Варшава, (11) Іюня 1869 г.

Czcionkami J. Ungra, w Warszawie.

Bez najmniejszego już wypadku jechał sędzia Brodecki dalej i zatrzymał się na nocleg w Sewerynowce, pomimo że tego samego jeszcze dnia mógłby, gdyby chciał, do Odessy zaciągnąć. Ale chodziło mu o to, ażeby dziewczętom pokazać niespodzianie morze. Więc podnocował i nazajutrz o świcie ruszył dalej. Około południa rozległ się w powozie okrzyk: — Morze!.. morze!..

Wydała go Bronisia, która nie mogła powstrzymać uniesienia na widok tej masy wody, służącej jako skalista podłoga dla niebieskiego sklepienia. I panna Helena wyjrzała oknem i zatrzymała na chwilę wzrok na niewidzianym nigdy w życiu widoku, który wszakże nie wywarł na niej nadzwyczajnego wrażenia.

— Spodziewałam się czego innego— rzekła i usunęła się w głąb powozu.

Podzielałam zdanie panny Heleny. Na niewidziane morze jest daleko piękniejszém niż w rzeczywistości. Wyobraźnia przedstawia sobie bezmiar i nie znajduje go. Oko nie ginie w dali bez granicy. Granica rozciąga się tuż przed okiem, twarda, wyraźna, a przekroczyć jej nie sposób, chyba myślą. Ale do tego rodzaju przekraczania granic nie potrzeba widoku morza. Dość spojrzeć w górę, na niebo i zapytać błękitu o tajemnice.

Bronisia była w zachwyceniu, panna Helena milcząca i zamyślona. Sędzia, który w Sewerynówce wsiadł do powozu, tłumaczył córce fizyczne właściwości widoku.

— Widzisz tam, hen, coś białego, niby szczyt wieży z wody wyskakujący?..

Bronisia szukała okiem w kierunku ojcowskiego palca.

— Widzę!—zawołała.

— Zgadnij co to...

Dzięwczę nie umiało na zapytanie odpowiedzieć.

— To żagiel— podpowiedział sędzia błędzącej w domysłach.—Widzisz żagiel, ale nie



widzisz okrętu... To dowód, że ziemia jest okrągłą...

Widok morza każdemu z naszych podróżników inną jakąś myśl do głowy nasunął. Tomasz myślał o grobli, którąby należało usypać, żeby przecie i powozem można było przez morze jechać. Powiedział o tém półgłosem Prochorowi.

— Gdzież można taką wielką sypać groblę!—odrzekł ten ostatni.

— Et... A nie widziałeś w Ostrożanach?..

— Taki bo ostrożański staw chyba mniejszy...

— Nie mówię że większy, ale przecie... gdyby nie grobla, to trzebaby jeździć czółnami... A czółno to okręt, tylko mniejszy, tak samo jak staw to morze, tylko mniejsze... O... rozumiesz?..

— Czemuż nie miałbym rozumieć?..

— Dlaczegoż ludzie nie jeżdżą przez staw czółnami, tylko groblą?—zapytał Tomasz.

— Dlatego widać, że im z tém wygodniej...

— Otóż widzisz, to i na morzu wygodniej byłoby z groblą... Trzebaby tylko usypać ją większą o tyle, o ile okręt większym jest od czółna...

— Gdyby można, to ludzie dawnoby już u-  
sypali—zauważył Prochor.

— Ludzie... o, ludzie!—zawołał Tomasz.—  
Czemuż twoi ludzie, kiedy oni tacy mądrzy,  
nie postawili kładki na potoku, co u nas poni-  
żej wsi przepływa?... Świat głupi, mój Procho-  
rze... ot co jest...

Podniósł bat, wywinął nim w powietrzu i hu-  
knął na konie:

— Wio... ho!..

A Prochor myślał sobie:

— To prawda... świat głupi... Ot, nazwali  
to morze czarnem, a ono nie czarne, tylko si-  
ne, niby farbka, kiedy nią kobieta wodę w ba-  
lii do prania bielizny zaprawi... Czy oni pośle-  
pli, czy co?... Gdzież to morze jest czarnem?!

I kołysząc się na koźle, wyobrażał sobie ko-  
łysankę na siniej fali, gdyby człek mógł się na  
nią puścić, żaglem uskrzydłony. W kozaczéj  
piersi coś niby grało, na wtór muzyce wioną-  
céj z morza, coś niby śpiewało:

— Hej, falo... sina falo...

Radby pomknąć wierzchem fali, daleko, da-  
leko, aż tam gdzie się niebo z morzem styka—  
przebić tę granicę i z za niej powrócić z ręką-  
mi pełnemi darów—i złożyć te dary u stóp...

Splunął Prochor i na wiatr zaklął...

Herszko myślał, jakby to dobrze było, gdyby wziąć morze w arendę i spuścić. Co ryby! co raków!—a prócz ryby i raków, ileby to gotówki można na dnie znaleźć! Człek zrobiłby majątek odrazu, założyłby sobie w Ładyżynie bławatny sklep i dawałby na kredyt i siedziałby spokojnie.

Zamyślił się głęboko i westchnął. Gdyby do wielkiego przyszedł majątku, musiałby zaprzestać być faktorem—a to tak miło usługiwać ludziom!—Wiedzieć należy, iż pojęcie „ludzie“ ześrodkowało się u niego w jednej istocie, a tą istotą była panna Helena.

— Któżby jej faktorował, gdybym ja pilnował bławatnego sklepu?..

Sędzia myślał o pszenicy wędrującej za morze; Bronisia o koralach i muszlach, tających się w jego głębinach. Każde w swoim sposobie snuło tkaninę myśli, której punktem wychodnim było morze. Jedna tylko panna Helena o czem inném myślała; ona mówiła sobie w duchu:

— Sądzę że niesłusznie chrystyanizm wyklucza przeznaczenie... Ciekawam jak wytłumaczyć to spotkanie w stepie z tym człowie-

kciem?.. Co go zesłało: Opatrzność czy przeznaczenie?.. Radabym to sobie wytłumaczyć... Czy to ma się skończyć na tém, że Opatrzność chciała, ażebyśmy nie szli spać bez herbaty? czy też przeznaczenie sprowadziło tego człowieka, o którym się mi w życiu ani śniło?.. a jeżeli sprowadziło, to na co?..

Dla sędziego, dla Bronisi, dla całej służby, wypadek ten był prostym następstwem burzy; dla jednej panny Heleny nie był następstwem, ale przyczyną, a przyczyna stała się zagadnieniem, nad rozwiązaniem którego łamała sobie głowę.

Nie było o czém myśleć—ona sama to uznawała—a jednakże myślała. Tylko z jej myślenia usuniętą była całkowicie strona poetyczna. Panna Helena nie roiała, jak na jej miejscu dziewięć dziesiątych zrobiłoby panien, ale ów wypadek—zesłanie przeznaczenia czy Opatrzności—wprawiała w ramy własnego losu, zapytując sama siebie:

— Czy się to na co przyda?..

Właściwością jej było, iż się zapatrywała na rzeczy ze strony praktycznej—ważyła przydatność zdarzeń, w celu którego sobie jasno nie postawiła. Jasném tylko było dla niej pragnie-

nie wydobyć się z ciasnej sfery wioskowej na szerokie jakieś pole, gdzie mogłaby zużytkować zasoby nagromadzone w jej umyśle, który pokazywał jej świat w zagadkowej dali, pełen ponętnej uroczości. Jak się w tę dal dostać?.. Jakim sposobem pozbyć się opieki wuja i ciotki?—oto co było myśli jej treścią. Myślała o tem oddawna—w Sabinowie i wszędzie—i na drodze do Odessy—i w obec tego połyskującego szklistym odbłaskiem morza, które się roztaczało na lewo i coraz to w większej występowało majestatyczności. Chowało się niekiedy za gruntu załomami, znów się pokazywało i znów się chowało—aż nakoniec wszystkie załomy znikły i sędzia, wyciągając rękę, rzekł do córki:

— Widzisz tam, jak niby las w jesieni, pełno bezlistnych żerdzi ~~sterczy~~ do góry?

— Widzę, tatku—odpowiedziało dziewczę.

— To okręty w porcie... Dojeżdżamy już do miasta...

Bronisia wyteżyła wzrok, przypatrując się z całą potęgą ciekawości, a sędzia krzyknął na furmana:

— Tomaszu! ściągnij lejce krótko, jedź ostrożnie i uważnie, a trzymaj się prawej strony!..



— Hooo!.. huknął Tomasz, zbierając lejce. Przejechali przez roгатkę.

Odessa w owych czasach dopiero się wykluwała z jajka. Więcej posiadała zbożowych magazynów, niż kamienic, a domy chowały się w głębi obszernych podwórz. Grunt nie sprzedawał się jeszcze na piędzie, nie mierzył na łokcie i cale. W mieście było dużo powietrza, ale nie było jeszcze tych wygod, jakie się nagromadziły później i zrobiły z Odessy czarnomorską Marsylią. W owych czasach cechą która ją odznaczała, była cudzoziemskość. Fundamenta jej wzrostu założyli Grecy i Włosi; przewaga jednakże była po stronie żywiołu włoskiego, który stale, od niepamiętnych czasów, dzierży berło handlu na wybrzeżach mórz śródziemnych, pośredniczących pomiędzy częściami starego świata... Pochodzi to zapewne ztąd, że jest to żywioł mocniejszy wewnętrzną swoją wartością, która to sprawiła, że czém na lądzie stałym jest język francuzki, tém w handlu śródziemno-morskim stał się włoski. Handlarze odescy, konstantynopolscy, saloniccy, smyrneńscy, bajrutscy, aleksandryjscy, marsylscy, Grecy, Ormianie, Lewantyńcy, Francuzi, Anglicy, porozumiewają się po włosku, je-



dzą *maccaroni neapolitani* i śpiewają arye z oper Belliniego, Donizettego, Verdiego, których się uczą, słuchając oper włoskich. Bo z Włochami krok w krok nieodstępnie chodzi i opera, która ich nie odstąpiła i w Odessie. Równocześnie prawie powstały: pierwszy komtuar i teatr. Po nich dopiero przyszła kolej na świątynie, szkoły i miejski komfort.

W epoce naszej powieści Odessa posiadała komtuary i teatr, lecz nie posiadała jeszcze komfortu, nie miała pysznych hotelów, ani wytwornych restauracyj, ani doskonałych cukierni. Podróżni dobrze wychodzili, nie spuszczać się na miejskie wygody. Kto o wygodach sam pomyślał, ten je miał, kto zaś nie myślał, ten musiał sypiać w podejrzaną czystości pościeli, jadać w lokandach z narażeniem się na żgagę i na przekąskę kupować wschodnie specyały, hałwy i rahatłukumy, do których potrzeba żołądka *ad hoc* organizowanego. Nasi podróżni nie potrzebowali uciekać się do tych surogatów. Mieli z sobą wszystko, wyjąwszy surowych produktów, których podostatkiem miasto posiadało. Jedyną przeto troską było znalezienie pomieszkania.

Sędzia wziął się do tego w sposób praktykowany w Kijowie w czasie kontraktów. Dotarłszy do środka miasta, zatrzymał się i zawołał Herszka.

— Poszukajno mi zajazdu, tylko porządnego...

Herszkowi w to graj. Ruszył wprost ulicą ku morzu prowadzącą i począł szukać pomiędzy domami wychodzącemi frontem na morze. Niedługo szukał. Znalazł apartament o czterech pokojach z balkonem, kuchnią i stajnią, z wodą i meblami, ale bez pościeli i usługi, słowem taki, jaki był sędziemu potrzebny — zgodził się o cenę tygodniowo, dał zadatek i powrócił do sędziego, który tymczasem kurzył sobie spokojnie fajkę.

— A co? — zapytał, ujrawszy Herszka.

— Niech wielmożny pan każe jechać...

— Znalazłeś?..

— Cztery pokoje takie, że w nich i król mógłby mieszkać, kuchnia, stajnia, wozownia. woda, wszystko...

— I za to wszystko?..

— Piętnaście rubli na tydzień...

— Co? co?..

— Piętnaście rubli na tydzień...

— Czyś zwaryował!..

— Ha... to Odessa...

— Chociażby...

— Można znaleźć i taniiej, ale ja nawet tam nie szedłem, bo tamby wielmożny pan nie chciał panienek wprowadzać...

— Ależ piętnaście rubli!..

— Za co dobrego, trzeba dobrze zapłacić... Ja dałem zadatek, to jeżeli wielmożny pan nie zechce tam zajechać, mój zadatek przepadnie...

— Ileż dałeś?..

— Dziesięć rubli...

— Żal mi twoich dziesięciu rubli — rzekł sędzia — i dlatego zajadę, ale tylko na tydzień... Na drugi tydzień sam już poszukam sobie mieszkania...

— Kiedy ja wiem, że wielmożny pan będzie kontent...

Herszko, dając zadatek, zrobił *coup d'état*. Jemu chodziło o to, aby jaknajlepiej ulokować pannę Helenę i usłyszeć z jej ust podziękowanie i pochwałę. Dlatego, nie zważając na wysokość ceny, zaryzykował dziesięć rubli, będąc z góry przekonany, że sędzia nie zechce narażać go na stratę.

— Chwalić Boga — mówił ten ostatni —

mnie to nie zuboży, ale na drugi raz nie puszczę ciebie samego... Jedź, Tomaszu, za Herszkiem...

Herszko poszedł przodem, Tomasz zwrócił na lewo w ulicę Riszeliwską, potem na prawo i skręcił w podsień dużej, piętrowej kamienicy, wychodzącej na ulicę, wzdłuż której zakładały się podówczas bulwary, mające później, wraz ze wspaniałymi schodami i posągami Riszeliwego, stać się jedną z najpiękniejszych ozdób Odessy.

Panna Helena, wszedłszy do apartamentu, obejrzała go i rzekła do stojącego przy progu Herszka:

— Dziękuję ci, mój Herszku...

— O... ja wiedziałem że panienska Herszkowi podziękuje...

— Śliczne mieszkanie!..

— Tylko trochę słone — wtrącił sędzia.

— Co tam, wujaszku!.. Mała różnica ceny pociąga za sobą wielką różnicę wygod, a jestem tego zdania, że lepiej trochę drożej zapłacić i zamieszkać w takich pokojach jak oto te, wysokich, obszernych i z gustem urzędowanych...

Rzeczywiście, było to mieszkanie, nawet jak na taką cenę, niedrogie. Apartament składał się z czterech pokoiów i miał trzy wejścia, z których środkowe prowadziło do salonu, a poboczne do pomniejszych izb, mogących służyć jako sypialnie. Jedna z tych izb była osobno, a dwie łączyły się ze sobą. W każdej stało wygodne łóżko, kanapa, komoda, szafy, krzesła, gotowalnia; w salonie kanapy, fotele, szesła, kozety, okrągłe stoły; na ścianach wisiały duże zwierciadła, na przysłoniętych żaluzjami oknach ciężkie firanki, miękki kobierzec okrywał podłogę, w kątach stały kolumny z urnami. Tylko jednego brakło i tego braku dostrzegła jedna Bronisia:

— Gdybyż to jeszcze wazony z kwiatkami!..

— I kłatki z ptaszkami — dodała z przekąsnym uśmiechem panna Helena.

Kwiatków i ptaszków nie było, ale zresztą niczego nie brakło.

Panna Helena zajęła pokój osobny, komunikujący się z salonem, sędzia ulokował się przez sieni, a dla Bronisi pozostał pokoik w rogu, z którego wyjście było albo przez salon, albo przez sypialnię sędziego. Jój mieszkanie miało tę wielką dogodność, że wychodziło na



ulicę i z okna przedstawiało pyszny widok na morze i port.

Podczas kiedy furmani wyprzęgali konie, a Prochor i Hanka znosili tłumoki i walizy, sędzia dawał dyspozycje Herszkowi.

— Trzeba żebyś się rozglądnał po mieście i rozpytał, żebyśmy sprawy nie pokpili, bo śmieliby się z nas ludzie... Nasza pszenica dobrze jest wagi i dobrze wyczyszczona, to powinna w dobrej pójść cenie... Byle trafić na kupca, co cały zabierze transport...

Herszko znał odeski grunt, wiedział gdzie uderzyć i jak się wziąć do rzeczy. Wysłuchał więc dyspozycyję sędziego, w przekonaniu że sędzia mógł je wyrazić w krótkości, powiedziawszy:

— Herszku, sprzedaj mi pszenicę...

Wysłuchał jednakże z cierpliwością długiego wykładu o warunkach sprzedaży i ruszył na miasto. Sędzia zakurzył sobie fajkę. Panny poszły się przebiierać.

Po upływie półgodziny, do salonu weszła najprzód Bronisia, a po niej panna Helena, przebrana i wyświeżona.

— No — rzekł sędzia — jesteśmy tedy w Odessie... Cóż teraz robić?..



Panny nie umiały na to pytanie odpowiedzieć.

— Mojém zdaniem, trzebaby najprzód spocząć po podróży i od jutra dopiero rozpocząć używanie wielkiego miasta...

— Ach!.. czyż my tacy zmęczeni! — zawołała panna Helena. Ja myślę, że spoczynek odłożyć należy do Sabinowa, a w Odessie ani chwili czasu daremnie nie tracić...

Tego samego zdania była i Bronisia.

— Cóż przecie? — pytał sędzia. — Jakim to sposobem ani chwili czasu nie tracić, kiedy nie wiemy jeszcze od czego zacząć?..

— Od teatru, wujaszku—podchwyciła panna Helena. — Wujaszek chyba zapomniał, że Odessa posiada włoską operę...

Szlachcicowi nie chciało się opuszczać wygodnej kanapy, na której palenie fajki było przypomnieniem rajskiej rozkoszy. Perswadował więc jak mógł córce i siostrzenicy, że po podróży potrzebnym jest spoczynek.

— Cóż nam po tej operze, kiedy nie rozumiemy po włosku?.. Będziemy tam jak na niemieckim kazaniu...

— Niech wujaszek nie mówi tego naprzód... Pójdźmy pierwiej i zobaczymy, a potem dopię-

ro powiemy, czy opera jest niemieckim kazaniem... Mnie się zdaje, że jeżeli nie dla czego innego, to dla tego tylko żeby zobaczyć wielki świat, warto iść na operę...

— Wielki świat... hm — odparł sędzia — złożony z samych Włochów, z katarynkarzy we fraki ubranych... No, ale jeżeliście ciekawe tego wielkiego świata, to niema rady... Pójdziemy... Niechno tylko Herszko powróci...

Herszko z powrotem nie dał na siebie długo czekać. Nim zmrok zapadł, przyszedł ze sprawozdaniem bardzo pomyślnem, bo obiecującym sędziemu, po odliczeniu kosztów transportu, najmniej dwa złote na korcu więcej nad to, co byłby dostał, gdyby pszenicę sprzedał na miejscu. To wprawiło sędziego w złoty humor. Sam zaczął Herszka o operę.

— Wiesz ty gdzie tu teatr?..

— Jakżebym miał nie wiedzieć!.. Alboż to ja nie byłem w teatrze?..

— Idźże, dowiedz się czy dziś grają i kup nam bilety...

— Tylko do loży, Herszku — dorzuciła panna Helena.

— Już ja wiem gdzie dla państwa kupować... Nie trzeba mi o tem mówić... Ja idę so-

bie do raju, a państwo do łoży: to rzecz wiadoma...

— Spieszże się, mój Herszku... Dowiedz się o której początek...

Herszko wyszedł i wkrótce potem powrócił z biletami, afiszem i oznajmieniem, że początek o ósmej. Afisz zapowiadał Cyrulika sewilskiego.

— Cóż mi tam po tém — rzekł sędzia żartobliwie. — Chyba że cyrulik sewilski będzie strzygł i golił na scenie... Zobaczymy czy w Sewilli strzygą i golą tak samo jak w Ładyżynie...

Panny były zadowolone. Bronisia nie posiadała się z radości. Panna Helena radości nie objawiała głośno, lecz widoczném było że się cieszyła. Teatr nie był dla niej rzeczą nieznaną, ale małomiasteczkowy, humański i tuleczyński, na których wędrowni aktorowie grywali różne sztuki, ku wielkiemu niewybrędnj publiczności zadowoleniu. Lecz jój nie o sztukę chodziło. Ona chciała najprzód widzieć świat, następnie być przez świat widzianą. Scena w jój chceniu grała rolę podrzędną.

Widzieć i być widzianą: oto był jój tymczasowy cel. Inna na jój miejscu odrazu dałaby własną osobę na wystawę... Helena okazała

w tym względzie wielką wstrzemięźliwość. W łóży pierwsze miejsca ustąpiła sędziemu i Bronisi, a sama ukryła się w cień i z ukrycia baczném okiem śledziła wszystko, co się jej uwagi godném wydawało. Kiedy sędzia nad własne spodziewanie zajął się grą aktorów, kiedy się zachwycił śpiewem i śmiał do rozpuku ze sprytu golibrody, kiedy Bronisi duszyczka unosiła się na falach melodyi, ona studyowała toalety i sposób bycia pań i panów. Najdrobniejszy szczegół nie uchodził jej bacności. Badała ruchy i oczów rzuty. Odgadywała, podchwytywała tajemnice. Teatr stał się dla niej księgą, w której czytała, jak naturalista w przyrodzie.

Ciekawą byłoby rzeczą, gdyby w tej chwili zasiadł kto z boku i ją przedmiotem studyów uczynił. Mógłby to zrobić tylko bardzo biegły fizyognomista, i to z nadzwyczajną trudnością, bo ani jej oblicze, ani oczy nie zdradzały najmniejszego wzruszenia. Zimno, obojętnie przenosiła oko z przedmiotu na przedmiot i tylko raz na policzkach jej pokazało się lekkie, przelotne drgnienie, gdy do jednej z łóz wszedł nieznamy z nazwiska znajomy, z którym spotkali się na chersońskim stepie. Ten

znajomy usiadł obok bogato ustrojonej pani, pochylił się ku poręczy jej krzesła i coś jej do ucha szeptał. Pani odpowiadała półuśmiechami. Panna Helena oka z nich nie spuściła.

Nieznajomy kilka razy spojrział na łożę, zajmowaną przez pannę Helenę, lecz jej nie spostrzegł. Widocznie bawiło go zachwycenie sędziego i Bronisi.

Studjum teatralne powtórzyła panna Helena kilkakrotnie, robiąc z niego niejako kłębek, około którego nawinęła studjum toaletowe, a temu poświęciła cały czas poprzedzający wieczory. Chodziła po magazynach, rozpatrywała żurnale mód i konferowała z krawcami i modniarkami. Na zajęciach tych upłynęło jej kilka dni. Sędzia tymczasem sprzedał pszenicę, zrobił doskonały interes i był w jaknajlepszym humorze, posuniętym do tego stopnia, że oświadczył, iż pomimo drogłości pomieszkania, gotów jest zabawić tydzień dłużej w Odessie i ani razu teatru nie opuścić.

— Widzi wujaszek, przecie opera włoska podoba się wujaszкови...

— Tak samo jak śpiewanie ptaszków, których języka także nie rozumiem...



Spojrzał na zegarek i zobaczywszy że siódma godzina, dodał:

— No, ubierajcie się panny, żeby się nie spóźnić...

Ale pannie Helenie tym razem się nie spieszyło. Wybiła ósma. Sędzia kilka razy podchodził pod drzwi jej pokoju i wołał:

— Już czas... ósma minęła...

I zawsze odbierał jedną i tę samą odpowiedź:

— Natychmiast będę gotowa...

Sędzia mruzczał pod nosem:

— Z temi kobietami to zawsze tak... Zawsze człowiek musi się przez nie spóźnić... Tam przecie nie będą na nas czekali...

Nakoniec o dwadzieścia minut na dziewiątą panna Helena wyszła do salonu. Była świetną blaskiem toalety, która ją otoczyła jakby nimbem. Sam sędzia aż cofnął się przed nią i mimowolnie wydał okrzyk:

— .Aa!..

Panna Helena uśmiechnęła się i zapytała:

— Co wujaszkowski?..

— Gdybym był trochę młodszym i nie był twoim wujem, to palnąłbym ci komplement, od któregobyś raka upiekła...

— Cóż to za komplement taki straszny?..



— Nie powiem...

— Niech wujaszek powie...

— Nie ciągnijże mnie za język... Spieszmy się, bo już opera musiała się zacząć...

— To nic nie szkodzi — zauważyła panna Helena. — W operach najciekawszym jest zakończenie... Pierwszy akt można ze spokojnym opuścić sumieniem...

— Wczoraj byłaś innego zdania — odparł sędzia. — Ale spieszmy się, bo opuścimy dwa akty...

Kompliment, który sędziemu zawisł na języku, tyczył się toalety, której zaletą było że nie raziała i zarazem uderzała. Nie raziała, bo nie było w niej nic niewłaściwego; uderzała, bo dobraną była w sposób zdradzający wysoko wykształcony gust; kolory, krój, dodatkowe ozdoby łączyły się harmonijnie w ponętą całość, uwydatniając naturalną panny Heleny piękność. Nic tam nie było zbytecznego, ale też niczego nie brakło.

Pierwszy raz, od czasu bywania w teatrze, panna Helena zasiadła na widoku. Wejście jej wywarło pewne wrażenie. Z krzeseł i łóż skierowały się na nią lornetki. Panie przypatrywały się jej bardzo pilnie. Ona rzekomo nie

zwracała na to uwagi i niby nie widziała, jak nieznajomy znajomy przez cały drugi akt oka z niej nie spuszczał.

Zaledwie po zakończeniu drugiego aktu korytna zapadła, nieznajomy zjawił się w łoży sędziego.

— Myślałem—rzekł po przywitaniu, zwracając mowę do panny Heleny— że nie będę miał przyjemności oglądać pani...

— Przecież teatr, to wspólny grunt, na którym spotkanie się jest najpewniejszém — odparła.

— Ta pewność jednakże, po upływie sześciu dni, przestała być dla mnie nawet prawdopodobieństwem... Przez sześć dni napróżno zaglądałem do łoży wuja pani...

— Nie opuściłam ani jednego przedstawienia...

— Pani wzbudza mój podziw... Nie widziałem pani...

— Bo nie chciałam być widzianą...

— Przez kaprys?.. zapytał.

— Może—odrzekła panna Helena,— a może też miałam ważny powód...

Nieznajomy obejrzał ją od stóp do głowy, tak jednakże nieznacznie, że ona tego nie do-

strzegła i zapewne domyślił się powodu, bo zmienił rozmowę, zwracając ją nagle na Normę, którą właśnie przedstawiano.

Rozmowa trwała niedługo. Międzyakt się skończył i nieznajomy opuścił łożę.

— Chybaby go zaprosić na obiadek—rzekł sędzia.

— Niech wujaszek tego nie robi—podchwyciła panna Helena.

— Mam jeszcze kilka butelek miodu, który mu tak smakował...

Panna Helena zrobiła ustami wzgardliwy gest. W tej chwili koryta się podniosła. Sędzia syknął:

— Pst...

I całą uwagę zwrócił na scenę.

Panna Helena, wsparta od niechcienia łokciem o poręcz, utonęła w zamyśleniu. W krzesłach i po łożach pytano:

— Kto to?..

Manewr którego panna Helena użyła, powiódł się jęj doskonale. Była z siebie kontenta—i już się nie rwała na teatr. Nazajutrz po spotkaniu z nieznajomym nie poszła. Wymówiła się przed wujem bólem głowy. W następ-

nym dniu znów ją głowa bolała. Sędzia ją namawiał:

— Pójdź... rozerwiesz się... to cię głowa boleć przestanie...

— Nie mam, wujaszku, wielkiej ochoty...

— Czy cię już znudziła opera?..

— Nie... ale lękam się spowszednienia...

Odpowiedź ta była dwuznacznikiem. Sędziemu się wydało, że Helena nie chce ażeby jej teatr spowszedniał. Nie podzielał pod tym względem jej zdania, ale nie nalegał. Udał się do teatru z Bronisią, która za powrotem opowiadała Helenie, że nieznajomy pan był w łoży sędziego i o nią się dopytywał. Helena nic na to nie odpowiedziała i w ogólności ani z wujem, ani z kuzynką nigdy o nieznajomym nie mówiła. Ale zato miała rozmowę o nim z Herszkiem.

Podczas kiedy sędzia i Bronisia byli w teatrze, zawołała Herszka i w następujący przemówiła sposób.

— Czy ty mi sprzyjasz?..

Herszka zdziwiło to pytanie.

— Czy pannuńci sprzyjam?.. Kto pannuńci powiedział że ja nie sprzyjam?.. Niech pannuńcia spróbuje...

— Nikt mi nie mówił tego, mój Herszku, i ja się ciebie pytam właśnie dlatego, że twoje sprzyjanie chcę na próbę wystawić...

— Niech pannuńcia mi rozkaże pływać po morzu, jak kaczką...

— Tego po tobie nie będę wymagała, ale sekretu... Mam ci powierzyć jedną tajemnicę... Czy mi ją dochowasz?..

— Nie jedną, ale dziesięć...

— Posłuchajże mnie... Czy widziałeś ty tego pana, który przyjechał do nas na stepie podczas burzy?..

— Widziałem...

— Pamiętasz go?.. poznałbyś go?..

— Gdybym go zobaczył...

— On w Odessie... Nie wiem gdzie mieszka, ani jak się nazywa... Wiem tylko że bywa w teatrze. .

Herszko kiwnął głową, na znak że tego mu dość.

— Chciałabym się dowiedzieć co to za jeden... Dowiedz się o tém i powiedz mi.

Herszko się trochę zamyślił.

— Czy sądzisz że to tak trudno?..

— Myślę, jakby to zrobić najlepiej... Ale... już ja to zrobię...



Pogłaskał się po brodzie, jarmułką się skłonił, wyszedł i poszedł wprost do teatru. Ale do środka nie wchodził. Wybrał sobie miejsce pod jedną z kolumn krużganku, z pod której widać było oświetlone latarniami drzwi wchodowe, i stanął. I stał nieruchomie, z oczyma we drzwi wlepionemi, aż ujrzał kilka osób, które przed skończeniem snadź sztuki teatr opuszczaly. Pomiedzy niemi był mężczyzna w mundurze. Herszkowi oczy zaświeciły.

— To on, szepnął do siebie.

Grono wychodzących składało się z dwóch pań i dwóch panów. Panie i jeden z panów wsiedli do karęty. Karéta ruszyła. Drugi pan, ten właśnie który Herszka obchodził, poszedł piechotą. Herszko za nim.

Nietrudno mu przyszło wyśledzić mieszkanie nieznanego, które było w hotelu. Herszko, idąc za nim o kilka kroków, odprowadził go do hotelu, widział jak wszedł i słyszał jak na schodach krzyknął:

— Paweł!..

— Więc on mieszka tu, a jego służący nazywa się Paweł—powiedział sam do siebie.— Na dziś dość tych wiadomości, reszta jutro...



Nazajutrz równo ze świtem był już w hotelu, dopytując się o Pawła. Pytał stróża i garsonów—teń nie wiedział, ci zaspani odpowiedzieć nie chcieli. Aż nakoniec spotkał żołnierza i na chybił trafił zawołał na niego:

— Pawle!..

— A jakiego ci Pawła potrzeba?..

— Jakiegoż, jeżeli nie tego co na moje zawołanie odpowiada...

— A tobie co do Pawła?..

— Chciałbym się od niego dowiedzieć, czy nie zgubił czego na stepie...

— Kiedy?..

— Niedawno... Dni temu... sześć a trzy dziewięć, a jeden dziesięć... w nocy...

— Dni temu dziesięć, w nocy?.. odparł żołnierz powoli, robiąc taką minę, jakby coś sobie przypominał—ja z moim panem jechaliśmy pocztą z Bałty i burza nas zaskoczyła i nocować musieliśmy w stepie, obok jakichciś państwa co jechali kolaskami... Może się co tam i zgubiło. Jeżeliś znalazł, to oddaj...

— Ba, tak nie mogę oddać... Trzeba żebyś sobie przypomniął coś zgubił...

Żołnierz przypominał sobie, lecz napróżno.

Wymieniał kilka przedmiotów. Herszko za każdym wymienieniem odpowiadał:

— Nie...

— No, to chyba nie przypomnę sobie...

— Przypomnisz, ale trzeba żebyś dopomógł pamięci... Musisz być jeszcze na czczo...

— Kropli wody w ustach nie miałem...

— O kilka ztąd kroków jest szynk, a w tym szynku francuzka wódka... Gdybyś ze mną poszedł i wypił kilka kieliszków, toby ci zaraz w pamięci jaśniej się zrobiło...

— Zapłacisz?..

— Ta, kiedy proszę, to płacę...

Zołnierz nie był z tych, co się opierają podobnym pokusom. Bez wahania przystał na propozycją Herszka, tém chętniej, że na wspomnienie francuzkiej wódki poczuł jakąś w żołądku cikliwość, coś nakształt robaka, domagającego się zalania. Poszedł więc go zaléwać, zasiadł za stołem i za drugim kieliszkiem stał się otwartym, tém bardziej, że nie widział najmniejszej potrzeby nie odpowiadać na zapytania jakie mu Herszko zadawał. Odpowiedziawszy na wszystkie, nie bez pewnych dodatków, które sprytny Żyd umiał wysiać, jak kąkol z pszenicy, przypomniał sobie zgubę.

— No, cóż ty tam znalazłeś?..

— Zgadnij...

— Nie zgadnę... Ale pokaż... Jeżeli nasze, to powiem.

Herszko wydobył z kieszeni krótką drewnianą fajeczkę z mosiężnym okuciem i zapytał:

— Wasza?..

Żołnierz odpowiedział:

— Nie...

— Jeżeli nie wasza, to moja...

To rzekłszy, schował mniemaną zgubę do kieszeni, zapłacił za wódkę i, pożegnawszy żołnierza, który go na podziękowanie po ramieniu poklepał, udał się z raportem do panny Heleny. Nie będziemy go tu powtarzali. Czytelnik zna go lepiej niż Herszko, a od Herszka panna Helena. Nieznajomym był Oswald Dalman.

Imię to i nazwisko było dla Heleny brzmieniem bez znaczenia. Z opowiadania żołnierza, które jej dosłownie Herszko powtórzył, można było taki tylko sens wyciągnąć, że człowiek noszący to imię i nazwisko, jest dzieckiem ślepego trafu, który go rzucił w wir wielkiego świata. To jednakże ostatnie— „wielki świat“—

było informacją niezmierną dla naszej bohaterki doniosłości.

— Dziękuję ci, Herszku—rzekła i pożegnała faktora.

I pograżyła się w zamyśleniu.

Zamyślenie jej było tkanką rozumowania, rozpiętą na trzech danych: na imieniu i nazwisku, na stosunkach w wielkim świecie i na zewnątrzności Oswalda.

Imię i nazwisko nic wprawdzie nie mówiły, a przecie w brzmieniu tych dwóch wyrazów, razem zestawionych, było coś sympatycznego. Cóż ją ku nim pociągało—coś, czego sobie jasno wytłumaczyć, czemu jednakże oprzeć się nie mogła. Czuła tylko, że gdyby ten człowiek inaczej się nazywał, np. Gerwazy Protasiński, lub Protazy Gerwaziński—ten pociągby nie istniał. W tém-bo coś jest, nad czém warto ażeby się filozofowie zastanowili. Niechby nam, profanom, wytłumaczyli, dlaczego pewne nazwiska brzmią sympatycznie, inne wstrętne. Czy nie działa tu ta siła tajemnicza, która stworzyła wiarę w potęgę zaklęć, w magnetyzm mowy ludzkiej, w wszechskuteczność kilku zgłosek? Ta to zapewne potęga, ten magnetyzm, ta wszechskuteczność zawarta w czterech zgłoskach, Os-

wald Dal-man, wywarły na pannę Helenę taki wpływ, iż się jej podobał człowiek w owezgłowski, niby w gwiazdy, ubrany.

We względzie wielkiego świata, ów człowiek wydawał się jej czemś nakształt klucznika raj. Zadowolona więc była, chociaż z opowiadania Herszka wymiarkowała, że Oswald, wyjąwszy widoków i nadziei, zresztą nie posiadał nic.

Co się zaś jego zewnętrżności tyczy, to ta całkowicie ją ujmowała. Był to człowiek piękny, w całym znaczeniu tego wyrazu piękny, a przytęm dobrze ułożony. To ostatnie podobało się jej więcej niż piękność.

Na tych trzech danych oparła rozumowanie i snuła je przez cały poranek. I do dziwnego przyszła rezultatu—do rezultatu, który czytelnikom moim wyda się nieprawdopodobnym. A przecię opowiadam szczerą prawdę. Wezwała do siebie Herszka i następujący dała mu rozkaz:

— Pójdź do tego pana i poproś go, żeby przyszedł do mnie pomiędzy ósmą a dziewiętą...

Herszko osłupiał ze zdziwienia. Udał że nie słyszy.

— Co pannuńcia mówi?—zapytał.

Panna Helena powtórzyła rozkaz.



— Ale... jam tego jeszcze nigdy nie słyszał...

— Cóż widzisz w tém dziwnego?..

— Pomiedzy ósmą a dziewiątą pana nie będzie w domu...

— Właśnie dlatego chcę ażeby ten pan przyszedł...

— No, a jakże to będzie?..

— Potrzebuję z nim się rozmówić...

— Sama jedna?.. pannuńcia?.. z jakimś panem?.. A jakże to będzie wyglądało?.. A cóżby o tém ludzie powiedzieli?.. A czyż nie mógłby pierwszy lepszy w oczy mi plunąć, gdyby się dowiedział, że ja do pannuńci jakiegoś pana sprowadzałem?..

— Przecie mówiłeś że mi sprzyjasz — prze-rwała panna Helena.

— Mówilem i zawsze powiem... Ale...

— A nie chcesz zrobić tego, czego od ciebie żądam...

— Ja gotów wszystko zrobić... Ale...

— Ale nie ufasz mi... Tobie się zdaje, żeś zdolna popełnić co złego...

— Niechże mnie Pan Bóg broni, żeby mi się co podobnego zdawało!.. Tylko, gdyby się pan dowiedział...



— Wuj się dowie, jeżeli będzie potrzeba, jeżeli zaś nie będzie, to cała rzecz skończy się na tém, że z tym panem pomówię...

— A ja będę stał w sieniach — podchwycił Herszko.

— Stój, jeżeli się tobie podoba — odparła panna Helena z uśmiechem.

— Cóż mam mu powiedzieć?...

— Nic innego, tylko że go proszę pomiędzy ósmą a dziewiątą... Dodaj, że będę sama jedna...

— Hm, hm — mrucał Herszko przez nos, kręcąc głową i pejsy gładząc. — No, ale... czegożbym ja dla pannuńci nie zrobił!..

— Spraw się tylko dobrze, a podziękuję ci ślicznie, mój Herszku — rzekła panna Helena z przymileniem.

— Niech już pannuńcia będzie spokojna — odparł Żyd i w zamyśleniu wybrał się w drogę do hotelu.

Zamyślenie jego miało za treść pozór, pod jakimby można dostać się do Oswalda. Ale daremnie głowę nad tém łamał. Postanowił więc pójść wprost. Nietrudno mu było dopytać się o numer jego apartamentu, nietrudno po schodach dostać się na pierwsze piętro, z klucza

w zamku dowiedzieć się że pan w domu, ode-  
mknąć drzwi i wejść. Trudność zaczęła się do-  
pięro od wymówienia pierwszego wyrazu. Her-  
szko nie wiedział z jakiej beczki zacząć, zwa-  
szcza że Oswald, zobaczywszy przed sobą Żyda,  
a doznawszy zapewne po drodze natręctwa dzie-  
ci Izraela, groźnie zapytał:

— Ty tu poco?..

Herszko skłonił się mu jarmułką z całą ży-  
dowską szarmanterią, chrząknął, brodę pogła-  
dził i przybierając konfidencyjną minę, usta  
do mówienia otworzył.

Lecz usta jego nie wydały jeszcze głosu, kie-  
dy Oswald krzyknął na stojącego w przedpo-  
koju Pawła:

— Wyrzuć go za drzwi!..

Paweł nie dał sobie rozkazu dwa razy po-  
wtórzyć. Schwycił Herszka obiema rękami za  
ramiona, wykręcił nim na miejscu i wypchnął  
do przedpokoj.

W przedpokoju krótki, następującej treści,  
zawiązał się pomiędzy nimi dyalog.

— Puść mnie — rzekł opierający się Her-  
szko.

— Nie, najmilszy Żydzie... Wybiéraj się do  
czarta! — odpowiedział Paweł.

— Nie targaj mnie...

— Po jakiego licha ty tu wlałeś?.. Mój pan nie pija francuzkiej wódki...

— Chciałem z nim kilka słów pomówić...

— On do pomówienia nie taki ochoczy jak ja...

To rzekłszy, zamachnął nim, o drzwi uderzył aż odskoczyły i Herszko wypadł na korytarz. Jęknął, jarmułka mu spadła, laska znalazła się w jednym, czapka w drugim końcu korytarza. Podniósł się, skrzywił, głęboko westchnął, kilkakrotnie stęknął i kulejąc, począł podnosić z ziemi kolejno jarmułkę, czapkę i laskę.

Po takim traktamencie, każdy na miejscu Herszka uważałby swoją misją za skończoną i powróciłby z niczem. Herszko jednakże nie chciał, nie mógł z niczem wracać. Poczekawszy na korytarzu tak długo, ile potrzeba było czasu na to aby ból przeminął, zbliżył się do drzwi, otworzył i wszedł. Tym razem wszakże zatrzymał się w przedpokoju, w zamiarze wyrobienia sobie posłuchania za pośrednictwem Pawła.

— Ty znów tu?— rzekł ten ostatni, ujrawszy Herszka wchodzącego.

— Mam bardzo pilny do twego pana interes...

— To miéj go sobie...

— A nie mógłbyś ty panu powiedzieć?..

— Co?..

— Ze chciałbym z nim kilka słów pomówić...

— Powiedz ty sam...

— Każe znów wyrzucić...

— Cóż ci to szkodzi?..

Herszko przycisnął dłonią bok, żeby Pawłowi dać do poznania, że nie chciałby powtórnie tej części ciała narazić na rozbicie.

— Śmieję się z tego—odpowiedział Paweł.— Dziękuj Bogu, żeś mi kupił francuzkiej wódki... Tą wódką ująłeś mnie za serce... Bez tego zobaczyłbyś, jakbym cię był wyprowadził...

— Ja ci jeszcze kupię wódki, tylko mnie już tak nie wyprowadzaj...

— No... no — odparł Paweł tonem dobrotliwym.—Będę ja już wiedział, najdroższy, jak ciebie powtórnie wyprowadzić...

— A gdybyś ty powiedział swemu panu, że mam do niego bardzo ważny interes...

— A mnie co do tego... Idź sam i mów... Spróbuj, może nie każe cię wyrzucić...

Próba była niebezpieczną. Herszko się wa-

hał. Podchodził do drzwi na palcach, kładł rękę na klamce i odstępował,—znów podchodził i znów odstępował. Powtarzał to kilkakrotnie, a Paweł go zachęcał:

— No, śmiało... nie tchórz... Ej, co Żyd, to Żyd...

Nareszcie przycisnął klamkę i wszedł. Zaledwie drzwi za sobą zamknął, dał się słyszeć grzmiący rozkaz:

— Paweł! za drzwi z nim!...

Tym razem rozkaz wykonany został ze spętowaną gorliwością, skutkiem której Herszkowi krew ustami i nosem lunęła.

Postępując i pojękując, siedział posłaniec panny Heleny skulony na korytarzu, krew chustką tłumił i wzdychał.

Już miał misyą swoją za skończoną, chociażby dlatego tylko, że z rozbitą twarzą nie mógł się Oswaldowi prezentować. Bolał fizycznie i moralnie — fizycznie, z powodu kułaków i energii Pawła, moralnie, z powodu niepowodzenia w spełnieniu polecenia panny Heleny. Chrząkał i myślał o odwrocie, gdy nagle wyszedł Oswald.

Oswalda uderzyło widowisko, jakie Herszko



z siebie dawał. On go kazał tylko wyrzucić, ale nie zbić i okrwawić. Gorliwość jego służącego wydała się mu przesadzoną, i, jako naturalny tego wynik, obudziło się w sercu jego politowanie dla człowieka dotkniętego tą gorliwością. Zatrzymał się przeto i zapytał:

— Co ci to?..

— To wszystko nic, wielmożny panie — odpowiedział Herszko jak mógł najżywiej i najprędzej. — Ja mam do pana interes, bardzo ważny interes...

— Co za interes?..

— No, tak sobie interes, od tej panny, co ją pan widział, jak jechał pocztą z Bałty i na drodze zaskoczyła burza i noc i deszcz ulewny..

— Przychodzisz od tej panny?..

— A jakże!.. od tej panny...

— Czemużeś odrazu tego nie powiedział?..

— Bo... bo... bo — bąknął Herszko kilkakrotnie, nie chcąc przez grzeczność zwalać winy na samego Oswalda.

— Chodźże do mnie, opowiesz mi o tym interesie...

To rzekłszy, wrócił do swego pokoju. Herszko, postępując, dźwignął się z podłogi, po-



zbięrał co się porozrzucało, i znów znajomą drogą, przez przedpokój w którym stał Paweł, przekroczył fatalny próg.

Oswald czekał na niego. W oczach jego malowała się ciekawość.

— Cóż to za interes?..

— Panna mnie przysłała prosić pana, ażebyś przyszedł do niej pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem...

— O!.. ten interes jest interesującym — rzekł Oswald do siebie. — W Odessie włoskie wieje powietrze... Jakże się twoja panna nazywa?..

Zapomniałem w swoim miejscu powiedzieć, że panna Helena, wyprawiając Herszka i przewidując że Oswald będzie ciekawym dowiedzieć się o jej imieniu i nazwisku, pełociła mu nie mówić jak się nazywa. Stosownie do tego polecenia, Herszko odpowiedział:

— Pan się od niej samój dowi...

— Jest i tajemnica... Zupełnie po włosku, — rzekł Oswald półgłosem. — Tylko ten Żyd niepodobny do Paolich i Giovannich, kryjących w rękawie sztylet, któryby potrafił przeciwstawić kułakom Pawła...

Herszko tymczasem stękał.

— Gdzież znajdę twoją pannę?..

— Pan znajdzie mnie na bulwarze... będę na pana czekał i poprowadzę...

— A nie będziesz mi zawiązywał oczów?..

— Nie...

— Więc między ósmą a dziewiątą?..

Zyd stęknął i odpowiedział gestem twierdzenia.

— Cóż przecie należy się tobie za poselstwo?..

— Mnie się nic nie należy...

— To już ani po włosku, ani po żydowsku... Trzeba jednakże żebyś dostał parę rubli na plaster...

To mówiąc, wyjął sakiewkę; lecz Herszko uroczyście mu oświadczył, że pieniędzy nie przyjmie.

— Jesteś dziwakiem, mój kochany... No idź i czekaj na mnie na bulwarach, w tym miejscu, w którym zaczyna się Ryszeliwska ulica.

Herszko wyszedł kulejąc. W przedpokoju spotkał go Paweł.

— A widzisz... spróbowałeś trzeci raz i próba się powiodła... Trzeba żebyś mi kupił wód-

ki; ale przyjdź wieczorem, po ósmój, będziemy mieli czas do pogadania...

— Bodajeś przypadł!.. mruknął Herszko przez zęby i powlókł się do łaźni.

W łaźni zmył ślady krwi, ale nie znaki pobicia. Wielkiem przeto i powszechném było zdziwienie, gdy w obec sędziego, Bronisi i panny Heleny stanął z sińcami na twarzy.

— A to co, Herszku? —zawołał sędzia. — Gdzież ty się tak oporządziłeś?..

— To tak sobie, wielmożny panie — odparł Herszko. Człowiek nieszczęścia nie szuka, ono samo człowieka znajdzie... Na gładkiej drodze można nogę złamać...

— Czyś się z kim pobił?..

— Pobił się, to jest mnie bili, ale ja nie biłem...

— Kto?.. gdzie? — dopytywał się sędzia pół seryo, pół żartem.

— Wieleby o tém gadać, a niema co słuchoać... Pobili mnie... cóż robić... Jak się wygoi, to człek zapomni...

— Zdrowa filozofia — rzekł sędzia, śmiejąc się. —Ale żeś dostał pamiątkę, to dostał!..

A że przy téj rozmowie był i Prochor,

przeto sędzia, korzystając ze zdarzenia, powiedział moralną naukę, zastosowaną do tych, których ręce świeżbią i którzy języka hamować nie umieją.

— Bo trzymaj język za zębami, a ręce przy sobie, to ci nikt z pewnością nic nie zrobi...

Herszko brwiami dawał znaki pannie Helenie, a gdy wyszła do swego pokoju, udał się za nią i zdał przed nią sprawę z polecenia, przemilczając o zajściu jakie miał z Pawłem. Sprawozdanie zakończył jak następuje:

— Tylko, jak ten pan przyjdzie, ja będę stał w sieni, pode drzwiami i gdyby było, broń Boże, potrzeba, niech ino pannuńcia krzyknie: Herszku!..

— Ja myślę, że się bez tego obejdzie, tém bardziej żeś taki zbolały... Co to się z tobą stało?..

— Et, niech mnie pannuńcia o to nie pyta... Pójdę, położę się i wyciągnę trochę...

Wyszedł. Panna Helena została sama. Chodziła po pokoju i mówiła do siebie w myśli.

— Ukamienowałyby mnie opinia publiczna ładyżyńskiej parafii, gdyby się o moim kroku dowiedziała... Panowie patrzyliby na mnie z przekąsem, panie odwracałyby się odemnie

matki córkom pokazywałyby mnie palcem, jak monstrum...

Uśmiech błędził po jej ustach—uśmiech pogardy i lekceważenia.

— Opinia publiczna?—mówiła dalej.—Co mi tam opinia!.. Jakżebym chciała mieć ją pod nogami!..

I tupnęła zgrabną nóżką.

— A będę ja miała, jeżeli mi się uda; a uda się mi, jeżeli pójdę śmiało, na przebój!..

Działo się z nią to, co z koniem arabskim czystej krwi w biegu. Im dalej pędzi, tém bardziej się rozognia. Tak samo i panna Helena: im dłużej myślała, tém więcej czuła w sobie zuchwalstwa, które jej kazało rzucać ubite tory, jakimi chodzą panny na wydaniu.

— Czekać na męża z gumieńcem na twarzy? być lalką na wystawie? grać komedią naiwności? szczerzyć ząbki do wszystkich Stasiów i Jasiów, dzielących czas, uczucie i rozum pomiędzy gospodarstwo, psy i konie? zostać magnifiką, pół panią, pół mamką, i być przez Żydówki nazywaną „imościuniu“?.. dziękuję!.. Wielkie to szczęście, zwłaszcza mając jaki taki posag... ale nie dla mnie... Nie umiem tego sielankowego szczę-



ścia ocenić... Nie moja w tém, ale mojej umysłowej czy sercowej organizacyi wina... Niż takie szczęście, wolałabym klasztor, gdybym do klasztornego życia miała powołanie...

Następnie myślała o Oswaldzie.

— A nuż się nie uda!..

I odpowiedziała sobie:

— Cóż z tego!.. Przecież romansu nie prowadzę i prowadzić nie myślę... Na śmieszność się nie wystawię, bo będę z nim na cztery oczy... Jeżeli się nie uda, rozejdziemy się, następnie rozjeździemy i cała rzecz utonie w oceanie zapomnienia, w którym spoczywa tyle grzechów i grzeszków, popełnionych przez wzorowe kobiety... Wszak to nawet nie grzech pomówić z człowiekiem... A to pomówienie czemużby miało się nie udać?..

Stała przed zwierciadłem i poczęła układać toaletę na wieczór. Zwierciadło mówiło jej że ten krok, aczkolwiek zuchwały i niezwyyczajny, do pomyślnego doprowadzi rezultatu. Przyglądała włosy, poprawiła kołnierzyk, włożyła świeże mankietki, spięła pasek i, gdy zarzucała na szyję korale, podedrzwiami odezwał się głos sędziego:



— Ósma dochodzi... Zbiéraj się...

— W łóźku leżę, wujaszku...

— Cóż u licha!.. Chwalić Boga, przed paru godzinami byłaś zdrową... Czyżby tak nagle choroba na ciebie spadła?..

— Nie jestem ja i teraz chora, tylko spać mi się zachciało...

— Chyba że tak!.. Już chciałem sprowadzić do ciebie doktora...

— Niech się wujaszek o mnie nie troszczy... Jutro będę wujaszkwowi służyła... dziś proszę mnie zostawić...

## III.

W salonie na środkowym stole stała jedna lampa, przysłonięta szeroką zieloną umbrelką. Z pod niej żywsze światło padało tylko na stół. Reszta mebli tonęła w półcieniu, który malowaniem na ścianach nadawał kształty fantastyczne. W salonie nie było nikogo.

Na bulwarze zeszło się dwóch ludzi.

— Daleko mamy iść? — zapytał jeden.

— Kilkanaście kroków — odpowiedział zapytany.

Ten ostatni poszedł przodem, za nim drugi i weszli do kamienicy w której mieszkał sędzia Brodecki.

Nim jednakże przekroczyli próg wjazdowych wrót, przeszli mimo kamienną ławeczki przed domem stojącej. Na tej ławeczce ktoś siedział. Noc była ciemna, więc nie widzieli skurczonej,

łokciami na kolanach, a brodą na dłoniach opartej postaci. Postać ta jednakże widziała ich. Kiedy przeszli, podniosła głowę, zwróciła oczy za nimi, wstała, wyprostowała się i rzekła półgłosem:

— To Herszko, a za nim ten pan ze stepu...  
Co to znaczy?..

Ten co wymówił te wyrazy, był to Prochor. Poskoczył, zrobił parę susów na palcach i w podsieniu nastawił ucho. Zupełna ciemność nic mu widzieć nie dozwoliła. Słyszał tylko odgłos oddalających się po schodach do góry kroków.

Spotkanie to wprowadziło go w osłupienie. Stał i myśli jego rozstrzeliły się w tysiąc kierunków, niby stado wróbli, gdy w nie w towarzystwie huku wpadnie nabój. Nie mógł ich zebrać w jedno ognisko i w osłupieniu krokiem naprzód nie był w stanie ruszyć. Po głowie snuło mu się:

— Pana niema w domu, ani panny Bronisi, ani nikogo, tylko panna Helena, sama jedna...

W oczy go uderzyła ukradkowość przyjscia „tego pana“. Gdyby nie ta ukradkowość, osłonięta przewodnictwem Herszka, nie miałby

powodu do osłupienia i pozostania na miejscu, niby wkopany. Gdyby nie Herszko, byłby Oswaldowi drogę zastąpił i powiedział:

— Niema nikogo w domu... Pan z panienką poszedł do teatru, a panna Helena leży w łóżku...

Obecność Herszka zbiła go z tropu. Będąc świadkiem odpowiedzi, jaką panna Helena przez drzwi dała sędziemu, był przekonany że leży w łóżku i nie mógł pojąć, co za znaczenie mieć może przyjście tego nieznanego. Migotało mu i paliło się w głowie, ścisnął pięści, zgrzytał zębami, ale nie wiedział co począć. Bił się długo z myślami, aż nakoniec zrzucił buty i kocim chodem posunął po schodach.

Nim Prochor do tego przyszedł postanowienia, Oswald wszedł do salonu, w którym przez chwilę pozostał sam. Obejrząwszy się dokoła, uśmiechnął się.

— Wszystko w porządku... Okna frankami pozastłaniane, w salonie tyle światła, ażeby nos od rozbicia zagwarantować, tylko *bellissima* powinna się była upozować i czekać, ale nie kazać czekać na siebie... Zapewne efekt zachowała na chwilę wejścia... Wejdzie efekto-

wnie, jak królowa... Ciekawym jak jej się to uda... Czekajmy...

Niedługo czekał. Drzwi się otworzyły: panna Helena weszła. Oswald podszedł ku niej posuwisto i szarmancko i chciał stosownie przywitać — stosownie, to jest temi wyrazami przezroczystymi, należącemi w połowie do języka przyzwoitego, w połowie do tego, którego się używa do kobiet innej klasy. Lecz mu panna Helena dziwnie zaimponowała. W stroju jej, w sposobie wejścia, w spojrzeniu nie było nic wyzywającego. Ubrana była bardzo gustownie, ale zarazem bardzo skromnie. Z całej jej postaci wiał wyraz surowości, który kazał Oswaldowi skłonić się jej z całym uszanowaniem, należnym płci niewieściej. Panna Helena oddała mu powitanie i skinieniem ręki ukazała fotel przy stoliku, a siadając sama, poprosiła ażeby usiadł. Takie preludium, pełne przyzwoitości, odpędzało o tysiąc mil myśl o miłosnej awanturze. Usiłował ją Oswald przywołać, lecz nadaremnie.

— Nie mogę — rzekł usiadłszy — zataić przed panią, że pracuję w tej chwili głową nad rozwiązaniem zagadki...



— Domyślam się tego — odparła panna Helena z uśmiechem. — Pan w kroku moim chcesz koniecznie widzieć romans i tym kluczem usiłujesz zagadkę rozwiązać... Ten klucz nie zda się panu na nic... Prosiłam pana, w celu zaproponowania mu pewnej rzeczy, o której będę mówiła z najzimniejszą w świecie krwią... Życzyłabym sobie, ażebyś się i pan na zimno usposobił...

— O! nie potrzebuję się usposabiać — podchwycił Oswald. — Pani usposobiłaś mnie sama pierwszym spojrzeniem, jakie w tym salonie spotkałem...

— Zrobię panu pewną propozycją... Wypowiem ją wręcz i potem dopiero, jeżeli pan mi odpowiesz że nie jest do odrzucenia, umotywowuję...

— Postępujesz pani trybem parlamentarnym, a raczej dyplomatycznym, jakby chodziło o zaczepno-odporny traktat...

— O coś podobnego w istocie chodzi... Chodzi bowiem o asocjacją, którą nazywają małżeństwem...

— A!.. Chcesz mnie pani ożenić?..

— Chciałabym pana ożenić, a siebie za mąż wydać...

— Gdyby nie co innego — przerwał Oswald — to sama oryginalność propozycji zasługuje na uwagę...

— Czy ta propozycja w mniemaniu pańskim nie jest do odrzucenia?..

— Ani trochę... Przeciwnie... Stawiałem ją sobie nieraz sam...

— Więc idźmy dalej — ciągnęła panna Helena. — Chciałabym siebie zasocyować z panem... Z mojej strony wnoszę do spółki dwie rzeczy: pragnienie wyjścia ze sfery towarzyskiej w którą mnie rzucił los, i posag wynoszący czterykroć sto tysięcy złotych polskich bręczącą monetą, który na wspólny ofiaruję użytek, z zachowaniem dla siebie prawa kontroli...

Oswald w milczeniu spuścił głowę. Wyraźnie zamyslił się. Panna Helena mówiła dalej:

— Nie pytam pana, co pan do spółki wnosisz... Przypuszczam że nic innego, tylko ramie, na którym będę miała prawo oprzeć się.

Zamilkła. Oswald także milczał. Snadź jednakże umysły ich napępniał gwar wewnętrznej ze sobą rozmowy, kiedy nie zwrócili uwagi na szmer podedrzwiami. Szmeru tego po-

wodem było niespodziane spotkanie się Herszka z Prochosem. Prochor na palcach, bosem nogami podszedł pod drzwi panny Heleny i ucho do nich przyłożył. Nic nie usłyszał, bo nic słyszeć nie mógł. Nie wierzył jednakże własnemu słuchowi. Przetarł palcem ucho i znów je przyłożył. Zawsze też sama cisza. Zaparł dech w sobie. Najmniejszy szmer ciszy nie naruszył.

— Co u did'ka! — pomyślał sobie.

Odważył się na krok nadzwyczajnie w jego położeniu zuchwały. Położył dłoń na klamce, przycisnął, drzwi się pocichu otworzyły, wsunął głowę i przekonał się, że w pokoju nie było nikogo.

To mu pomieszało szyki zupełnie. Cofnął się i zeszedł schodami na dół. Wzwał buty i wyszedł na ulicę.

Na ulicy jednakże, gdy podniósł oczy na szereg okien zajmowanego przez sędziego mieszkania, wydało się mu, że przez żaluzje widzi franki, ukolorowane pręgami słabiotkiego światła. Powrócił więc na podsień, znów zrzucił buty i znów wbiegł na górę; tym razem jednakże podszedł do drzwi od salonu, przy

których stał Herszko. Karambol pomiędzy nimi był nie do uniknienia. Jeden i drugi zapytali razem:

— Kto to?..

Jeden drugiego po zapytaniu poznał.

— Ciiicho — psyknał Herszko. — Jakie lichy cię tu sprowadziło?..

— Jakie lichy kazało tobie sprowadzać jakichciś ludzi, kiedy pana niema w domu? — była odpowiedź Kozaka.

— Ciiicho — powtórzył Herszko.

— Cicho ja nie będę.....

— Ot lepiej stań przy mnie — podchwycił Herszko. — Ja tu stoję po to, ażeby pannie dać pomoc, gdyby zawołała... Dwóch lepiej niż jeden... Stań tu i czekaj...

Te wyrazy uspokoiły, ale nie zadowolily Prochora.

— Po jakiegoż diabła ten pan tu przylazł?..

— Już ty się o nic nie turbuj. Oni mają z sobą do pogadania... Pogadają i rozejdą się... Ty wiesz, panowie mają interesa...

Prochor zębami zgrzytnął.

— Tylko trzymaj język za zębami — kończył Herszko — bo na paplaninie kto wyjdzie

źle?.. Ani panna, ani ten pan, ale ten co rozpaple...

W przedsienu rozmowa się zakończyła, w salonie rozpoczęła. Milczenie przerwał Oswald.

— Myślałem nad propozycją pani... Spadła ona na mnie niespodzianie... Byłem przygotowany na co innego... Nie spodziewałem się rozmowy tak seryo i tak, że tego wyrazu użyję, poważnej, a przytém w swoim rodzaju oryginalnej... Musiałem więc nad nią się zastanowić... I wie pani jaki jest mego zastanowienia rezultat?..

— Nie wiem — odparła panna Helena. — Ale w każdym razie niech mi go pan wypowie tak wręcz, jak ja wręcz postawiłam propozycją...

I jeszcze dodała pospiesznie:

— Może pan potrzebujesz czasu do namysłu?..

— O, nie — odparł Oswald. — Czasu do namysłu potrzebowałbym w takim tylko razie, gdybym miał potrzebę panią bliżej poznać... Lecz poznać bliżej kobietę trudno, taką zaś kobietę jak pani, niesposób... Z panią należy kończyć krótko: tak albo nie...



Panna Helena głową na znak potwierdzenia skinęła.

— Pierwej jednakże, nim tak albo nie wymówię, muszę pani moje słabe strony wykazać... Może pani cofnie propozycją... Nie mam nic, wyjąwszy mego żołdu, który na moje własne nie wystarcza potrzeby... Przytém, grzechów młodości mam na mojem sumieniu mnóstwo, i nie ręczę że grzeszyć przestanę, jeżeli zostanę mężem pani...

Panna Helena w milczeniu i z uwagą słuchała.

— Więc, pytam panią: czy po takiem wyznaniu cofasz pani swoje propozycją?..

— Nie — odparła panna Helena krótko i wyraźnie.

— Czy wolno panią zapytać: dlaczego?..

— Dlatego, że proponuję panu asocjacją w formie małżeństwa, a dlatego w téj formie, że innej niema..

— Więc—rzekł Oswald wyciągając rękę— przyjmuję pani propozycją...

Panna Helena wyciągnęła także rękę i dłoń jej złączyła się z dłonią Oswalda. Dodać potrzeba, że dłoń jej drżała, a policzki pokryła

bladość, której, z powodu niedostatecznego oświetlenia, Oswald nie dostrzegł. Powodem tego drzenia i tej bladości było przyjęcie propozycji. Pomimo całej śmiałości, nie mogła przewyciężyć obawy o własną przyszłość, która się rozstrzygnęła w sposób zagadkowy. Mogła powiedzieć „stało się“; ale — co?.. Wiedziała tylko na pewne, że wejdzie w sferę wielkiego świata, zresztą — nic. Wzruszenie jęj jednakże nie trwało długo. Mignęło jak błyskawica. Cofnęła dłoń i z całym spokojem powiedziała:

— Na dziś rzecz między nami skończona...  
Pozostają do załatwienia formalności...

— Radbym je załatwić jaknajprędzej— podchwycił Oswald.

— I ja jestem tego samego zdania... Więc zechciej pan jutro, o trzeciej lub czwartej po południu, przyjść tu, dla wytoczenia sprawy przed moim wujem i opiekunem... Dodam dla wiadomości pańskiej, że jestem pełnoletnią, sama własną rozrządzam osobą, nie mam rodziców ani rodzeństwa... Wujka mego znajdzie pan przygotowanym...

— Dobrze — rzekł Oswald.

— Dobranoc panu...

Te ostatnie wyrazy były z takim wymówio-  
ne akcentem, że Oswald, który miał ochotę zo-  
stać jeszcze trochę (któżby nie miał ochoty zo-  
stać sam na sam, w półcieniu, z młodą i ładną  
kobietą?), machinalnie wstał, wziął czapkę,  
włożył rękawiczki, skłonił się i powiedział:

— Dobranoc... *Au revoir... A demain donc,  
à trois heures...*

I wyszedł.

Gdy sędzia wrócił około jedenastej, zastał  
siostrzenicę ubraną, siedzącą w tym samym  
fotelu, w którym siedziała przy Oswaldzie, i w  
głębokiem pograżoną zamyśleniu. Nie słysza-  
ła nawet jak weszli wuj z córką, a sędzia dość  
był głośnym. Tupał, chrząkał i ujrawszy  
pannę Helenę, zapytał:

— Jeszcze nie śpisz?..

Panna Helena niby że snu się obudziła. Nie  
odpowiedziała na zapytanie, lecz tonem uro-  
czystym oznajmiła:

— Jutro będę miała z wujaszkiem o wa-  
żnych rzeczach do pomówienia...

Nie potrafię opisać zdziwienia sędziego, gdy  
nazajutrz, o dziesiątej rano, następujące z ust  
panny Heleny usłyszał wyrazy:

— Wujaszku, idę za mąż...

— O!..

I przetarł sędzia oczy, jakby dla lepszego spojrzenia w oczy siostrzenicy.

— Idę, wujaszku, za mąż — powtórzyła panna Helena.

Sędziemmu się zdawało, że go słuch myli.

— Chwalić Boga — rzekł niby sam do siebie — zdaje mi się że nie jestem głuchy, a przecież ty musisz mówić nie to co słyszę...

— Mówię, wujaszku, że za mąż idę... Moja wina, że m powiedziałem tego nie obwinęła w bawęnę i nie opatrzyła potrzebnej długości wstępem... Zdawało mi się, że się bez tego obejdzie...

— Więc mówisz seryo? — zapytał sędzia.

— Jaknajbardziej seryo...

— Ależ to jakoś dziwacznie wygląda... Zkąd to się wzięło?.. Idziesz za mąż: jak? kiedy? za kogo?.. Mężowie jak żaby z dęszczem z nieba nie spadają...

— Jak komu... Dla mnie spadł z nieba, i to z dęszczem... Wujaszek pamięta tego pana, który zjawił się obok nas niespodzianie na stepie, gdy na nas burza spadła...

— Więc cóż?..

— Ten pan będzie moim mężem...

— Wiész co, Helenko, jedno z dwojga: albo ja upiłem się kawą ze śmietanką, albo ty jesteś w malignie...

— Ani jedno, ani drugie — odparła panna Helena z uśmiechem.—Wujaszek trzeźwy, a ja zdrowa i przytomna...

— Czyż to być może! — przerwał sędzia.— Nawet nie wiem jak się ten pan nazywa...

— Oswald Dalman...

— Pięknie się nazywa... niema co mówić— rzekł sędzia, usiłując tonowi swych wyrazów nadać uszczypliwy akcent. — Wiem przynajmniej jak się nazywa... I to dobrze... To ma być wystarczającym dla mnie, testamentem nieboszczyka twego ojca naznaczonego twoim opiekunem...

— Przepraszam wujaszka... Nieboszczyk mój ojciec naznaczył wujaszka opiekunem mego posagu, nie mojej osoby, której pełnoletniość pozwala rozrządzać sobą... Wybór męża do mnie samej należy...

Sędzia ramionami ścisnął. Panna Helena postawiła kwestyą odrazu tak jasno i stano-



wczo, że nie było co na to odpowiedzieć. Pozostawała tylko perswazyja, do której też sędzia się uciekł.

— Nie trzymajmy się litery, ale ducha testamentu... Z niego wynika, że ja zastąpiłem ci ojca i jako taki mam obowiązek i prawo interesować się twoim losem... Ten obowiązek i to prawo tak dalece wzięłem na seryo, że pomiędzy tobą a moją córką najmniejszej nie robię różnicy...

— Mój wujaszku — przerwała panna Helena tak spokojnie, jakby to chodziło o projekt spaceru do pasieki. — Wiem naprzód co mi wujaszek ma powiedzieć, i wszystko z góry uznaję... Tu jednakże zachodzi wypadek nadzwyczajny, do którego zwyczajne prawidła zastosować się żadną miarą nie dadzą... Niema o czém mówić... Dałam słowo...

— Jak?.. kiedy? — zawołał sędzia. — Kobięto, zastanów się!.. Przecież ten człowiek nie starał się o ciebie!..

— Ja postarałam się o niego...

— Ty?!.. co!..

— Cóż w tém dziwnego?.. Pan Dalman mi się podoba...

— Ależ zwyczaję!.. przyzwoitość!..

— Zwyczaję pogwałciłam... do téj zbrodni się przyznaję... ale od przyzwoitości ani na włos nie odstąpiłam...

— Czyż on ciebie chce?...

— O tém przekona się wujaszek dziś o trzeciej po południu...

— No!.. no! — rzekł sędzia, widząc że wszelkie perswazye na nic się nie przydadzą.— Tyle lat, chwalić Boga, żyję na świecie, a o niczem podobném nie słyszałem...

— O trzeciej przyjdzie pan Dalman, dla uregulowania prawnych formalności... Uważałam za potrzebne uprzedzić o tém wujaszka...

— Zapewne... Traktujesz mnie jak swego komisarza... Na tę a na tę godzinę bądź aspan gotów zrobić to a to...

— Mój wujaszku — podchwyciła panna Helena — każdą rzecz można obrócić w śmieśność, w każdym wyrazie można obelgę dopatrzeć... Oświadczam wszakże uroczyście, że wujaszka szanuję i szanować nie przestanę i bez najmniejszej intencji ubliżenia mu, robię jedynie użytek z mego położenia siórotki, mającej do rozporządzenia własną osobę i własny

majątek... Proszę się ani gniewać, ani martwić... Co mnie dogadza, to wujaszкови nie ubliża, jeżeli tylko to posiada warunki mogące mi szczęście zabezpieczyć...

— Gdzież te warunki?.. na miłość Boga! — zawołał sędzia.

— W przypuszczeniu, jak zwykle, gdy o wydanie panny za mąż chodzi... Odpowiedzialność za to przypuszczenie biorę całkowicie na siebie...

— Ha! — stęknął sędzia i głowę zwiesił z miną człowieka pokonanego argumentami... Po chwili rzekł:

— Otwarcie ci powiem: gdybym posiadał prawo rozkazania, nie pozwoliłbym na to małżeństwo... Nie posiadając jednakże tego prawa, mogę ci tylko powiedzieć: rób co chcesz i niech ci Pan Bóg błogosławi...

Panna Helena pocałowała wuja w rękę. On ją pocałował w czoło. Ona była spokojna i zimna: wykonała ten akt czułości, dla zadośćuczynienia zwyczajowi. Sędziemu oczy łzami wezbrały. Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz tylko głową kilka razy kiwnął i kilka niezrozumiałych sylab bąknął, a kiedy panna Hele-

na wyszła, zawołał kilka razy w pewnych przestankach:

— No!.. no!.. no!..

Przeszedł się po salonie, nałożył fajkę i otworzywszy drzwi, krzyknął:

— Prochor!.. ognia!..

Po chwili zjawił się Prochor z węglem w szczypcach. Węgiel ulokował na fajce, podmuchał i odstąpił, lecz nie wyszedł. Mina jego wyrażała zafrasowanie. Stał przy progu i w głowę się drapał.

— Czego stoisz? — zapytał go sędzia półgniewnie.

— Bo mam, panie, coś wam powiedzieć. Bo ja nie na to jem wasz chleb, ażeby przed wami tait co widziałem, a co mi się złem wydało...

— Cóż to takiego? — zapytał sędzia, zaciekawiony i trochę strwożony tym wstępem.

Prochor opowiedział wczorajsze zajście ze szczegółami, zaczynając od tego, jak siedział przed domem na kamieniu, a kończąc na tém jak powtórnie zzuł buty. Gdy skończył, sędzia, który z uwagą całego opowiadania wysłuchał, ręką machnął i odpowiedział:

— Et...

— Mnie się zdawało, panie, że wam potrzeba powiedzieć, nikomu, tylko wam — kończył Prochor. — Herszko mówił, żeby nie paplać... Toć ja nie paplam, tylko mówię wam, bo powinniście wiedzieć o wszystkim, co się w domu waszym dzieje...

— Dziękuję ci — przerwał sędzia. — To mi się przyda o tyle, żeby się daremnie nie rozgadywać i przeszkód żadnych nie stawiać...

Zamilkł i z przyciskiem fajkę palił. Zły humor malował się mu na twarzy. Prochor wciąż stał.

— Czy masz jeszcze co mi powiedzieć? — zapytał go sędzia po chwili.

— Mam się was, panie, zapytać — odpowiedział z miną wielce zaambarasowaną — czy się wam to podoba?..

— Albo co?..

— Bo jeżeli się nie podoba, a nie wiecie jak sobie poradzić, to możebym ja na co się przydał... Jaby do tego pana wziął się po swojemu...

To powiedzenie poparł gestem wyrazistym, którego znaczenie doskonale zrozumiał sędzia. Nie rozumiał tylko powodu, dla którego Prochor tak żywo tą sprawą się interesuje.



— Cóż cię to obchodzi? — zapytał.

Prochorowi wyskoczył na twarz rumieniec. Zmieszał się. Cofnął się bliżej do drzwi i odrzekł:

— Bo mnie się zdawało, że panna Helena nie dla jakiegoś tam obcego... Bo mnie się zdawało, że ona po szczęście nie potrzebuje chodzić gdzieś za lasy i za góry....

— Cóż poradzisz? — przerwał sędzia. — I mnie się tak zdawało, ale ona podobała sobie obcego... Niech jej Pan Bóg błogosławi...

Kozak zamigotał oczami, bo mu w oczach pociemniało. Nic już więcej nie powiedział; westchnął i wyszedł. Sędzia, po chwili milczenia, otworzył drzwi i krzyknął:

— Herszku!..

Rozmowa z tym ostatnim była krótka. Głos sędziego był groźny i gniewny.

— Ostatni raz mówię do ciebie!.. Zebyś mi się nigdy na oczy nie pokazał!..

Herszko chciał się tłumaczyć, lecz sędzia nie dał mu przyjść do słowa.

— Precz! — wrzasnął — przecz natychmiast!..

I z podniesionym w górę cybuchem ku drzwiom posunął. Herszko się cofnął, jak

ściana z przestrachu biały. Nigdy jeszcze sędziego w takiej furii nie widział. Sędzia jednakże tyle miał nad sobą panowania, że nie popędził za nim za drzwi i Herszko mógł się zatrzymać w przedsieni i odetchnąć—i powiedzieć do stojącej na progu swego pokoju panny Heleny, którą hałas do drzwi wywołał:

— Otożem się doczekał... No, niema co mówić... ja teraz łajdak...

— Cóż to się stało?..

— Pan sędzia mnie wypędził...

— Bądź spokojny... Nie wyjdiesz na tém źle...

— Ale ja teraz łajdak...

— Przyjdźno do mnie... Pomówię z tobą...

Herszko słyszał te wyrazy, lecz w rozrządzeniu w jakie go zajście z sędzią wprawilo, nie zrozumiał ich znaczenia. Powtarzając „ja łajdak“, spuścił się ze schodów i znikł.

Sędziemu furja przeminęła. Herszko nadał się mu doskonale do spędzenia gniewu, który bez tego ciężyłby mu niby grzech na sumieniu. Potrzebował koniecznie wygniewać się. Wygniewał się i uspokoił — i w zupełnym spokoju oczekiwał na kawalera, któremu miał

mnóstwo do zarzucenia, między innymi: że był obcy, że nie dawał żadnej majątkowej rękojmi i że ukradkowym sposobem zdobył serce panny. W prostocie ducha nie przypuszczał, ażeby do téj sprawy nie mieszało się serce. Był pewny, że się panna Helena rozkochała—i téj pewności nie umiał pogodzić z tonem, jaki pomiędzy mniemanemi kochankami panował, gdy po wybiciu trzeciej godziny przyszedł Oswald.

Oswald był szarmancki, ale tą szarmanterią, która na salonach służy jako zdawkowa moneta, pełnemi rzuca garściami.

Panna Helena była wesoła i żartobliwa. W rozmowie strzelała racami dowcipu, na który jęj przyszły, z zapasów w wielkim świecie ubiéranych, niezawsze umiał gotową wydobyć odpowiedź. Gdy jednakże do interesu przystąpili, oboje spowaźniali, niby dwaj kapitaliści, układający się o założenie towarzystwa na akcye i obliczający z góry przypuszczalną dywidendę. Zgoda pomiędzy nimi panowała jaknajzupełniejsza. Nie nadwreżył jęj ani jeden punkt sporny. Oswald godził się na to co proponowała panna Helena; panna Helena godziła się na to, co proponował Oswald. Oboje przyjmowali z uznaniem uwagi, jakie sędzia u-

ważał za potrzebne wypowiedzieć; lecz chociaż wszystkie uznawali, nie wszystkie jednakże przyjęli. Naprzykład, sędzia chciał ewikcyi dla posagu. Oswald oświadczył, że ewikcyi żadnej nie posiada, chyba słowo honoru. Panna Helena tę kwestyą usunęła, biorąc swój posag na własną odpowiedzialność. Sędzia proponował spisanie intercyzy przy świadkach. Po rozmówieniu się jednakże Oswalda z panną Heleną, intercyza okazała się zbytęzną, jako krępująca niepotrzebnie swobodę ruchów związanych nią ludzi. Sędzia życzył sobie, ażeby wesele odbyło się po polsku, przyzwoicie, z ostentacją, w Sabinowie. Lecz Oswald odpowiedział na to, że nie ma czasu, a panna Helena, że takich wesel nie lubi. Na ten punkt sędzia najbardziej nastawał.

— Co powie na to moja żona? co cała familia? co powiedzą sąsiedzi?..

— Ciocia jest taka dobra — odrzekła panna Helena — że nie będzie się na mnie gniewała, a familia i sąsiedzi niech mi wybaczą kradzież okazyi takiej jak wesele... a jeżeli nie wybaczą, to mniejsza o to...

— Panie dobrodzieju! — zawołał sędzia,

zwracając się do Oswalda. — Mam dwie beczki miodu dwudziesto-pięćć letniego!...

— Musi być doskonały — rzekł Oswald.

— Przeznaczyłem go na wesele Helenki...

— Odstępuję ten miód Bronisi — podchwyciła panna Helena.

Zgodzono się wreszcie, ku wielkiemu sędziogo zgorzeniu, że wesela wcale nie będzie, tylko ślub — i to za trzy dni — a to dlatego, ażeby państwo młodzi mieli czas przygotować się do podróży. Sędzia ramionami ścisnął, ale zgodzić się musiał, bo niezgodzić się nie mógł. Zostało postanowionem, że kupiona za pieniądze panny Heleny karéta podróżna, upakowana i zaprzężona, będzie czekała przed kościołem. Z kościoła nowożeńcy, po ślubie, ruszą w podróż... do stolicy.

Konferencya zakończyła się następującemi, zamienionemi pomiędzy Oswaldem a panną Heleną wyrazami:

— Do zobaczenia... przed ołtarzem...



## IV.

Przechadzka po Oddessie od morza do protestanckiego kościoła, w godzinie przeznaczonj na ślub panny Heleny, dałaby nam dwa widowiska, obydwaj zarówno we względie psychologicznym ciekawe.

Nad morzem stał Prochor i puścił oko po sinych falach, które z głuchym o brzeg rozbijały się łoskotem. A brzeg to był wysoki, urwisty i samotny, oddalony od miasta o parę wiorst w kierunku jak się idzie przez futory ku źródłom zwanym „wielki i mały fontał.“ W tém miejscu wybrzeże wspina się stromym spadkiem do góry. Na dole, tu i owdzie, sterczą nad wodą skały. Na jednój z nich usiadł Prochor i—mówiąc poetycznie—następującą skargę na wiatr rzucił:

— Co ja temu winien, że mi się zachciało

jasnej gwiazdy z nieba!?. Na co mi Pan Bóg dał oczy i serce!?. Było mi rodzić się albo ślepym, albo bez serca... Szczęśliwi ślepi!.. Szczęśliwi ci, którym wystarcza psie życie!.. Powiadają że dziady wydłubują dzieciom oczy... O! gdyby też to matka, kiedy byłem dzieckiem, oddała mnie była takim dziadom, siedziałbym sobie gdzieś na moście i śpiewał sobie pieśni o św. Mikołaju cudotwórcy i ludzieby mi grosze rzucali... I byłbym spokojny... Choć gdybym nie miał w piersi tego czegoś, co się tam tłucze i skowycze, toby mi i oczy nie szkodziły... Byłem do tego momentu szczęśliwy... och! jaki szczęśliwy!.. Ona, taka harda, nie dawała do siebie przystępu nikomu... I ja myślałem że tak zawsze będzie... Myślałem, że jak jej dokucza, zamknie się i każe się u swego proga pilnować. Ja niczego innego nie chciałem... niczego nie pragnąłem, tylko stać przy niej na warcie, stać i stać, jak bocian na jednej nodze i nikogo... nikogo... do niej nie puścić... Aż tu całe moje szczęście naraz pękło, w kawałki się rozbiło, niby ten garnek którym chłop z całej siły o ziemię trzaśnie... E! kiedy szczęście pękło, to cóż mi pozostaje?.. Wysadzić duszę z ciała, niech ucieka, czarny ptak, za morza... za morza...

To mówiąc, spuścił nogi ze skały i sunął się po mchu, przytrzymując się rękami, sunął powoli, patrzył do góry na błękitne niebo, puszczając wzrok po siniej fali, wyteżał słuch, jakby myślał że ktoś zawoła go po imieniu. O! cóżby za to dał, gdyby w tej chwili zabrzmiał w powietrzu pewien znajomy głos:

— Prochorze!..

Naraz ręka mu się usunęła. Buch!.. Woda plusnęła. Bryzgi skoczyły do góry. Powierzchnia morza się zwarła, Pobiegly kręgi dokoła, coraz to szersze i szersze, i rozeszły się, i na pustem wybrzeżu znów fale z głuchym łoskotem rozbijały się o brzegi.

Świadkiem tego wypadku był żołnierz co stał na warcie, pilnując ażeby łodzie nie dowoziły do Odessy kontrabandy. Stał na górze i widział zdaleka jak człowiek jakiś znikł ze skały. Usłyszał i plusk.

— Co u licha!.. Czy mu przyszła ochota do morza skoczyć?..

Krzyknął na alarm. Okrzyk ten, podchwycony przez strażę, poszedł łańcuchem;—przybiegł patrol, udał się na brzeg, żołnierze opatrzli powierzchnię wody, która było milcząca, taje-

mnicza, a tajemnicza tém bardziej, że pochłoneła w sobie tajemnicę jakiegoś człowieka. W raporcie, po wyrazach „wszystko dobrze i pomyślnie, żaden wypadek się nie zdarzył“ stał dodatek: „wyjawszy że *jakiś człowiek* skoczył do morza i zapewne się utopił.“

W tym samym momencie, kiedy Prochor spuścił się w morze, panna Helena przed ołtarzem wymówiła przysięgę, wiążącą ją na całe życie. Wiążącą?—Złem się wyraził. W zastosowaniu do niej, wielki wieszcz wielką powiedział nieprawdę:

„Gdy na dziewczynę zawołają: żono!

Już ją żywcem pogrzebiono“.

Przy ołtarzu panna Helena wyglądała, jakby w chwili narodzin do nowego życia. Spokój i swoboda błyszcząły jej z oczu i czoło wieńczyły. Sędzia stał markotny, Bronisia we łzach tonęła; Helena miała dla nich spojrzenie politowania — spojrzenie które mówiło:

— Dziwna rzecz!.. tym ludziom żal za mną, a mnie za nimi nie żal...

Dziwna rzecz! — ale nie w tym sensie, jaki tkwił w myśli panny młodej. Dziwnym był jej spokój, dziwną jej swoboda, z jaką w zagadko-

wą spoglądała przyszłość. Zdawało się, jakby ta przyszłość nie była dla niej bynajmniej zagadkową, jakby od ołtarza miała odrazu wejść na szlaki doskonale jej znane, jakby nie lękała się zbłąkać w tym labiryncie, który się nazywa wielkim światem. Zkąd to pochodziło? — trudno odgadnąć, chyba przypuściwszy, że są pewne natury odrębne, obdarzone odmiennym organizmem duszy, wydzielającym im pewien zakres działania. Kwestya to ciekawa i interesująca; nad rozwiązaniem jej jednakże nie będę się zatrzymywał. Lepiej skreślię obraz ślubu.

Ślub miał się odbyć cicho. Lecz wypadek był nadzwyczajny. Wieść o nim obiegła Odesę i zaintrygowała świat, który, zdawało się, nie powinien był na takie błahe rzeczy uwagę zwracać. Spekulanci zdziwili się.

— Jakaś panna bardzo posażna, wybrała sobie jakiegoś kawalera nic nie posiadającego...

Było to rzeczą nadzwyczajną dla ludzi wiedzących jak wielka zachodzi różnica pomiędzy dwa i dwa, a dwa i zero. Zaalarmował ich ten wypadek. Zapragnęli spojrzeć w oczy tej dziwacznej pannie i temu szczęśliwemu kawa-



lerowi, i dowiedziawszy się o godzinie ślubnego aktu, tłumnie zjechali się do kościoła. Przed kościołem stało mnóstwo karét, faetonów i dorozek, w kościele pełno było obojój płci ciekawych. Pomiedzy karétami odznaczała się duża, upakowana, zaprzężona sześciu pocztowemi końmi, gotowa do dalekiej podróży.

Młoda para przyjętą została szmerem podziwu. Bo téż była to para dobrana. On był piękny i ona była piękna. Za nim goniły oczy pań, za nią oczy panów. Szeptano sobie do ucha:

— Prześliczna para!...

Panna Helena ubraną była w bieli. Wyglądała zachwycająco, pomimo że nie był to strój lekki, obłoczysty, balowy, ale pośredni między podróżnym a salonowym. Kiedy odstała od ołtarza i okryła się narzutką, nikt aniby poznał, że to panna młoda. Na drodze jej przejścia tłoczyli się ciekawi, podziwiali ją, zaglądali jej w oczy; ona przeszła śmiało, z podniesioną głową, pocałowała w czoło płaczącą Broniszę, pochyliła się głową na rękę sędziego, lekko wbiegła po stopniach karéty, wychyliła przez okno głowę i zawołała:

— Proszę cioci rączki ucałować!..

Obok niej usiadł Oswald; pocztylioni krzyknęli na konie; — karéta ruszyła. Na koźle z przodu siedział Paweł, na koźle z tyłu Herszko. Ten ostatni był nie do poznania.

Sędzia splótł palce na rękach, westchnął, głową pokiwał i za karétą, która się pędem oddalała, posłał wyrazy:

— No!.. no!.. Ja jój błogosławię z całego serca, ale czy Pan Bóg ten ślub pobłogosławi?..

Przed karétą nowożeńców pędził kurjer co koń wyskoczy. Ruszył on równocześnie z nowopobraném stadłem, lecz nie miał z niém nic wspólnego. Był to kurjer zwykły, który w tym samym dniu tygodnia, o jednej i tój samej godzinie, wyjeżdżał z Odessy z listami i posyłkami. Wiózł on dużo listów, pomiędzy któremi był jeden zaadresowany do księżny Laury O....

Mnie się zdaje, że nie będzie w tém wielkiej niedyskrecyi, jeżeli zdradzę tajemnicę owego listu. Powieściarz nie jest obowiązany do uszanowania tego rodzaju tajemnic.

Był to list pisany na bardzo blado-różowym papierze. Osnowa jego była następująca:

„Czynię zadość żądaniu pani i jój radzie.

Żądałaś ażebym pisał — piszę; radziłaś ażebym się zenił — zenię się. Jaki ja posłuszny!..

„Zenię się. Widzę uśmiech na twoich ustach i zdziwienie w twoich pięknych oczach. Pewny jestem że wydaje się pani, iż mi jakaś piękność Południa głowę zawróciła, zem się dał olśnić ognistym oczom jakiejś Ormianki, Greczynki lub Włoszki i u stóp dziewiczych złożył bijące serce.

„Jako żywo. Serce moje bije, lecz po staremu, znajomym pani sposobem, jak nakręcony zegarek, a głowa moja jest tak zimna, tak spokojna, jakby z jej właścicielem żadna nie zaszła zmiana.

„Chciałbym wiedzieć co myślisz, czytając powyższe słowa. Myślisz zem zrobił dobry interes — że jakaś stara baba uszczęśliwiła mnie majątkiem. Nie. Moja żona nie jest ani Greczynka, ani Ormianka, ani Włoszka, ani stara — ja się w niej nie kocham i ona się we mnie nie kocha.

„Mnie się zdaje, że od czasu jak wynalezionem zostało małżeństwo, żadne nie było bardziej *mariage de convenance*, jak moje, pomimo że nikt w niem nie pośredniczył. Poznali-

śmy się, porozumieli i oto cała historia romansu, historia krótka, prozaiczna, bez westchnienia, bez łez, bez przeszkód, trwająca równo tydzień, poczęta w burzę, a zakończona w wygodnym fotelu, przy bladym świetle lampy, przysłoniętej zieloną umbrellką.

„Ciekawa pani wiedzieć, co za jedna ta moja żona?—Ja sam dokładnie nie wiem co ona za jedna. Wszystko co o niej do wiadomości mojej doszło, ogranicza się na tem, że jest szlachcianką i ma czterokroć sto tysięcy złp. posagu. Przytém pewny jestem że się jej nie powstydzę: nie zdaje mi się bowiem, ażeby posiadała jakie wady rażące. Jest w niej coś oryginalnego. Młoda, ładna, śmiała aż do zuchwalstwa, należy do rodzaju tych kobiet, którym potrzeba tylko pokazać cel, ażeby znalazły sposób dojścia do niego. Może się myłę. Jednakże, jeżeli się myłę, to niebardzo. Mam to przekonanie, że nikt o niej nie powie: „*s'habile, babile et se deshabile*. Zresztą, wkrótce ją zobaczysz, poznasz i osądzisz. To tylko pani zaręczam jaknajuroczyściej, że jakkolwiek jest piękną, jakkolwiek natura obdarzyła ją mnóstwem dodatnich zalet, nie Kocham jej.“

List ten poprzedzał karętę i coraz to bardziej oddalał się od niej. Podróżni nasi pospieszali, nigdzie ani chwilki czasu nie tracąc napróżno; nie mogli jednakże zdążyć za kuryerem, który tak ich wyprzedził, że Laura otrzymała list na dwa tygodnie przed ich przybyciem.

Otrzymała list i zamysliła się.

Nie każdemu z czytelników znanym jest ten rodzaj kobiet, do jakiego należała księżna Laura.

Sam tytuł „księżna“ określa stanowisko jej towarzyskie. Do tego dodać należy, że ten tytuł podszyty był ogromną fortuną. Do fortuny dawać należy młodość, piękność i rozum — rozum, to jest dowcip, który na salonach wielkiego świata gra rolę rozumu. Te zalety, powszechnie znane i uznane, sprawiały to, że księżnę otaczał rój wielbicieli, który służył jej do zabawy i przepędzenia czasu.

Otaczał on ją kiedy była jeszcze panną, lecz zdaleka. Od księżniczki wiał marmurowy jakiś chłód. Mówiono o niej, że jest statuą z kamienia. I rzeczywiście, była nią, poki nie wyszła za mąż. Bez Pigmaliona została Galateą: zawiesiła uśmiech na karminowych ustach, oczom nadała połysk życia i zapragnęła miłości.



Zapra gnęła miłości, ale sama o tém nie wiedziała. Trudnoż-bo o takiej rzeczy wiedzieć, gdy wszystko naokoło krąży, migoce, wre, kipi i pianą bryzga, gdy przedmioty się mieniają jak barwy w kaleidoskopie, gdy niema czasu wniknąć w siebie, zakolać do własnej piersi i zapytać własnego serca o tajemnicę bicia.

Laura była kobietą zwyczajną, to znaczy potrzebowała kochać. Z drogi którą zwykła idzie kobieta, zepchnęło ją wychowanie, skierowane głównie ku temu, ażeby w niej tę potrzebę zgłuszyć, zabić. Temu kierunkowi nie była w stanie się oprzeć. Uniósł on ją mimo jej wiedzy i woli, i zrobił z niej zrazu kobietę kamienną, następnie, gdy się wyzwoliła z pod opieki kierowników i kierowniczek, istotę niby wyższą, bo traktującą pragnienia kobiecego serca od niechcienia, z pewnym rodzajem pogardy, a mimo to ulegającą parciu tych pragnień. Miłość mściła się na niej. Laura uważała ją jako kaprys, a ona ukradkiem wślizgnęła się, niby wąż, do jej piersi, obwinęła się koło serca i ścisnęła je kręgami. To sprawiało jej pewne spazmatyczne łechtanie, wyrażające się nazewnątrż sarkazmem.

Gdy Oswald odjeżdżał, pożegnała go śmie-

chem; gdy otrzymała od niego list, zamyśliła się. Myślała długo — utonęła w jakiś rodzaj senności i nagle, jakby się przebudziła, zawołała:

— Co znów!.. co mnie tam jego żona obchodzi?..

Pojechała z wizytami, potem do parku, wieczorem do teatru, wróciła późno i, zostawszy sama w sypialni, zasnęła nieprędzej, aż przedzierające się przez ciężkie franki porankowe światło poczęło gasić płomyk nocnej lampy, w alabastrowem płonącej naczyniu. Sen odbierał jęj list Oswalda. Sto razy powiedziała sobie:

— Co mnie tam jego żona obchodzi?!..

Pomimo to zasnąć nie mogła.

Sen miała ciężki. Obudziwszy się, powiedziała sobie:

— Jestem chora...

Zadzwoiła na pannę służącą i kazała posłać po lekarza.

— Doktorze—rzekła, gdy uczeń Eskulapa zbliżył się na palcach do jęj łóżka—nie czuję się jeszcze na śmiertelnej pościeli, ale jestem niezdrowa...

Lekarz wziął ją za rękę i poprosił o pokazanie języka.

— Puls przyspieszony, język biały... wasza

książęca mość ma lekką gorączkę... To przejdzie... Proszę tylko z łóżka dziś nie wstawać i zażyć lekarstwo, które trochę osłabi... Niedyspozycja waszej księżęcej mości pochodzi z żółdka...

Tylko co Laura nie krzyknęła:

— Nieprawda!..

Lecz się wstrzymała, przez wzgląd zapewne na wielką powagę doktora, który był profesorem uniwersytetu i uchodził za niezrównanego w rozpoznawaniu chorób. Podziękowała mu więc, lecz recepty jego do apteki nie posłała. Usłuchała jednakże jego rady w tym względzie, że do samego wieczora w łóżku przeleżała, myśląc... o liście Oswalda i powtarzając myślą co chwila:

— Co mnie tam jego żona obchodzi?!..

A jednakże ta to właśnie jego żona spokoju jej nie dawała. Niby zmora stała przed jej oczyma i dręczyła ją.

— Młoda i ładna—snuło się jej po głowie.

Wolałaby, ażeby na miejscu tych wyrazów stało: stara i brzydka.

— *Mariage de convenance?*.. ona go nie kocha?.. on jej nie kocha?.. wszystko to wydało się jej naciągnięciem i nieprawdopodobnym.

Gdyby Oswald był napisał: „ja jój nie kocham“, byłaby w to uwierzyła; ale żeby ona nie kochała Oswalda i nie kochając tak prędko zdecydowała się iść za niego?

— O!.. że jest w nim rozkochana, to najmniejszej nie ulega wątpliwości...

Postawiwszy pewnik, doznała tego uczucia, jakiego się doznaje, gdy się ktoś w czyje prawa wdziéra.

Jednakże powtarzała:

— Co mnie tam jego żona obchodzi?!..

I dodawała z ironicznym akcentem:

— Posłuchał mojej rady!.. jaki posłuszny!..

Byłaby wiele za to dała, gdyby się okazał nieposłusznym. Pytanie jednakże, jakby on na tém był wyszedł?..

Ażeby na to pytanie odpowiedzieć, uchylmy trochę zasłonę, za którą ukrywało się serce Laury. A najprzód pozwolę sobie postawić pytanie: co to była za zasłona?..

Wielki świat zdziwi zapewne odpowiedź jaką dać muszę. Zasłoną były: przesady—ubrane w dobry ton, w wielkie maniery, uhaftowane filozoficznemi poglądami, zawsze jednakże przesady, rodzone rodzeństwo tych, jakie panu-

ją w najniższych i najciemniejszych klasach towarzystwa.

Za tą zasłoną serce Laury puknęło dla miłości. Działo się to w czasach, kiedy księżniczkę otaczali guwernerowie i guwernantki, za którymi w odwodzie stała rodzina złożona z ojca, matki, stryjów, stryjenek, wujów, wujenek, dziadków, babek i różnych bliższych i dalszych krewnych, dozorujących ją zblizka i zdaleka. Puknięcie więc jęj serca zostało natychmiast stłumione. Dziewczyna nie śmiała nawet przyznać się, nie do tego że pokochała, ale że się jęj podobał pewien oficer świetnie w mundurze wyglądający. Nie śmiała przyznać się nawet przed sobą—i dla odwrócenia od siebie mniemanego niebezpieczeństwa, nazwała miłość kaprysem. Wydało się jęj, że fałszywy apetyt, ten sam który dorastającym paniąkom każe zjadać ołówki, węgle, krędeł itp., nasunął Oswalda i kazał jęj w nim gustować. Ten jednakże fałszywy apetyt uczynił ją obojętną na to, za kogo za mąż idzie. Bez najmniejszej opozycyi, bez okazania nawet złego humoru, młoda, piękna, kipiąca życiem, pozwoliła się wydać za młodego starca, człowieka mającego łamanie w kościach, sztywność w nogach, blaszkę na podniebieniu, szum



w uszach, próżnię zamiast pacierzowego mlécza, zresztą... bardzo przyzwoitego. Laura po ślubie wzgardziła mężem, jak rozbitym czerepem—westchnęła i zaśmiała się.

Westchnienie i śmiech splotły się razem i obskoczyły Oswalda, którego póty prześladowały, aż wykierowały go na *cavaliero servante* pięknej pani. Laura bawiła się w rozkochaną pasterkę. Był to niby żart, ale w tym żarcie tała się prawda, której buduarowa pasterka ani się domyślała.

Dodać jednakże należy, że ta jej miłość nie była uczuciem czystym, świętym, natchnionym. Nie była, bo być nie mogła, bo urodziła się na gruncie niewydającym czystych miłości. Laura tak głęboko przejęła się zasadą „kochaj siebie“, że kochać mogła jedynie dla dogodzenia sobie, do czego, jako wielka pani, sądziła się upoważnioną. Dlatego to, gdy odczytała list Oswalda, wydało się jej, że Helena wdarła się w jej prawa.

Ten list zmartwił ją, zgniewał i śmieszył. Odczytywała go, mięła, ciskała na podłogę, podnosiła, prostowała i znów odczytywała.

Pierwszy dzień cały w łóżku przeleżała. Drzwi jej były zamknięte. Nie przyjmowała nikogo.

Na drugi dzień zerwała się bardzo rano i kazała się wozić po mieście. Trzeci dzień znów w łózkę przeleżała, lecz nie wzywała już lekarza, bo czuła się nie chorą, tylko zmęczoną—i to nie fizycznie, lecz moralnie. W umyśle jej wiło się tysiące planów i projektów, a wszystkie te plany i projekta zmierzały do sposobu powitania Oswalda i były tak jedne z drugimi spletane i zmieszane, że z pośród nich żaden nie wystąpił jasno. Po kilku dniach Laura się uspokoiła, to jest weszła napowrót w tryb regularny wizyt, rewizyt i odwiedzin, z których składa się życie wielkiego świata w wielkiem mieście. Tylko trochę zbladła—stała się interesującą; tylko niby zadumanie osiadło na jej gładkiem czole—stała się tém bardziej interesującą. Książę jej małżonek podejrywał ją o zamiar zawrócenia głowy to hrabiemu X., szczęśliwemu małżonkowi nieszczęśliwej żony, to baronowi Y., nieszczęśliwemu małżonkowi szczęśliwej żony, to kilku salonowym lwom, kwalifikującym się na szczęśliwych lub nieszczęśliwych w przyszłości małżonków. Podejrzenia te jednakże były bez złej myśli, z powodu że książę nie mógł w nie wlać tego, czego nie posiadał. Myślenie było jedynym zbytkiem, na który sobie nie po-

zwał. Na tej wstrzemięźliwości Laura wychodziła dobrze o tyle, że posiadała zupełną, nieograniczoną, bezwarunkową swobodę. Korzystając z tej swobody, pod skrzydłem mężowskiego parawanu zawiązała z Oswaldem stosunek, który nie każdemu podobałby się mężowi. Stosunek ten nazywała po staremu kaprysem; ale kaprysem on nie był. Nie był czystą, świetlaną, anielską miłością—zawsze jednakże inaczej go nazwać nie można, tylko miłością—miłością której bliższe określenie pozostawiam czytelnikowi. Niech sobie tę miłość nazwie jak chce—wszystko to mi jedno. Nie myślę bronić, ani usprawiedliwiać Laury—nie jestem jej adwokatem, ale raczej historykiem jej serca.

Pomiędzy projektami i planami jakie Laura snuła, były następujące:

— Gdy przyjedzie (rozumie się Oswald), nie przyjmę go, każę przed nim zamknąć drzwi...

— Gdy przyjedzie, przyjmę go surowo i drwiąco...

— Gdy przyjedzie, przyjmę go obojętnie...  
i t. d. i t. d. i t. d.

— Czy przyjedzie, czy nie przyjedzie, dla mnie to wszystko jedno!.. Co mi tam jakiś Oswald i jakaś jego pani!..

Jednakże codziennie kazała się wieźć za rogatkę, na trakt którym miał przyjechać Oswald. Wyjeżdżała w tę stronę i pojazdem i konno, zapędzała się nieraz o kilkanaście wiorst i w tych wycieczkach rozkosz jej sprawiała pewna myśl, pewna psota, która się w jej głowie w następujący układała sposób:

— Gdybym go spotkała, kazałabym stanąć... I onby kazał stanąć, wyskoczyłby z pojazdu i przybiegł do mnie... Powitałby i zechciał zaprezentować mi swoją panią... Lecz ja zaprosiłabym go do mego powozu i uwiozła i nie puściła od siebie przez dni dwa, trzy...

Bawiła ją myśl, co przez ten czas robiłaby Helena, sama jedna w wielkiem mieście.

— Byłaby to sytuacja arcykomiczna dla wieśniaczki... Puściłaby się na odszukiwanie ledwie pojętego, a natychmiast utraconego małżonka... Miałaby siebie za ofiarę jakiejś kabały, za heroinę jakiegoś jaskrawego romansu... Chciałabym tylko być świadkiem spotkania, jakieby po rozłączeniu nastąpiło... Co za zabawne miny musiałby robić Oswald!.. Jakby się musiał usprawiedliwiać!..

Smiała się na głos, aż stangret z kozła zaglą-

dał przez okno do wnętrza karéty, myśląc że jego pani nie jest przy zdrowych zmysłach.

Los jednakże nie dozwolił jéj na urzeczywistnienie tego zamiaru. Oswald przyjechał w nocy.

W chwili kiedy w jéj salonie zgromadzonych było kilka obojéj płci osób i rozmowa, jak zwykle, toczyła się po tych złoconych, błyskotnych nicach, które mowa ludzka posiada na wyłączny salonów użytek, lokaj otworzył drzwi i zaanonsował:

— Pan Dalman...

— Prosić — odrzekła Laura.

Wyraz ten wymówiła machinalnie — wymówiła i chciała go cofnąć, lecz było już po czasie.

Na obecnych nazwisko nowego gościa najmniejszego nie wywarło wrażenia. Oswald był znany; nie zdziwiło ich przeto jego przybycie, ale zdziwiło na scenie wielkiego świata niezwykle zachowanie się pani domu, która to bladła, to czerwieniła, mieszała się w rozmowie, dawała niewłaściwe zapytania i odpowiedzi, drżącemi ustami jakieś niezrozumiałe wymawiała wyrazy. Był to ewenement, godzien pójść do salonowych analiz. Panowie i panie znacząco spoglądali po sobie, jakby się uma-



wiali o obszerne pogadanie o tém nadzwyczajném zdarzeniu. Jedna nawet z pań szepnęła do jednego z panów.

— Wiész pan co to znaczy?..

— Domyślam się...

— Ciekawa historia...

— Trochę skandaliczna...

— O!.. co pan mówisz!..

Pan skinął głową, uśmiechem odpowiedział na wykrzyk — i nieco się podniósł na powitanie kłaniającego się Oswalda.

Laura, po wejściu tego ostatniego, odzyskała przytomność umysłu, to jest potrafiła zapamiętać nad wzruszeniem, lecz nie była w stanie, z właściwą kobiecie światowej łatwością, związać z nowoprzybyłym rozmowy — z nowoprzybyłym, którego samo pojawienie się na horyzoncie stolicy nastęrczało obfity do rozmowy wątek. Nie spytała go ani o podróż, ani o Odesę, ani o żonę, ale rzuciła się do komunałów, zastępujących brak wątku. Zaczęła mówić o karnawale, o balach, o brylantowej kolia, w której na ostatnim balu wystąpiła żona jednego z wysokich urzędników i o tym podobnych rzeczach.

To wszystko co mówiła, było nie czém in-

nem, jeno maską myśli. Mowy używała w tej chwili w Taillerandowskiém znaczeniu. Ale warto było zajrzeć do jęj serca. Tam huczała burza—straszna burza—tropikowa—z wichrami i piorunami, a pragnęła skierować je na głowę tego, którego miała za przeniwiercę, zdrajcę, nikczemnika, urągającego się jęj w jęj własnym domu. Przyzwoitość jednakże kazała jęj całą tę burzę tłumić w piersi i uśmiechać się do ludzi i z wielkiém zajęciem rozprawić o tém, co jęj bynajmniej nie obchodziło.

Oswald siedział jak na szpilkach. Znał on do zbytku Laurę, ażeby nie miał poznać, iż co innego mówi, a co innego myśli. Nie miał wielkiej trudności domyślić się, że to „co innego“ tyczy się jego osoby, której młoda księżna nie udarowała ani jedniem z tych spojrzeń, jakimi ją niedawno jeszcze tak hojnie obdarzała.

— Co to znaczy?.. pomyślał sobie marszcząc brwi.

Laura z wielkiém ożywieniem opowiadała w tej chwili o efekcie, jaki sprawia bukiet świeżych kwiatów, upięty przy balowym stroju.

— Świeże kwiaty!—odezwał się z wykrzyknikowym akcentem jeden z obecnych.—Nie-

szczęściem w naszej strefie niema kwiatów... Bo kwiatami nie można nazwać tych oranżeryjnych fabrykatów, nikłych i karłowatych, udających niezgrabnie prawdziwe kwiaty, jędrne, pełne świeżości, barw i woni... Bodajto południowy klimat!.. Czy nie prawda, panie Dalman?.. Pan, który przyjeżdżasz znad brzegów morza Czarnego, spodziewam się że potwierdzisz moje zdanie...

Oswald chciał coś odpowiedzieć i już usta otwierał, lecz Laura nie dała mu przyjść do słowa. Z gorączkowym pośpiechem zwróciła rozmowę na inny przedmiot.

Była to już wyraźna niegrzeczność. Oswaldowi nie pozostawało nic innego, tylko wstać i wyjść — co też uczynił, ale nie natychmiast, spodziewając się jeszcze przyjaźniejszego spojrzenia. Napróżno. Laura ani okiem rzucić na niego nie raczyła. Wstał więc i skłonił się, rzucając na pożegnanie kilka wyrazów, ujętych w formę komplementu.

Na ukłon otrzymał ukłon nadzwyczajnie zimny, na wyrazy nie dostał żadnej odpowiedzi.

— Co to znaczy? — pomyślał wychodząc.

Za wychodzącym posłała Laura sztyletowe spojrzenie.

V.

---

Wyznać trzeba, że Helena miała w duszy zarody geniuszu. Wielki świat nie przyjął jej z otwartymi ramionami, a nie tylko nie przyjął, lecz odtrącił, jako istotę niższego rzędu. Na mężu zawiodła się. Nie otworzył on dla niej bram Eldorado, otwartych, ale dla niego tylko samego, nie zaś dla tych, którychby on chciał wprowadzać. Ten przywilej nie był mu udzielonym. Oswald traktowanym był jak artysta — posiadał względy panów i pań, lecz te względy nie rozciągały się i na jego żonę. I to bardzo jest naturalne. Gdyby bowiem taki Oswald miał prawo wprowadzić na salony żonę, to równe prawo przysługiwałoby mu pod względem dzieci, rodziców, braci, sióstr, krewnych bliższych, krewnych dalszych, przyjaciół, znajomych — i salony zalałaby powodzią hałastrą, którą daleko wygodniej trzymać zdaleka. Oswald stanowił wyjątek, ale nie jego żona, o którą nikt go ani zapytał. Dla Heleny prze-

to mąż pozostał mężem, w najprostszym tego wyrazu znaczeniu. Ona się na tém poznała, ale nie zrobiła mężowi żadnej sceny. To służyć może jako dowód jej kobiecej niepospolitości. Którażby bowiem kobieta, zawiedziona w nadziejach, odpowiedzialności za zawód na męża nie zwała?.. Którażby nie dała mężowi tego uczuć w sposób jaknajdotkliwszy?..

Helena bardzo prędko rozpatrzyła się w nowym swoim położeniu. Oswald miał jej otworzyć wstęp na salony: — nie otworzył. Po przyjęciu, jakiego doznał u księżny, sfera tego świata, do którego należała księżna, raptem się przed nim zamknęła. Goście księżny, świadkowie wizyty Oswalda po powrocie jego z Odessy, nie rozumieli powodu dla którego Oswald był źle przyjęty, lecz nie wchodzili w powód. Wystarczał dla nich goły fakt. Przez ramię spojrzęła na niego księżna — i nie było salonu, w którym nie spotkałoby go upokorzenie. Nie wypchnięto go wprawdzie nigdzie za drzwi, lecz wszędzie dano mu nie w dwuznaczny sposób do zrozumienia, że przestał być owym *homme sans conséquences*, którego można było przyjmować w znaczeniu ozdobnego w salonach mebelka.



Nie mam potrzeby dodawać, że stało się to dla Oswalda powodem zmartwienia, i to podwójnego: w obec Heleny i w obec siebie samego. W obec Heleny stanął jako kłamca. Przez całą drogę nie mówił z nią o czem innym, tylko o szerokich swoich koneksjach. Wyliczał książąt, hrabiów, baronów i wysokich dostojników, z którymi żył na stopie równości, opisywał i charakteryzował panie, rozwodził się nad tajemnicami wielkiego świata i salonowemi zwyczajami, przepowiadał żonie jak co będzie.

—Wieść o mojem ożenieniu się gruchnie niby niespodziany grzmot... Zagadają o tém i będą ciekawi poznać ciebie... Panie będą na mnie nalegały: dajże nam coprędzej poznać swoje żonę...

Trzeba wiedzieć, że do tego rodzaju wynurzeń pobudzała go Helena. Chodziło jęj o poznanie w teoryi tego życia, którego praktyka miała się wkrótce dla niej otworzyć. Była więc niewyczerpaną w indagowaniu meża, którego zmuszała do rozprowadania o wszystkiem i wszystkich, a najwięcej o sobie, dlatego że jego osoba najbardziej ją interesowała.

Oswald rozpowiadał i nie kłamał:

— Z tym się znam i z tym się znam; z tym jestem w stosunkach ścisłej zażyłości; z tą łączę mnie przyjaźń... itd. itd.

Mówił dużo i o księżnie, ze szczególniejszym na jej przyjaźń naciskiem.

— Ta będzie najciekawszą poznać ciebie... Słyszę ją jak mówi, ujrawszy mnie przed sobą: bez żony?.. czyż możesz pan prezentować się mi bez żony?.. Wracaj natychmiast i przywieź mi swoją panią!..

— Posłuchasz jej rozkazu? — zapytała Helena.

— O, nie... Te wszystkie panie będą cię rewizytowały; więc potrzeba piérwój urządzić dom... a przytém nie należy okazywać *trop d'empressement*...

Urządzenie domu stało się przedmiotem specjalnej narady, której punktem wychodnim był posag Heleny. Posag ten, po potrąceniu summy która sędzia z kapitału wypłacił w Odessie, przynosił rocznie procentu tysiąc z górą czerwonych złotych. Po zrobieniu ścisłego obrachowania wypadło, że tysiąc czerwonych złotych nie wystarczało na opędzenie potrzeb wystawnego życia. Stańęło przeto na tém, żeby urządzić życie półwystawne, to jest prze-

nych zastąpić gustownością, nie brać domu osobnego, nie trzymać dużo służby, nie tracić wiele na kuchnię, trzymać jeden dla obojga małżeństwa powóz i parę koni i nie dawać bałów, tylko niekiedy herbaciane wieczory. Oswald i Helena spodziewali się — pomimo że tego głośno nie mówili — że to skromne życie będzie stanem przejściowym, wstępem do życia coraz to na większą skalę. Nadzieję tę opierało jedno na drugim: Oswald na Helenie, Helena na Oswaldzie.

Pierwszą przeto rzeczą, jaką mieli do załatwienia po przybyciu do stolicy, było najęcie pomieszkania. Poszło to im z łatwością, bo Oswald znał stolicę na wylot. Za pięćset dukatów najął całe piętro — *bel-étage*, składające się z ósmiu dużych, widnych, wysokich pokoi i zaopatrzone we wszelkie wygody od budowy zależne, jako to: w szerokie kamienne schody, dobry rozkład, pyszny balkon nad ulicą zawieszony, obszerny wjazd, stajnie, wozownie, składy, pomieszkania dla służby — w arystokratycznej części miasta, na jednej z najporządniejszych ulic. Wszystko to jednakże były to nagie ściany, które należało wypełnić sprzętami, meblami i ozdobami.

Bodaj to wielkie miasto!.. Takie zadanie, jakim jest umeblowanie domu, gdzieś na partykularzu bywa niekiedy nie do rozwiązania. W wielkiem mieście, byle pieniądze, samo się rozwiązuje. A nasi nowożeńcy pieniądze mieli. Helena wzięła część kapitału i należne jej od paru lat procenta, co sformowało piękną sumkę, z której można było dwa tysiące dukatów dać tapicerowi i umówić się z nim o jakość i ilość mebli, sprzętów i ozdób i o termin wykończenia dzieła. W przeciągu tygodnia miało być wszystko ukończonem. Dozór nad postępem roboty wzięła na siebie Helena.

Na ten tydzień państwo Dalman zamieszkali w hotelu i rozebrali pomiędzy siebie zajęcia. Pani doglądała urządzenia domu, pan stawiał wstępne kroki do wprowadzenia żony w wielki świat. Zbywający od tych zajęć czas obracał Oswald na zaznajomienie Heleny ze stolicą.

Helena ze swego zadania wywiązywała się doskonale. Salony i pokoje napępniały się mahoniami, marmurami, bronzami, kryształami, zwierciadłami, obrazami, firankami, kobiercami i t. d.

Oswaldowi jego zadanie szło oporem. Zależało ono na porobieniu wszędzie gdzie potrzeba introdukcyjnych wizyt — a te wizyty wypadły jaknajfatalniej. Gdzie się tylko zaprezentował, zewsząd odjeżdżał z przekonaniem, iż tam nie może żony wprowadzić. Zrazu nie mówił o tém Helenie. Nie mógł sam zmiarkować co to jest — i myślał że przecie znajdzie jakiś dom, w którym będzie mógł żonę świata pokazać. Niestety! taki dom nie istniał.

Tydzień upłynął. Państwo Dalman zainstalowali się w nowém mieszkaniu.

Podług planu, ułożonego jeszcze w czasie podróży, zainstalowanie się we własnem pomieszkaniu, miało być momentem wystąpienia Heleny, która do tego momentu przysposobiła się, jak zdolny wódz do walnej bitwy. Przysposobienie odnosiło się szczególnie do toalety. Ta była nieposzlakowaną pod względem gustu i świeżości mody. Helena z pewnem wewnętrznym zadowoleniem przemyśliwała o wrażeniu, jakie jej pojaw wyrze na panów i panie, na starych i młodych. A pojaw ten miał nastąpić nazajutrz po wprowadzeniu się do domu, przygotowanego do przyjęcia licznych rewizyt.



Dzień terminowy przyszedł. Oswald był markotny i jakby zwarzony.

— Czyś nie chory? — zapytała go Helena przy śniadaniu, po którym miała włożyć pierwszą wizytową toaletę.

— Nie — była krótka i węzłowata odpowiedź.

— Jesteś w złym humorze...

— W najgorszym... W gorszym nigdy w życiu nie byłem...

— Rozerwiesz się... gdy pojedziemy z wi..  
Oswald nie dał jej dokończyć:

— Nigdzie nie pojedziemy...

Helena zdziwiony i pełen zapytania wzrok w oczach mu utopiła.

— Nigdzie nie możemy jechać...

— Czy wolno zapytać: dla czego? — rzekła z zimną krwią.

— Dlatego, że wszystkie drzwi przed nami się zamknęły...

— O!? — wykrzyknęła pół ze zdziwieniem, na poły pytającym tonem.

Oswald w krótkich wyrazach opowiedział o rezultatach wstępnych wizyt, a opowiedziawszy, tak skończył:

— Nie umiem sobie zdać sprawy z tego wszystkiego... Jest w tém jakiś powód, ale jaki?.. nie wiem i nie domyślam się...

— Ja się domyślam — odparła Helena.— Ten powód, to ja... Moja osoba obok twojej razi... Świat w mojej osobie odpycha nowego intruza...

Po chwili milczenia, która upłynęła w zamysleniu, dodała.

— Ale to nic... Świat nie chce mnie przyjąć, to trzeba żeby przyszedł do mnie... Nie przyjmuję wyroku, wydanego na mnie zaoznie...

Oswald starał się przekonać ją, że inny musi być powód, lecz nie przekonał; starał się następnie uspokajać ją, myśląc że jest rozżalona lub rozgniewana. Lecz ona odpowiedziała:

— Nie gniewam się o to wcale... Na ich miejscu i jabym zapewne to samo zrobiła... Bez wkupna nie mogę i nie powinnam zasiąść do biesiady, do której zasiadają tylko wybrani...

Wstała i poczęła chodzić po pokoju. Chodziła i myślała. Oswald siedział i milczał. Tak

upłynęła godzina: ona chodziła, on siedział. Z jej oczów strzelała żywość ścigających jedna drugą myśli, na jego czole widać było troskę i upokorzenie.

— Nie mów o mnie nic z nikim — rzekła tonem, w głębi którego tkwiła stanowczość rozkazu.

Znów chodziła, znów myślała i w końcu zapytała:

— Czy ten dom w którym mieszkamy jest cały do najęcia?..

— Dół i górne piętro niezajęte; właściciel by je chętnie wynajął i nawet to proponował...

— Za wiele?...

— Za pięćset dukatów...

— Trzeba to wziąć... Trzeba żebyśmy mieli osobne pomieszkanie...

Oswald spojrział na nią zdziwionym wzrokiem: ona znów chodziła i myślała.

— Trzeba nam pomieszkanie umeblować jaknajlepiej — odezwała się po chwili.

I znów chodziła.

— Trzeba kupić drugą karétę i odkryty powóz i drugą parę koni, przyjąć drugiego stangreta, kamerdynerów, lokajów i dobrego

kucharza... Potrzebuję konia wierzchowego i grooma...

— Ależ to będzie strasznie dużo kosztowało! — przerwał Oswald.

— To nic... Trzeba umontować dom na wielką skalę... wystawnie, z pewnym przepychem...

Oswald odchrząknął, jak gdyby go coś dławilo.

— Zrób z właścicielem kontrakt na lat sześć...

Rozkazy z jej ust padały tak stanowcze, że Oswald, pozwoliwszy sobie na jedną uwagę, nie śmiał już ani tej jednej powtórzyć, ani innej uczynić. Nie pozostawało mu tylko wykonać rozkaz. Przystąpił więc do wykonania, a przystąpienie zaczął od wyjścia.

Helena, pozostawszy sama, długo jeszcze chodziła i myślała. Od czasu do czasu z ust jej padały to wykrzykniki, to zapytania, na które odpowiadała sobie w duchu. Naprzykład:

— Miałabym się oszukać!?

— Czy będę miała powodzenie?.. — i t. p.

Wykrzykniki w tym rodzaju i zapytania były całkiem naturalne. Helena rozpoczynała

walkę ze światem którego nie znała, o którym jeżeli co wiedziała, to tylko z podań i opowiadań. Nie miała czasu popatrzeć mu oko w oko, a już musiała walczyć o zdobycie dla siebie stanowiska. W tej walce stały przed nią dwie rzeczy nieznanne: świat i jej własne stanowisko. Więc miała nad czem myśleć.

Są natury stworzone do zapasów, odgadujące czego nie znają. Taką naturą obdarzona była nasza bohaterka.

Helena wydawała wykrzykniki i zadawała sobie pytania, ale w nich nie brzmiała trwoga. Były to niby tony bębnow, towarzyszących kolumnom idącym do ataku. Helena śmiało gotowała się do walki, którą stoczyć miała ze śmietanką towarzystwa stolicy: wzmacniała własne stanowisko i ustawiała baterye.

Kontrakt z właścicielem został zawarty na cały dom i na sześć lat. Oswald zajął się kupnem karét, powozów, koni i przyjmowaniem służby. Helena zajęła się urządzeniem domu.

Wozownie, stajnie, przedpokoje napełniały się wszystkiem co stolica do zapełnienia tych części pańskich pomieszczeń posiadała najpiękniejszego, najpokaźniejszego i najzręczniejszego.



szego. Ściany i podłogi okrywały się aksamitami, adamaszkami, złoceniami, najwytworniej szemi jakie można było znaleźć. Pieniądze płynęły jak woda.

— Ach! — ośmielił się raz wykrzyknąć Oswald. — Idziemy prostą drogą do ruiny...

— Idźmy, bez oglądania się po za siebie— odpowiedziała Helena.— Znasz legendę o żonie Lota?.. Pouczająca to legenda... Kobięta zmieniała się w bałwan soli... Strzeż się ażeby ciebie, mężczyzny, ten wypadek nie spotkał...

Było to powiedziane półzartem, lecz w tém powiedzeniu tkwił sens moralny następującej treści:

— Nie mieszaj się do rzeczy, które do ciebie nie należą...

Przypomni sobie czytelnik, iż posag swój Helena zachowała na własny użytek. Oswaldo wi przeto pozostawało tylko prawo robienia uwag. Zrobił raz — napróżno; zrobił drugi raz— znów napróżno. Więc pomyślał:

— Niech się ruinuje... Co mi do tego!.. Skończy się na tém, że wujaszek będzie miał przyjemność i zasługę przyjęcia znów w swój dom zbłąkanęj owieczki... Tém gorzej dla wujaszka; dla mnie to wszystko jedno...

I zaprzestał wszelkich uwag.

Helena w krótkim czasie zmieniała dom w pańską rezydencją, o której wieść rozniosła się po mieście. Zagadano o niej po salonach—raczej o nich, to jest o rezydencyi i Helenie, o pierwszej jako o ramach, o drugiej jako o obrazie. Piękny obraz i piękne ramy:—piękny — znaczyło bogaty.

Niedawno zdarzyło się mi czytać zdanie sprawy z pewnej wystawy malowideł. Wystawa zwiedzana bywała przez mnóstwo ludzi. Tłumy przechodziły obojętnie mimo arcydzieł, zatrzymując się przed lichotą, obrazem pędzła pewnej wielkiej pani, którego największą zalecącą była oprawa. Tłum do oprawy największą przywiązuje wagę.

Na ulicy, w parku, na bulwarach, na spacerach dawała się widzieć karéta, w której wszystko zasługiwało na uwagę. Sama karéta pochodziła z najlepszej fabryki i była arcydziełem fabrykanta. Dzielne siwe konie, które ją ciągnęły, miały w żyłach krew wysokiej rasy i ściągały oczy znawców. Szory nie zakrywały ich kształtów, a delikatność ich wyrobu i srebrne ozdoby świadczyły o wysokiej wartości. Stangret, który od niechcienia pro-

wadził zaprzęg, był doskonałością w swoim rzemiośle, godną wozić na wyścigach w starożytnych cyrkach. Przez szkła pojazdu widać było w głębi kobięcą postać — zachwycającą. Przechodnie stawali, w celu popatrzenia na to arcydzieło; przejezdni odwracali się i okiem ścigali, a każdy z ciekawością zapytywał:

— Czyja to karéta?..

Na ulicy, w parku, na bulwarach, na spacerach dawała się widzieć amazonka. Koń pod nią był kary, z gwiazdką na czole i z jedną nogą białą, rodzeniuteńki brat tego "czarnego rumaka", na którego Mickiewicz swego Farysa posadził — arabczyk czystej krwi, lekki, lotny, ognisty, z estetyczną gracyą niosący niewieścią postać, która zdawało się że była ptakiem, co przysiadł chwilowo na grzbiecie arabczyka, złożył skrzydła i — ot — nie widać jak je rozwinie i uleci. Przechodnie zatrzymywali się, w celu popatrzenia, przejezdni obracali się i okiem ścigali, a wszyscy pytali:

— Co to za jedna?..

Upłynęło niemało czasu, nim na to ostatnie pytanie znalazła się następująca odpowiedź:

— To ta sama, co jeździ tą karétą...

Ale co to za jedna, ta co jeździ tą karétą?—

to było długo zagadką, do rozszerzenia zakresu której przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, że tę samą damę widywano tu i owdzie, na koncercie, w teatrze i t. p.

Powoli zagadka zaczęła się rozwiązywać. Stołeczni dandysi zainteresowali się tajemniczą damą, frapującą pojazdem, końmi i własną osobą. Poczęli ją śledzić i dośledzili gdzie mieszka. Widzieli ją wjeżdżającą do kamienicy pod numerem N. na ulicy X. Dostrzegli że kamienica posiada szwajcara, którego jeden z interesowanych zapytał:

— Kto tu mieszka?..

— Pan Oswald Dalman — była odpowiedź

— A ta dama?..

— To pani Helena Dalman, jego żona.

— Ta co jeździ karétą, albo na karym arabczyku?..

— Tu innéj niéma... Państwo zajmują całą kamienicę...

— Więc ta karéta, i te siwe konie, i ten kary arabczyk...

— Należą do pani...

— Ho! — rzekł dandy do siebie. — Oswaldowi snadź kura złote niesie jaja... Słyszałem

że się ożenił, ale nie spodziewałem się, żeby się tak ożenił...

„Tak“ znaczyło „dobrze“, — a „dobrze“ znaczyło przede wszystkim „bogato“.

Na wielkim świecie rachują jak i na małym. Karéta, siwe konie, arabszyk, osobne mieszkanie w kamienicy N. na ulicy X. i szwajcar poszli pod rachunek i wypadło, że, ażeby tak jeździć i tak mieszkać, potrzeba posiadać milionową fortunę. Obraz Heleny wystąpił otoczony blaskami milionów. Te blaski coraz to mocniej świeciły, w miarę jak ciekawość publiczna coraz to bardziej wnikała w tajniki kamienicy N.

Do tych tajników fantazya publiczna dorobiła objaśnienie, tłumaczące pochodzenie legend, które tworzy fantazya ludowa. Podług tego objaśnienia Helena, magnatka z Ukrainy, rozkochała się w Oswaldzie i oddała mu serce, rękę i ogromny majątek. Dziwiło tylko wszystkich, dlaczego Oswald tego nie rozpowiadał.

— Zazdrosny! — zagrzmiało na horyzoncie salonów.

Grzmotowi temu zawtórowały dwa chóry. Jeden mówił:



— Szczęśliwy człowiek!..

Drugi mówił:

— Biedna kobieta!..

Gdyby nie widziano tych karét, cugów, liberyj, gdyby nie dowiedziano się o przepychu panującym w kamienicy N, gdyby Oswald zamknął swoją żonę, postawił straż przy jej drzwiach, wzbronił jej patrzenia przez okno i karmił ją rumfordzką zupą, niktby nie powiedział:

— Biedna!..

Stała się biedną dlatego, że podejrzrywano ją o miliony.

Nagle znalazło się mnóstwo paladynów, gotowych o tę "biedną" skruszyć kopią.

Paladyni ci wrzaskiem napełnili salony. Imię Heleny poszło w kurs, jak obligacya stojąca *al pari*. Litość nad jej losem przenikła do głębi mnóstwo serc, zwłaszcza męzkich, chociaż i niewieście nie były całkiem obojętne dla kobiety jeżdżącej najpiękniejszą karétą, mieszkającą pysznie, rozrządzającą milionami, a niewystępującą na salonach.

Nagle Oswald, który nie zerwał — bo zerwać nie mógł — ze światem, począł być inaczej przyjmowany. Wszyscy którzy odwrócili się

byli do niego tyłem, zwrócili się znów przodem. Mile go witano, z uśmiechami żegnano i w towarzystwach nie patrzano na niego jak na nadzwyczajny dodatek, bez którego można się obejść. Koryfeusze towarzystwa ściskali mu serdecznie dłoń, panie wdzięcznymi go darzyły spojrzeniami i często obijała się mu o uszy wymówka:

— Czemu pan swoją żonę chowasz pod szkłem, jak egzotyczny kwiat?..

Poważne matrony groziły mu palcem i mówiły:

— To nieładnie...

Oswald tłumaczył się jak mógł i z wymówek zdawał przed Heleną sprawę, perswadując jęj że początkowe złe przyjęcie jakiego doznał, musiało być nieporozumieniem, a może wynikiem jakiejś salonowej kabały. Helena z drwiącym uśmiechem przyjmowała sprawozdania i perswazyę, a kiedy mąż jęj mówił:

— Księżna X, hrabina Y, baronowa Z. pragną cię poznać...

Ona odpowiadała:

— Niech trochę poczekają... Niema czego się spieszyć...

Do niespieszenia się był pewien ważny po-

wód. Ten sam powód zmuszał ją do zaniechania na jakiś czas konnej jazdy. Kibić jej doznała zmiany, z którą światowe panie nierade się popisują, zwłaszcza w położeniach, w których, jak na koniu, chodzi głównie o ekshibicyą kibici. Pokazywała się więc światu nie inaczej, tylko przez szkła karéty i z za baryery łoży, a świat grzmiał skargą na Oswalda:

— Zazdrosny...

Był to zarzut najniesłuszniejszy w świecie. Oswald ani trochę nie ulegał tój wadzie i to tém mniej, iż sposób życia jaki Helena zaprowadziła, uważał za przechodni, tymczasowy, mający potrwać najdłużej lat parę i urwać się dla braku środków. Więc i małżeńskie swoje pożycie miał za cóś tymczasowego, przewidując zawczasu tę chwilę, w której powie Helenie:

— *Ma chère*, wracaj do Sabinowa...

W przewidywaniu przeto tój chwili, starał się korzystać z pomyslnój dla siebie zmiany salonowych usposobień i na łeb na szyję rzucił się w wir światowego życia, w którym dzielnie mu pomagał urok milionów. Mówiono o nim że zazdrosny, a to, zamiast mu szkodzić, pomagało. Płeć piękna mściła się na nim w ten spo-

sób, że usiłowała sprawić mu roztargnienie, któreby mu kazało zapomnieć o żonie. On też poddawał się tej zemście i zapominał o Helenie, zostawiając jej niczem nieograniczoną swobodę. Widywał się z nią zwykle dwa razy na dzień, przy śniadaniu i przy obiedzie. Harmonia pomiędzy nimi panowała jaknajlepsza.

Ktoby na nich patrzył z boku kiedy byli razem, powiedziałby że to małżeństwo wzorowe, nie bawiące się w czułości, ale zgodne, jedno dla drugiego wyrozumiałe i w najwyższym stopniu przyzwoite. On bywał wesół, mówiący, sypiący kalamburami, ona słuchała i pytania rzucała.

Razu pewnego, przy śniadaniu, oznajmiono mu że pani chora.

— Chora? — rzekł pytającym tonem. — Nie przyjdzie?

— Prosiła żeby pan jadł śniadanie sam...

Oswald trochę się na to skrzywił, przywykły zaprawiać jedzenie obecnością Heleny, ale jadł ze zwykłym apetytem. Zjadłszy, zapytał kamerdynera:

— Czy wezwała pani lekarza?..

— Nie wiem...była odpowiedź.

— Dowiedz się...

Kamerdyner wyszedł i powróciwszy po chwili, oznajmił, że lekarz był wzywany i wezwana została także kobieta, której nazwisko powiedział.

Oswald kiwnął głową i machnął ręką.

Przy obiedzie był także sam.

Dla ludzi przyzwyczajonych do towarzystwa, wielką jest przykrością jadać samotnie. Cała wówczas uwaga zwraca się na półmiski i choćby je okrywały arcydzieła kucharskiej sztuki, znajduje się w tych arcydziełach złe strony, jak astronomi odkryli plamy na słońcu. Nie smakują wtedy potrawy, sosy, przyprawy. Niesmakowitość staje się powodem złego humoru, a zły humor niestrawności.

Przykrości tej doznał nasz Oswald. Przy końcu obiadu uczuł jak mu zjedzone potrawy kamieniem w żołądku zaległy. Zjadłszy, westchnął, zapalił cygaro, wyciągnął się na kanapie i posłał kamerdynera, ażeby dowiedział się o zdrowiu pani.

— Chora — oznajmił kamerdyner powróciwszy — bardzo chora... jęczy...

Oswald się zmarszczył i kazał zaprzędz do karéty.

Nazajutrz nie jadł już w domu śniadania ani



obiadu. Żołądek jego upomniał się o zmianę kuchni i towarzystwo. Rano przed wyjazdem i wieczorem po powrocie do domu dowiadywał się o zdrowie Heleny. W następnym dniu wysłany kamerdyner powrócił z oznajmieniem, że pani jest zdrowszą i prosi pana do siebie.

Oswald uczynił zadość zaprosinom żony.

Helena leżała w łóżku. Choroba ją zmęczyła. Była blada, ale bladością która wdzięku dodaje. Czuły małżonek nie omieszkał powinszować jej tego.

— Ślicznie wyglądasz... interesująco... niby córka Albionu... Jakże się czujesz?..

— Lepiej... zupełnie dobrze... jestem tylko osłabiona...

— Będziesz musiała w łóżku leżeć...

— Przez kilka tygodni...

Wtém ozwał się krzyk dziecka.

— A!!.. zawołał Oswald.

Helena się uśmiechnęła.

— Obdarzyła mnie Opatrzność szczęściem ojcostwa... Powinienbym zpoważnić.

— Powaga ojcowska potrzebną jest dla syna, — odparła Helena. — Gdyby to był syn...

— Więc nie syn?.. — przerwał Oswald. — *Tonnerre de Dieu!*.. Gdyby komu przyszło było

na myśl wyzwąć mnie na zakład, byłbym się założył że będzie syn...

— Możesz ciekawy widzieć swoją córkę? .

— Czemu nie...

Helena zadzwoniła na piastunkę i ta z przyległego pokoju wniosła owinięte w poduszki, skrzywione i mrużące na światło oczęta dzieciątko.

— Brrr! — odezwał się Oswald, ujrawszy małeństwo. — Jakże skrzywione! Czy ono takim skrzywionem nazawsze pozostanie?..

Helena odpowiedziała uśmiechem.

— Cóż z niemi robić zamierzasz? .

— Oddam na mamki...

— Słusznie — podchwycił Oswald, wstając i rękawiczki wciągając... *Mauvais genre* jest trzymać dzieci w domu, zwłaszcza takie skrzywione... To psuje humor... *adieu!*...

## VI.

---

Świetnie powiodło się naszój bohaterce.

Jeden z kawalerów dawnój daty, który zapamiętał stare zwyczaje i dawny język salonowy, nazywał ją gwiazdą piérwszój wielkości. Wystąpienie jój, upragnione i oczekiwane, stało się ewenementem — epoką. Byli tacy, którzy według tego wystąpienia poczęli liczyć czas. Opowiadając o pewnych zdarzeniach, mawiali:

— Stało się to przed rewolucyą francuzką, a to przed kongresem wiedeńskim, a to przed pojawieniem się pani Heleny Dalman...

Zaledwie potrzebuję dodawać, że otoczono ją hołdami, do których doszła nie sposobem

przypadkowym, jak wszystkie panie zrodzone w wysokich towarzystwa sferach, lecz przebojem, wspartym rozmysłem. Całe postępowanie jej zdradzało niepospolitą znajomość serca ludzkiego. Nie narzuciła się światu, ale kazała się pożądać, a gdy pożądanie doszło do najwyższej potęgi, otworzyła dom — dla mężkiej połowy towarzystwa.

Słabość posłużyła jej wybornie. Półtora-miesięczne zniknięcie uczyniło ją, że tak powiem, droższą.

Kamienica N., cicha dotychczas i spokojna, nagle napełniła się gwarem. Gwar ten jednakże nie był niesfornym hałasem tłumu, ale wyrazem towarzyskiej śmietanki, harmonijnym, dźwięcznym i pełnym wytworności. Wszystko co się odznaczało dostojnością, rodem, majątkiem lub talentem, zeszło się na salonie Heleny, otoczyło ją, a rozchodząc się po innych salonach, roznosiło sławę jej wdzięków, taktu, rozumu i dowcipu.

— Ten Dalman — mówił głos powszechny — urodził się w czepku... Trzebaż żeby pojechał na południe i tam wygrzebał taką perłę...

Gdy tylko salon Heleny został otwarty, zaraz Oswald stracił opinią zazdrosnego męża,

a natomiast zazdrosnymi stali się goście jego żony. Zazdrościli mu takiej towarzyszki. Każdy porównywał go ze sobą i każdy grzyszył przeciwko dziewiętemu bożemu przykazaniu.

— Gdyby ona była moją... mówili sobie ludzie — umiałbym taki skarb cenić... On ją zaniedbuje... Biedna ona!..

I cisnęli się do tej biednej i bili przed nią czołem. Mogłaby mieć kochanków tyle, co liści na drzewie, i to jakichby chciała, poważnych, modnych, sławnych, żonatych lub kawalerów; ale nie chciała. Na gościach swoich robiła studia serc i charakterów — studia które ją do ciekawego doprowadziły rezultatu, do tego mianowicie, że panowanie nad samym sobą umożliwia zapanowanie nad ludźmi.

Wielką postrzegła różnicę pomiędzy towarzystwem jakie zostawiła w Sabinowie, a tem jakie znalazła w stolicy. W tem jednakże ostatniem nie znalazła tego, czego w tamtem było podostatkiem: ani jednego serca, a na miejscu serc jakieś sztuczne aparaty, ciekawe tylko dla anatomów i fizyologów. To ją wszakże ani trochę nie martwiło.

— To tylko dowód, mawiała sobie, że serce jest właściwością parafii...



Pod tym względem nie myliła się. Wielki świat zabija uczucie, a utworzoną z tego powodu próżnię zapełnia namiętnością, którą kielżna wędzidłem etykiety.

Poznała przeto, że etykieta jest tu absolutną panią. Ją zgłębić — a przytém posiadać trochę dowcipu i nieco przebiegłości — na tём polega wszystko.

— Niezbyt trudne to zadanie — pomyślała.

I otoczyła się etykieta od niechcenia, że zdawało się jakoby na wielkim świecie zrodziła się, wyrosła i wychowała. Parafiaństwa ani śladu w niej nie pozostało. Barwa wieśniaczej świeżości znikła z niej zupełnie — i kiedy z pierwszą wizytą pojawiła się na salonie starej hrabiny X., grającej rolę patryarchini pięknego świata, panie jednogłośnie rzekły:

— To nasza...

Hrabina X. okazała się dla naszej bohaterki wielce łaskawą. Od pierwszego widzenia jęj i obejrzenia od stóp do głowy, pasowała ją na rycerza w spódnicy.

I spełniły się pragnienia Heleny. Wystąpiła na wielkim świecie, jak równa śród równych — weszła krokiem śmiałym, z podniesio-

na hardo głową, pewna siebie i spokojna o przyszłość.

Ostatnie wyrazy — „spokojna o przyszłość“ — prosiłbym czytelników, ażeby sobie zanotowali w pamięci. Dlaczego spokojna? — ciekawe pytanie. Posagowe pieniądze płynęły jak woda, a na tych pieniądzach opierała się przyszłość. Helena nie była tak krótkowidząca, ażeby wiedzieć nie miała, że z ostatnią złotówką jej świetność zmi się raptem i w nic rozpłynie. Wiedziała także iż małżonek, przy najlepszej woli, nie zdołałby jej podtrzymać. Wiedziała niemniej, że próżnia w worku wypóźni jej salon z wielbicieli i zamknie przed nią wszystkie drzwi. Wiedziała że czterysto tysięcy złp. nie są źródłem niewyczerpanem. O tem wszystkiem wiedziała — a mimo to spokojną była o przyszłość. Dlaczego? — Bo w jej egzystencji tkwiła pewna tajemnica, o której rozpiszę się później. W tem miejscu wspomnę tylko, że spokój wyrobił się w niej powoli, nie odrazu. W pierwszych chwilach był on w oczach, na licu, w ustach, ale nie w duszy — był więc udanym. Z czasem jednakże stał się rzeczywistym. Helena szła naprzód,

jakby w rezerwie posiadała niewyczerpane skarby.

Hrabina X. wzięła ją pod wysoką swoją protekcją. Pod skrzydłem tej matrony otworzyły się przed nią podwoje wszystkich pałaców i do jej drzwi zapukało całe arystokratyczne kółko, wyjąwszy jednej księżny O., która nagle znikła z horyzontu. O zniknięciu tym pomówimy później. Nie mogę wszakże nie zrobić pewnej uwagi, odnoszącej się nie do Heleny, nie do księżny, ani do żadnej z działających w niniejszej powieści osób, ale do samej powieści, dla której bardzo w porę wypadło usunięcie się takiej osobistości, jak księżna O. Gdyby księżna była pozostała, kto wie co by się z powieścią stało. Nie mogłaby się może należycie rozwinąć. Do rozwinięcia jej potrzeba było, ażeby księżnie przyszła ochota wyjechać za granicę. Wyjechała — i Helena nie mogła zaspokoić ciekawości poznania tej, o której Oswald, przez czas podróży z Odessy, mnóstwo przeróżnych narozpowiadał jej szczegółów.

Z usunięciem się księżny znikła jedyna zawada, która mogła psuć powodzenie Oswalda i Heleny na wielkim świecie — powodzenie

zupełne, patronowane głównie przez hrabinę X.

Stara hrabina nie zwlekała z rewizytowaniem pani Dalman. Odwiedziła ją wkrótce.

— Pozwól mi na pewną poufałość — rzekła do naszej bohaterki po załatwieniu powitalnych ceremonij.— Będę cię nazywała po imieniu i traktowała jak najbliższą kuzynkę... Wiek mój, położenie i życzliwość jaką mam dla ciebie, dają mi do tego niejakię prawo...

— Pani — odrzekła Helena z wdzięcznym uśmiechem — to mi czyni zaszczyt.

— Bo to widzisz — ciągnęła hrabina — młoda kobieta, rzucona nagle w wielki świat, potrzebuje czasem życzliwej rady i doświadczonej pomocy...

— Niezawodnie... wtrąciła Helena, myśląc o jaknajostrożniejszym przyjmowaniu rad i o zupełnem obchodzeniu się bez pomocy.

— Jadąc do ciebie, drżałam na myśl, że cię mogę nie zastać; chciałam ci bowiem powiedzieć o wynalazku, jaki na twoję intencją zrobiłam...

Helena uśmiechem pytała hrabinę o ów wynalazek.

— Wynalazłam sposób pokazania cię korzystnie wyborowi towarzystwa...

— Hrabina taka dobra...

— Wynalazłam pretekst do balu...

Powiedziawszy to, tryumfująco popatrzyła na Helenę, która ułożyła twarz do wyrażenia podziwu.

— Pretekstem tym są urodziny mojej wnuczki, kończącej piętnaście lat... Przypadają one za trzy tygodnie... Pretekst wyborny; przyszedł mi na myśl, kiedy myślałam o tobie... Rozeszłę inwitacye i poufnie powiem, że bal będzie na twoją intencją... Czyś kontenta?...

— O! pani... Nie wiem prawdziwie czém zasłużyłam na tyle względów...

— *Ma chère*, podobałaś się mi... Rozkochałam się w tobie... stare kobiety są trochę mężczyznami...

Nie to było powodem życzliwości hrabiny. Była to kobieta w rodzaju tych, których celem życia jest przenoszenie romansu z książki w rzeczywistość. Bogata, w wysokiej sferze towarzystwa urodzona i wychowana, czytana, póki była młoda, sama romansowała, postarawszy, stała się romansu patronką. Helena, od pierwszego oka rzutu, wydała się jej wyborną



na heroinę. Oto w czém tkwił powód życzliwości jej dla naszej bohaterki, która w jej mniemaniu posiadała następujące, nadzwyczajnie przydatne do romansowego heroizmu warunki: bogactwo, piękność, młodość i związanie się ślubem małżeńskim z człowiekiem próżnym, ubogim i pięknym. Z tych warunków wysnuwała mnóstwo kombinacyj i dla tych to kombinacyj zainteresowała się Heleną.

— Powiem poufnie, że to na twoje intencją... a pretekst jest wyborczy...

— Nie umiem wyrazić pani mojej wdzięczności — odpowiedziała Helena; — pozwolę sobie tylko tę zrobić uwagę, że ja wieśniaczka...

— O!.. nie mów mi tego — przerwała hrabina — bo zmusisz mnie do psucia cię prawdą... Z twojém wieśniactwem tak ci do twarzy, że jesteś zachwycającą... Pewna jestem, że będziesz królową balu, pomimo iż, w celu uwydatnienia twojej piękności, nie dopuszczę się żadnego podstępu... Mówię ci to otwarcie...

Helena ciekawą była, coby to mógł być za podstęp.

— Prosty i naturalny... Gdybym prosiła same brzydkie kobiety, musiałybyś być naj-

piękniejszą... Zrobię jednakże przeciwnie: sproszę same piękne... Co za szkoda, że niema księżny O...

— Wielka szkoda — wsunęła Helena.

— A to dlaczego? — zapytała hrabina.

— Mąż mój tyle mi o niej mówił...

Hrabinie złośliwy półuśmiech skrzywił usta. Zabawiła jeszcze przez chwilkę i odeszła.

W kilka dni po tej rozmowie Oswald wręczył przy obiedzie Helenie litografowaną inwitacyjną kartę.

„Hrabina X. ma zaszczyt prosić pana O. Dalman i panią H. Dalman, ażeby raczyli” etc.

W oznaczonym dniu odbył się bal, na którym Helena zajaśniała wielkim blaskiem. Bogactwem i gustownością toalety, pięknnością twarzy i postawy, dystynkcyą manier i dowcipem przewyższyła wszystkie panie. Jednogłośnie uznano ją królową i powszechnie winszowano sobie, że stolica w jej osobie taki zrobiła nabytek.

— Śmiać mi się chce — mówiła do niej hrabina w parę dni po balu. — Mój bal inauguruje nową epokę, która zapewne w salonowych rocznikach będzie twoję nosiła nazwę... Formują się projekta balów na twoję cześć...

Wiem już o pięciu... Ale bo też, wyznać potrzeba, żeś niepospolite zrobiła wrażenie, które rzuci perturbacją w łona kilku rodzin...

— Mój Boże!— zawołała Helena z udanem przerażeniem.

— Niech cię to nie przeraża—podchwyciła hrabina.—Jest to powszedni chleb, którym się świat karmi... Gdyby go odepchnął, umarłby z głodu...

Projektowane bale przysły do skutku. Za każdym z nich wzmagało się powodzenie Heleny—powodzenie, które ją otaczało wielbicielami, a jej męża wielbicielkami. Płeć piękną gniewało to powodzenie: więc się mściła, w braku innych sposobów, przez usiłowanie zawrócenia głowy Oswaldowi.

Helena pod trzonkiem swego wachlarza trzymała dużo znakomitości i prowadziła je—przepraszam za wyrażenie—za nosy. Pomiedzy tymi szczęśliwcami byli i dyplomaci, i rycerze, i finansisci, i nawet doktorowie filozofii, że pomnę wszystkich tych, których wiek lub położenie w towarzystwie uwalniało od powagi z obowiązku.

Bale dawane na cześć Heleny wymagały z jej strony odwetu. I ona dała bal—i oczarowała,

tak na salonach swoich potrafiła wystąpić bogato, z gustem i gościnnie. Hrabina nie mogła się jęj dość nawinszować.

— *Ma petite chérie*, jesteś bożyszczem towarzystwa... Muszę ci powiedzieć otwarcie, że twoje sukcesy liczą się do nadzwyczajnych... Przyznam się tobie, że nie znam większych...

Helenie to pochlebiało. Z przyjemnością słuchała co jęj opowiadała hrabina, o której uszy obijało się wszystko, co się tylko po salonach mówiło.

— Ale muszę cię skarcić — ciągnęła dalej, grożąc z uśmiechem palcem na nosie.— Ludzie skarżą się na zbytęcną twoję surowość... Niedawno obrazowo zdefiniował cię pan R. (ten pan R. był bankierem), który umie być czasem dowcipnym... Mówił że jesteś podobną do skały wśród morza, patrzącęj obojętnie jak u stóp jęj rozbijają się bałwany... Uszczypliwy dwuznacznik... Pan R. nie ma siebie za bałwana, pomimo, że się u stóp twoich rozbija... Warto ażebyś na nim pomściła towarzystwo...

Pomimo tego rodzaju podszeptów, Helena trzymała wielbicieli swoich w przyzwoitem oddaleniu, nie odpychając ich, ale też nie pozwalając zbliżyć się zanadto.

Tak upłynął rok i drugiego trzy ćwierci. Do podszeptów hrabiny, przyłączyły się inne.

Razu pewnego po śniadaniu, kiedy małżeństwo było sam na sam, Oswald w następujący niespodzianie odezwał się sposób:

— Spółka nasza trwa już osiemnaście miesięcy... Czas w niej się rozpatrzyć... Gdzie jesteśmy?...

— Chętnie — odparła Helena, której taki początek nie zrobił przyjemności.

— Punkt wychodni naszej asocyacji opierał się na podwójnej podstawie, na którą składaliśmy się ty i ja: ty ze czterechkroć stotysięcznym posagiem, ja z niczem... Twój posag i moje nic, były to warunki naszego bytu... Czy te warunki jeszcze istnieją?...

Helena trochę pobladła na twarzy.

— Co do mnie — ciągnął Oswald — nie mam sobie nic do wyrzucenia... Sumienie moje, w obec spółki, jest czyste... Nie wniosłem nic, więc moja wkładowa część pozostaje nienadwreżoną...

— Przepraszam — odparła Helena — wniosłeś ramię, które mi było bardzo potrzebném...

— A ba! — przerwał Oswald. — Ja moje ra-



mię cenię co ono warte, a że się bez niego obchodzisz, ztąd wniosek, że nic nie warte...

— Porzućmy przesadę — podchwyciła Helena. — Byliśmy ze sobą dotychczas w dobrej harmonii, to bądźmy i nadal... Mówmy o rzeczach jakimi one są, a nie za jakie można je przedstawić... Pragnęłam wejść na wielki świat...

— *Si* — rzekł Oswald, pochylając na znak potwierdzenia głowę.

— Potrzeba mi było kogoś, ażeby mnie wprowadził... Tego kogoś znalazłam w twojej osobie...

— *Si* — powtórzył Oswald.

— I zaproponowałam ci asocyacją, w którą mój posag włożyłam jako wkupne...

— Doskonale przedstawioną jest rzecz, lecz tylko z jednej strony... Odwrotna strona medalu wypadłaby może trochę gorzej; ale mniej-sza o to... Nie idzie mi o medal, lecz o to, że do asocyacji naszej wchodzić dwie osoby, ty i ja... Ty dopięłaś swego celu; ja to widzę i wraz z całą publiką przyklaskuję twemu powodzeniu, które, muszę to wyznać, jest olśniewajacém... Lecz pozwól ażebym się zapytał: czy śród grzmotu oklasków przychodzi ci kiedy na myśl druga osoba spółki?...

Helennie krew uderzyła do głowy. Postrzegł to Oswald i ciągnął dalej:

— Widzisz, musimy być ze sobą otwarcie... Mógłbym zażądać od ciebie kalkulacyi z twego posagu, który, jak miarkuję, musi się już mieć ku końcowi... Dno worka, jeżeli jeszcze nie wygląda, to dziś albo jutro wyglądnie i pobudzi nas oboje do filozoficznej nad znikomością mamony zadumy... Tę jednakże kwestyą pomijam... Asocyując się z tobą, nie spekulowałem na twój posag, ale na twoją pamięć... Przypuszczałem, że wśród powodzeń, które przewidywałem, będziesz o mnie pamiętała...

Ostatnie wyrazy wymówił z przyciskiem, zakrawającym na tkliwość. Helena nie rozumiała do czego one dążą. Dlatego odpowiedziała:

— Przecież wszystko ze sobą dzielimy...  
Oswald się na to roześmiał.

— Gdyby tylko o dzielenie chodziło... Lecz wejdźmy w istotę spółki... Każdy z członków wynosi z niej coś, co jest jego wyłączną własnością... Ta własność jest czystym zyskiem, pozostającym po potrąceniu wszelkich wkładów i nakładów... Owóż, chciałbym widzieć tę część czystego zysku, która na mnie przypaść powin-

na... Bo spodziewam się, że nie jest nią zaszczyt nazywania się mężem pani...

Helena zamyśliła się na chwilę i po chwili zawołała:

— A!.. zaczynam pana rozumieć!.. Dziwi mnie tylko, dlaczegoś nie powiedział mi wręcz: masz stosunki z ludźmi wpływu i znaczenia, zużytkuj je na moją korzyść... Jeżeli się nie mylę, chcesz, ażebym wyspekulowała dla ciebie karierę...

— Tkliwa żona powinna by o tem myśleć— odrzekł pół seryo, pół żartem — zwłaszcza mając tak wyrozumiałego męża jak ja...

— Prawda... masz rację... moja wina—odparła Helena...

Ciekawe spostrzeżenia czynićby mógł fizyognomista, gdyby w czasie trwania tej rozmowy patrzył pilnie w białka oczów tych dwojga ludzi. Mówili do siebie grzecznie, uśmiechali się, przybierali miny to seryo, to żartobliwe, a po za temi minami, po za uśmiechami, za franką grzecznoty, gdzieś w głębi, siedziała pogarda. Helena gardziła tym pięknym człowiekiem, który mówiąc, ostrogą wyciskał ósemki na podłodze. Oswald gardził tą piękną kobietą, na której gładkiem czole anielska jaśniała pogoda.

— Krótko mówiąc, chcesz ażebym wyrobiła dla ciebie posadę, zapewniającą ci stanowisko w świecie...

— Wynałazłaś kamień filozoficzny—odparł Oswald.—Trzeba bowiem ażebyśmy rzeczy brali jak są... Jestem dzieckiem szczęścia, to jest Opatrzność rzuciła mnie w świat, nie pomyślawszy z góry o zaopatrzeniu mojej osoby... Myślała o tem później i psuła mnie, bo uścielała przedemną drogę różami... Jestem tedy zepsutym dzieckiem, o którego poprawie nie czas już myśleć... Potrzeba ażebym tchem jednym zabiegł aż tam, gdzie się wszystko kończy, a skończeniem wszystkiego dla mnie jest początek pracy... Nic nigdy nie miałem, nigdy nie pracowałem i nigdy mi na niczem nie brakło... Do ciebie należy zapewnić mi byt i nadal... Nie jestem wymagający... Niech nic nigdy nie mam, ale niech nie pracuję, bo nie umiem, i niech mi na niczem nie braknie, bo do tego mnie los przyzwyczał...

— Trudne mi dajesz i delikatne do rozwiązania zadanie—odrzekła Helena.

— Delikatne?.. *si* — podchwycił Oswald — trudne?.. względnie... Dla ciebie, zdaje się, zbyt trudnym nie będzie... Kobięta u nóg swoich

mająca takie powagi, ma prawo wielbicielom swoim stawiać pewne w pewnych razach warunki.

— Nie wiem... spróbuję — wycisnęła przez zęby tchem jednym Helena, a oko jej dziwnym łysnęło połyskiem.—W każdym razie spodziewam się, że nie będziesz naglił... że mi zostawisz dość czasu...

— Tyle, ile upłynąć może do chwili w której wydasz ostatnią z posagu twego złotówkę... Ta chwila musi już być bardzo, bardzo niedaleką...

— Bądź o to spokojny—rzekła z uśmiechem Helena.

— Mąci mi spokojność matematyka, i to nie wysoka, bo reguła odciągania... Matematycznie jestem przekonany, że jeżeli od czterech odejmie się jeden, zostaje trzy, od trzech jeden, zostaje dwa, od dwóch jeden, zostaje jeden, a od jednego jeden, zostaje zero... Owóż to zero jest zmorą, która mnie ściga i spokoju mi nie daje...

— Bądź spokojny—powtórzyła Helena.— Mam i ja także wzgląd na regułę odciągania i... jeszcze raz ci powtarzam, bądź spokojny... Mój posag nie wyczerpie się tak prędko...



— Niepodobna! — zawołał Oswald. — Przy życiu jakie prowadzimy?..

A widząc w oczach Heleny zupełną pewność siebie, dodał:

— Chyba że szanowny wujaszek, po za temi czterokroć stotysiącami, ukrył jaką rezerwę, składającą się z drugich i trzecich czterechkroć stutysięcy?..

— Niech cię to nie obchodzi... Jeszcze raz ci powtarzam: bądź spokojny i cierpliwy... Uroczę ci zareszczam, że nim wybije ta fatalna godzina którą przewidujesz, postaram się o zapewnienie ci bytu w warunkach jakie stawiasz..

— Do czegoż ta zwłoka? — rzekł Oswald trochę niecierpliwie, uderzając lekko ostrogą o posadzkę.

— Bo jeszcze o tem nie myślałam... bo potrzebuję się rozpatrzyć... bo nie wiem jakie i gdzie są posady uwalniające od pracy i zapewniające stanowisko...

— Jeżeli ci o to chodzi, to wyliczę...

I jednym tchem, bez zająknięcia się, wymienił kilkanaście sinekur.

— Dobrze... Zanotuję je sobie w pamięci... Będę się starała — odrzekła Helena tonem pro-

tekcjonalnym. — Tylko zaklinam cię, nie nalegaj, bądź cierpliwy i spokojny...

Radzę czytelnikowi zapamiętać wyraz „spokojny“, który bohaterka nasza ze szczególnym wymawiała przyciskiem, jakby wiele jęj na tém zależało, ażeby koniecznie wlać spokój w duszę Oswalda.

— Spokojny?.. hm... spokojny?—powtórzył ten ostatni. — Cóż robić?.. Na takie solenne zaręczenie musiałbym chyba uchybić czci należnej płci nadobnej, gdybym nie był spokojnym... Sprzeciwia się to wprawdzie elementarnemu rachunkowi, który się na czci nie zna, ale... cóż robić?.. Kogoś tam, opowiadającego że do Paryża jechał na Pekin i Nangasaki, zapytano: „A geografia?..“ „Pozostała na lewo“ odpowiedział... I mnie mógłby się kto zapytać: „A arytmetyka?“... „Pozostała na stronie“, odpowiem... Z tém wszystkiém jednakże przyrzekam pani uroczyście, że będę spokojny i cierpliwy...

— Dziękuję!—rzekła Helena i rękę mężowi podała.

Oswald złożył na jęj ręku pocałunek.

— Kontenta pani ze mnie?..

— Bardzo...

— Przyznam się pani otwarcie, że gdyby

zawsze miało być tak, jak jest dziś, to żadna chmurka nie zaćmiłaby nieba mego spokoju... A gdybym był tego pewny, to nie nudziłbym pani całogodzinném sam na sam...

I dodał żartem:

— Gdyby kto nas podpatrzył, gotówby pomyśleć, żeśmy parą rozkochanych...

— Czyżby to miało nam ubliżać? — podchwyciła Helena także żartem.

— *Fi donc!*... Kochać się mężowi w żonie, albo żonie w mężu, albo, co najgorzej, wzajemnie... Wszak to *mauvais genre*...

Wstał, wyprostował się, przeprosił żonę za nudy rozmowy, szarmancko się jej skłonił i wyszedł.

Helena odchodzącego oczami odprowadziła i, kiedy znikł za drzwiami, z głębi piersi odechnęła, jakby po wielkiem zmęczeniu. Odrzuciła głowę w tył, oparła ją o wymateracowaną poręcz fotelu, oczy jej nabrały szklistego połysku i wpatrywała się w sufit. W takiej pozycji pozostała długo. Usta otworzyła, ręce opuściła, pierś ledwo dostrzeżonym podnosiła się oddechem; leżała nieruchomie, że możnaby ją było wziąć za figurę z wosku, ubraną w suknie według ostatniej mody, dla tém lepszego złu-

dzenia oczów widza — i myślała o niczem. W mglistej jakiejś dali migotał przed nią Sabinów, a w Sabinowie dwór szlachecki, a we dworze wuj, wujenka, Bronisia, pełno służby, wszystko postacie grubo ociosane, niezgrabne, lecz owiane urokiem spokoju sumienia. Te postacie migotały przed nią niewyraźnie, niby w obłoczystem otoczeniu lub senném widzeniu—i nagle wśród nich ukazała się postać dziecka—maleńkiego dziecka, w białych pieluchach, w czépeczku ze szlarczką na łyséj główce, z uśmieszkiem na buzi.

— Moje dziecko!—zawołała i z letargu się obudziła.

Wtém we drzwiach stanął kamerdyner w pełnej liberyi i donośnym głosem zaanonsował:

— Książę X...

— Nie przyjmuję—odpowiedziała Helena.

Zaczęła rozmyślać:

— Zkąd mi Sabinów przyjść mógł do głowy?.. Spokój sumienia... cisza grobowa.

I przedstawiła sobie Sabinów w postaci kupy śmiecia, narzuconej na brylant piérwszej wody. Tym brylantem była ona. Kto ją tam mógł widzieć? kto ocenić?—

Kamerdyner znów się zjawił na progu.

— Hrabia Y...

— Nie przyjmuję!—była odpowiedź Heleny.

I dalej myślała. Nie miała czego żałować. Sielanka wiejskiego życia była nie dla niej. Potrzebowała grzmotu oklasków za jakąbądź cenę. Kupiła je kosztem spokoju sumienia. Mniejsza o to.

— Baron R.—zaanonsował kamerdyner.

— Nie przyjmuję—odpowiedziała.

— Spokój sumienia?.. zaśmiała się—i grób... Niepokój?.. i życie... Miałam do wyboru: grób albo życie?.. Gdybym dziś wybierała, to jeszcze wybrałabym to ostatnie...

— Hrabina X.—zaanonsował kamerdyner.

Helena pomyślała przez chwilę i odpowiedziała:

— Nie przyjmuję...

Potrzebowała być z sobą sam na sam. Do tej potrzeby nastroiła ją rozmowa z Oswaldem, który nasunął jej do myśli coś takiego, czego ona nie przewidywała ani przeczuwała. Chętnie rzuciłaby człowieka, który niedwuznacznie zrobił jej propozycją ponizającą godność kobiety. Ona tę propozycją wysłuchiwała—nie zerwała się, nie wyciągnęła ręki, nie ukazała



palcem na drzwi i nie krzyknęła na człowieka noszącego miano jęj męża:

— Precz!..

Byłaby to uczyniła w Sabinowie. Więć go—ność kobięca, była to reminiscencya wsi — reminiscencya grobu. Tam wydała się jęj ona na swoim miejscu, tu—nie.

— Nie?.. a dziecko?—zadała sobie pytanie.

Ramionami ścisnęła i ręką machnęła. Zapytanie to zrobiło jęj wyraźnie pewną przykrość, dowodzącą, że Helena nie pozbyła się jeszcze zupełnie wszystkiego tego, co uważała jako wiejski przesąd. Była matką. Ta myśl powracała jęj do głowy w formie obowiązku, którego dopełnienie nie wydawało się jęj niemożliwym na ślizkiej drodze, po której sama szła, a z której zejść nie mogła lub nie chciała.

— Pan Ładyżyński—zaanonsował kamerdyner.

— Prosić—odrzekła Helena i dodała: Dziś nikogo nie przyjmuję...

Nikogo nie przyjęła, tylko jakiegoś pana Ładyżyńskiego.

## VII.

---

Wbrew arytmetyce, na złość wszelkim przewidywaniom, posag Heleny nie wyczerpywała się i nie wyczerpywał. Lata mijały: tryb życia, jaki państwo Dalman zaprowadzili w pierwszych miesiącach, w niczem się nie zmieniał. Niedostatek, chociażby nawet najlżejszy brak, ani na chwilę nie zajrzał do kamienicy N. Zawsze starczyło im na życie wystawne, odpowiednie wysokiej sferze towarzyskiej, której integralną stanowili część. Co więcej — najmniejszy dług nie zaciężył ani na Oswaldzie, ani na Helenie. Było to dziwnem. Dochody wpływały, i to donośne, ale źródło tych dochodów pokrywała jakaś nieprzebita tajem-

nica. Oswald wprawdzie domysłami je odgadywać próbował, podejrzewając Helenę o spółnictwo raz z tym, drugi raz z owym kapitalistą; lecz stanowczo i wyraźnie oświadczam, że domysły te były niesłuszne. Od upadku tego broniły Helenę trochę wspomnienia z Sabinowa, trochę macierzyństwo, a najwięcej ta okoliczność, że nie potrzebowała uciekać się do środków ostatecznych.

Nie wiem czy zrozumiałe uwydatniłem charakter tej smutnej heroiny, która jedną tylko miała namiętność. Namiętnością tą była chęć błyszczenia. Byle tę chęć zaspokoić, żadna ofiara nie wydawała się jej zawielką, a zaspokojenie jej, zaspokajało wszystkie chęci, pragnienia, życzenia serca i krwi. Nie rękę coby zrobiła, gdyby stała przed nią alternatywa upadku salonowego, albo upadku moralnego. Ale że nie stała, więc Helena pozostała, według malowniczego wyrażenia pana R., „skałą wśród morza, patrzącą obojętnie jak u stóp jej rozbijają się bałwany.” Nie była w tym jej zasługa, lecz..... tak się złożyły okoliczności.

Z upływem czasu pozycja naszej bohaterki uregulowała się na wielkim świecie. Zapał,

z jakim ją z razu przyjęto, nie mógł trwać wiecznie. Zaprzestano dawać na jej cześć bale, zaprzestano tłumnie ją otaczać i bić przed nią pokłony; nie zaprzestano wszakże uważać ją jako główną salonów ozdobę — jako pewien rodzaj gwiazdy pierwszej wielkości, świecącej stale, jednakowo, ale zawsze jasno. Panie mające do gwiazdowości pretensya, oswoiły się z nią i pierwszeństwo jej przyznały. Panowie mający do jej względów pretensya, uszykowali się w kolumnę, w której każdy miał wyznaczone miejsce i wypisany numer: pierwszy, drugi, trzeci i t. d., i numerowym porządkiem zbliżali się do niej i takimże porządkiem odpadali. Rzecz się usystematyzowała. Numer pierwszy stał najbliżej — docierał — łaska pięknej pani spoczywała na nim wyrażnie — mówiono o tém jak o rzeczy najpewniejszej — tworzono już z Heleny heroinę skandalu — i raptem rozlegał się głos:

— Wypadł z łaski!..

I numer pierwszy ustępował miejsca drugiemu, drugi trzeciemu, trzeci czwartemu i t. d. Nawiązywała się nowa intryga, która się rozwiązywała na wzór i podobieństwo poprzedniej.

Dysgracyonowani sformowali gromadkę mal-kontentów, a zwiększali ją niektórzy z tych, których stanowisko na szarym końcu ostatnich szeregów skazywało na długie czekanie.

Szary, najostatniejszy koniec rozpływał się w masie, rekrutującej się nazewnątrz salonów. Tam błąkało się pełno owych wilków-astronomów, poprzestających na patrzeniu w słońce. Pomiedzy tymi ostatnimi był jeden, zasługujący na uwagę czytelnika. Był to człowiek nie pierwszej młodości, ale i nie stary, nie powabny i nie elegancki. Wzrostem nie był słuszny, ale i nie mały, nie chudy, ale i nie otyły. Oglądając jego postawę dokoła, do wszystkiego co w skład jej wchodziło, dawało się zastosować „nie“. Słowem, było to „nie“ wcielone w człowieka, którego dodatnią stroną stanowiło to, że nosił się trochę pochylał i posiadał uszy odstające, niby przy głowie ptasie skrzydła, co jego bladziej fizyognomii, wygolonej i włosami jasnoblond ozdobionej, nadawało wyraz ptaka.

Człowiek ten widywał Helenę często — zawsze pod gołym niebem, bo progów salonowych jego noga nie przekraczała — i najmniejszego modna kobieta nie robiła na nim



wrażenia. Widywał ją, jak tysiące innych przechodzących i przejeżdżających. Zwykle spotykał ją w parku, galopującą na karym arabczyku i, kiedy inni zachwycali się szykowną amazonką, on ledwo okiem na nią raczył rzucić.

Raz jednakże — a było to w piątym roku pożycia małżeńskiego Heleny — ujrzał ją otoczoną licznym gronem jeźdźców, pomiędzy którymi był i Oswald. Ptasia twarz jego przybrała wtedy wyraz złości. Zgrzytnął zębami, zaiskrzył oczami i wpatrzył się w Helenę. Kawalkada przegalopowała; on poszedł w swoją stronę.

Od tej chwili, przez kilka dni z rzędu, widywał Helenę, ale po dawnemu, to jest obojętnie. Aż znów spłonął gniewem i w nią się wpatrzył, gdy w otoczeniu jej powtórnie zjawił się Oswald.

Zdawałoby się przeto, że interesował go Oswald, nie ona.

W jednym jednakże z następnych dni, spotkawszy ją bez Oswalda, zatrzymał się, wpatrzył i zapytał stojącego obok młodzieńca:

— Nie może mi pan powiedzieć, co to za dama..

Szczególny traf chciał, że młodzieniec był wielbicielem Heleny.

— Chcesz pan wiedzieć co to za dama? — odpowiedział.

W tém miejscu zrobić muszę uwagę, że wielbiciel nie wiedział ani imienia, ani nazwiska amazonki, która serce jego posiadała.

— Jeżelibyś pan był tak grzecznym i powiedział mi, byłbym panu obowiązany...

— O panie!.. ta dama jest to piękność! — odrzekł młodzieniec z zapałem.

— Nie potrzebowałbym pytać się pana o to...

— Więc pan tego nie uznajesz?..

— Przeciwnie.... Znajduję tę panią niebrzydka...

— Ach!.. nie mów pan tak!.. to profanacya jęj piękności... Ta dama nie niebrzydka, ale zachwycająca!...

— To rzecz gustu... panu się snadź podobała.

— Podobała? — podchwycił młody człowiek. — Powiedz pan raczej że mnie zachwycała... Uwielbiam ją... Kocham!..

Ten ostatni wyraz, podniesionym głosem,

z takim wymówił przyciskiem, że człowiek z odstającymi uszami uśmiechnął się i rzekł:

— Pan tak głośno, na ulicy, do miłości się przyznaje?..

— A cóż w tém złego?.. Nie na ulicy, ale chciałbym wdrapać się na szczyt Himalaja i w słuch całemu światu krzyknąć, że ją kocham!..

I dalej mówił, deklamując:

— Bo pan nie wiesz com ja téj miłości winien!.. Ta miłość podniosła mnie i uszlachetniła... Pan nie wiesz co ta dama ze mnie zrobiła... Czém Beatricza dla Dantego, czém Laura dla Petrarki, tém ona stała się dla mnie... Przez nią ja pełzający po ziemi płaz, uskrzydliłem się i lotem orlim wzniosłem na Helikon...

— Jakże się ona nazywa? — wtrącił człowiek z odstającymi uszami.

— Nazywam ją niekiedy Beatryczą, niekiedy Laurą...

— Lecz jakże ją nazywają ludzie?..

— Ludzie?.. o! ludzie!.. Posłuchaj pan mojej rady: jeżeli ujrzysz kiedy kobietę, w której oczach ukaże ci się niebo, nigdy o nią nie pytaj ludzi... A wiesz dlaczego?..

— Pan nie jesteś łaskaw odpowiadać mi na pytanie...

— I owszem, na każde pytanie odpowiedziałem panu... Ja jestem człowiek grzeczny, nie lubię ubliżać nikomu...

— Pytałem się pana jak się ta dama nazywa?....

— Czyż nie odpowiedziałem?..

— Tylko żeś się niczego z odpowiedzi pańskiej nie dowiedział...

— Ha!.. to już nie moja wina!... Uczyniłem zadość grzeczności... Powiedziałem więcej niż należało... Pana samego zadziwiły moje odpowiedzi... A żeś z mojej grzeczności nie umiał skorzystać, zatem *adio*...

Człowiek z odstającymi uszami z drwiącym uśmiechem patrzył za oddalającym się poetą-kochankiem, u którego nie można było dopytać się jak się dama jego serca nazywa. Nie poszedł za nim ani w przeciwną stronę i, stojąc w miejscu (działo się to w parku), doczekał się powrotu Heleny tą samą ulicą. Jechała stępem. Głaskała po grzywie arabczyka, słuchając z uśmiechem mówienia jadącego obok niej jakiegoś siwego jegomości, pochylonego ku niej na angielskiej szkapie.

Obok człowieka z odstającymi uszami zatrzymał się człowiek w oliwkowym wytartym surducie i pomiętym na głowie kapeluszu. Pierwszy nie zwracał uwagi na drugiego, aż gdy w kierunku tego ostatniego strzelił wzrok Heleny i twarz jej rozjaśniła się szczerzym niż dotąd uśmiechem, a głowa pochyliła lekkiem, ledwo dostrzedz się dającym skinieniem ukłonu. Wówczas pierwszy zwrócił oczy na drugiego i ujrzał go z kapeluszem w ręku, pochyłonego niskim a pełnym uszanowania ukłonem. Helena przejechała. Człowiek w oliwkowym surducie wyprostował się, włożył kapelusz na głowę i rzekł sam do siebie przeciągle:

— Haa!..

— Co to za dama? — zagadnął go jegomość z odstającymi uszami.

— A panu co do tego?—odparł zagadnięty, mierząc okiem pytającego od stóp do głowy.

— Nic... prosta ciekawość, którą zakolatałem do pańskiej grzeczności...

— Ciekawość... hm... Gdyby wszystkie ciekawości zaspokajać, to człek przez całe życie nicby innego nie miał do roboty, tylko odpowiadać na zapytania...

— To prawda... Ale są przecież zapytania



niewinne, na które nie godzi się nie odpowiedzieć...

— Na przykład?—zapytał człowiek w oliwkowym surducie.

— Moje — odparł człowiek z odstającymi uszami. — Ta dama jest piękna... Nic naturalniejszego jak to, że chciałbym wiedzieć kto ona... Widziałem ją kłaniającą się panu... Nic naturalniejszego, jak że się pana o nią pytam...

— Cóż panu z tego przyjdzie, jeżeli ciekawość pańska zaspokojoną zostanie?..

— Nic... Nim zapomnę jej imię i nazwisko, powtórzę sobie kilka razy: ta piękna pani nazywa się...

— Helena Dalman — odpowiedział człowiek w oliwkowym surducie.

Człowiek z odstającymi uszami spojrzął mu w oczy wyiskrzonym wzrokiem i zapytał:

— Jak? jak?..

— Dalman...

— Dalman?..

— Cóż to pana obchodzi?..

— Mnie?.. he?.. nic — bąkał w ten sposób zagadnięty. — Tylko że widziałem przed kilku

dniami obok niej człowieka, który nosi to samo nazwisko...

— Musiałeś pan widzieć jej męża, pana Oswalda Dalmana...

W twarzy człowieka z odstającymi uszami widać było wyraźnie jakieś pomieszanie, które ukryć usiłował, a nie mógł.

— Zdaje się, jakby się panu nie podobało nazwisko tej damy...

— Nie — odparł — o!.. nie... Cóż mi tam do nazwiska!.. Dziękuję panu, żeś mi je powiedział... Wielka to z pańskiej strony grzeczność... prawdziwie... wielka...

To mówiąc, skłonił się i powoli odszedł w stronę przeciwną tej, w którą udał się człowiek w oliwkowym surducie.

Obydwaj ci ludzie zarówno interesującymi są w powieści naszej postaciami. Nie możemy wszakże iść razem za obydwoma. Musiemy najprzód poznać się z jednym, następnie z drugim. Pytanie: któremu dać pierwszeństwo? — Stuknę w palce — niech los rozstrzyga.

Wypadło na człowieka z odstającymi uszami. Idźmy za nim.

Człowiek ten w zamyśleniu przeszedł kilka ulic. Szedł powoli. Niekiedy stawał i przy-

patrywał się przechodzącym i przejeżdżającym. Częściej jednakże wlepiął wzrok w bruk, jakby szukał tam czegoś. Kiedy niekiedy ruszał ustami, jakby sam do siebie wymawiał jakieś wyrazy, albo wznosił oczy do góry, jakby zbierał odległe wspomnienia.

Tak rozmyślając, zaszedł na drugi koniec miasta i nagle stanął, obejrzał się, a twarz jego wyrażała zapytanie:

— Gdzie jestem?..

Zorientował się jednakże od jednego okarzut — snadź miejscowość nie była mu obcą — i wrócił.

Znów w zamyśleniu przeszedł kilka ulic.

Umyślnie czy też niechcący, tego z pewnością powiedzieć nie umiem, znalazł się przed gmachem policji i stanął, a pomyślawszy trochę, kiwnął głową, jak człowiek czyniący nagle postanowienie, i wszedł do środka. Minał kilkoro drzwi, przeszedł kilka korytarzy pewnym krokiem, dowodzącym że wewnątrz tego gmachu nie było mu obcym, i otworzył jedne drzwi, nad którymi napis świadczył, że za nimi znajduje się biuro utrzymujące spisy mieszkańców. Gdy zbliżył się do jednego ze stołów,

siedzący za nim urzędnik, pozdrowiwszy go jak znajomego, zapytał:

— Czem panu mam służyć?..

— Przychodzę zapytać o adres jednego z mieszkańców...

— Jak się nazywa?..

— Oswald Dalman...

Urzędnik poszedł do szafy, wyjął grubą księgę, w której alfabetycznym porządkiem spisane były nazwiska, otworzył ją na literze D. i natychmiast znalazł.

— Na ulicy X., w domu pod numerem N.

Człowiek z odstającymi uszami wydobyl z zanadru pugilares i zanotowawszy w nim adres ołówkiem, zapytał:

— Czy to jego własność, jeżeli wolno zapytać?..

— Najęty dom...

— Częściowo, czy w całości?..

— W całości...

— Za sumę?...

— Trzech tysięcy rubli rocznie.

— Dziękuję panu i przepraszam...

I oddalił się na palcach.

Opisując powierzchowność człowieka z odstającymi uszami, zapomniałem wspomnieć

o jednej właściwości która go odznaczała, mianowicie o tém, że idąc, wznosił się na palce i stąpając, zawsze ziemi piérwój palcami niż całą stopą dotykał. Tak chodził po ulicy. W pokoju zaś do chodzenia używał wyłącznie palców.

Na palcach tedy wyszedł z biura na korytarz, z korytarza na ulicę i przyspieszonym krokiem udał się pod adres który w pugilaresie zapisał.

Zapadał już wieczorny zmrok. Gdy się więc znalazł na ulicy X., z trudnością przychodziło mu wyczytywać numeru na domach. Wspinał się na palce, przypatrywał się i wyczytywał. Z kolei natrafił na numer N.

Czego on właściwie chciał? — to trudnoby odgadnąć. Zdaje się że i on sam nie zdałby z tego sprawy przed sobą. Zajrzał przez otwartą wjazdową bramę, popatrzył na stojących w podwórzu parę karét, popatrzył na oświecone okna piérwszego piętra, pokiwał głową i odszedł.

Idźmy za nim dalej, albo raczej nie idźmy, lecz wyprzedźmy go do kamienicy do której wszedł.



Kamienica to duża, trzypiętrowa, z antrsolem — na dole sklepy, na każdym piętrze różnej wielkości apartamenta dla lokatorów, największe o trzech pokojach z przedpokojem, najmniejsze o jednym bez przedpokoju. Właściciel zużytkował każdy kącik. Na schody zostawił tyle tylko miejsca, ile koniecznie potrzeba, a pod schodami pobudować kazał kryjówki i komórki, przydzielane do apartamentów. Oszczędność ta jednakże miejsca nie była skąpstwem, na podwójną, wedle przysłowia, narazającą stratę. Dom bowiem zbudowany był z materiału zdrowego i mocnego, zapowiadającego długie trwanie i donośny zysk. Mury były grube, schody kamienne, drzwi i okna na urząd, zamki i zasuwki dobre i dobrze przypasowane. Pod tym względem nie było pomiędzy piętrami różnicy. Różniła je tylko ozdobność. Pierwsze miało ściany malowane, okna wielkie, sufity wysokie, posadzkę w kostki i zamiast żelaza, brzozy. Drugie miało ściany także malowane, lecz gorzej, okna mniejsze, sufity niższe, podłogę z desek i żelaza przy drzwiach i oknach czarno szmelcowane. Trzecie miało ściany białe, okna małe,

sufty nizkie, podłogę jak inne i żelaza z pod pilnika.

Że kamienica położoną była w części miasta najludniejszej i najruchliwszej, przeto nie posiadała ani jednego próżnego apartamentu. Mieszkali w niej ludzie różni językiem, wiarą, pochodzeniem i zatrudnieniem. Na zewnątrz od góry do dołu okrywały ją szyldy. Gdyby wierzyć tym szyldom, trzeba by nabrać przekonania, że zajmowały ją same sławy. Na pierwszym piętrze sławny dentysta, rwący, wstawiający, skracający i sztukujący zęby, posiadający sekret proszków uzdrawiających i ból odstraszających. Dokumentem jego sławy była operacya zrobiona w ustach szacha perskiego. Obok niego perukarz, wynalazca pomady młodości. Na drugim piętrze doktor medycyny, wielki filantrop, dający ubogim darmo w oznaczonych dnia godzinach rady i lekarstwa. Na témże samém piętrze poważna jejmość, stręczycielka guwernantek, bon i szwaczek w najlepszym gatunku, i t. d.

Nasz jegomość z odstającymi uszami mieszkał na drugim piętrze, pomiędzy filantropijnym doktorem i poważną jejmością. Z jednej strony miał absolutny spokój, zdaje się bo-

wiem że ubodzy chorzy nie mieli do filantropa zaufania, z drugiej ciągle niepokój, bo popoważną jejmość liczni płci obojędz nawiedzali goście.

Ápartament jego był jednym z większych, składał się bowiem z trzech pokojów z przedpokojem. Na wchodowych drzwiach przybitą była glansowana karta, z bardzo skromnym napisem:

— *Adwokat.*

Ten napis uchyla przed nami jeden koniuszczek zasłony, za którą dotychczas ukrywał się człowiek z odstającymi uszami. Już nie będziemy go zwali od uszów, ale podług tego napisu. Snadź skromnym był ten człowiek, kiedy na karcie nie wypisał dużymi literami imienia swego ani nazwiska, ani też dodał „tu mieszka“ — dodatku tak potrzebnego, jak na grobowym kamieniu „tu leży“, jakby człowiek w grobie mógł robić co innego niż leżeć.

Ten napis był całym zaleceniem się publiczności, która nie inaczej, tylko na drugim piętrze, przed drzwiami na prawo, dowiedzieć się mogła, że w kamienicy posiadającej sławnego dentystę, niezrównanego perukarza, znakomi-

tego doktora, poważną jejmość i mnóstwo innych szczególności, mieszka także i adwokat.

Adwokat urządził się czysto po adwokacku, nie wzorem jednakże tych wielkich panów w prawnym zawodzie, dających stronom posłuchania w salonach i na adamaszkach, ale bardzo skromnie. W jednym pokoju było biuro i wdrugim biuro, a w trzecim, najmniejszym, sypialnia. Pomiędzy biurami była różnica. W jednym proste, na czarno bajcowane stoły, stołki i wypełnione kodeksami i papierami szafy; w drugim wygodne fotele, kanapy, w oknach franki, na ścianach obrazy i zwierciadło, przed kanapami politurowane stoły, pomiędzy oknami kantorek także politurowany i zielonym oklejony sukнем, a na kantorku grube, sztorcem ustawione księgi, rekomendujące się złotymi na czarnej oprawie tytułami; dalej kałamarz, szufladki i przegródki, oznaczone literami alfabetu. Na stołach poukładane były symetrycznie dzienniki i pisma, wyłącznie prawie niemieckie, odnoszące się do nauki prawa.

Stanąwszy i obejrzawszy się w tym przybytku jurisprudeneyi, można było domyślać się jednego z dwojga: albo że mieszka tu człowiek rozpoczynający adwokacką karyerę, albo też.

człowiek którego karyerze nie przyświeca gwiazda szczęścia. Prędzej jednakże drugie niż pierwsze, bo nasz adwokat z powierzchowności nie wyglądał na poczynającego. Wiek jego, aczkolwiek wyraźnie nie malował się na twarzy, dowodził jednakże, iż musiało już kilkanaście upłynąć lat, od czasu jak broni sprawiedliwości.

Obrońca sprawiedliwości mieszkał sam jeden. Kiedy wychodził nad wieczorem na przechadzkę, drzwi od wszystkich pokojów, każde z osobna, zamykał na klucz, klucze chował w sekretnej kryjówce w przedpokoju, a klucz od przedpokoju brał z sobą do kieszeni. Wracając, odmykał przedpokój, brał klucze z kryjówki, otwierał biuro z fotelami, zapalał świecę i zasiadał do pracy, którą nieraz przeciągał do północy. We dnie miał towarzysza w dependencie, który pracował w drugim biurze.

I tym razem, kiedy interes powieści nakazuje nam iść za nim krok w krok, otworzył drzwi od przedpokoju, wyjął klucz z zamku i włożywszy go z przeciwniej strony, drzwi ze środka zamknął na klucz i zasuwkę. Następnie wyjął klucze z kryjówki, drugie drzwi otworzył i postąpił sobie z nimi jak z pierwszymi.



Daléj po omacku wynalazł buteleczkę z fosforem, zatlił siarnik, zapalił stoczek, przyrządził lampę, stoczek zdmuchnął, a lampę postawił na kantorku, ale nie zasiadł do pracy. Rzucił się na kanapę, nogi wyciągnął, głowę oparł o poręcz, a ręce na piersiach skrzyżował. W takiej pozycji rozpoczął ze sobą monolog krótkimi frazesami i wykrzyknikami.

— Oswald!... pan Oswald!... ha!...

Uśmiechnął się, a w jednym tym uśmiechu połączył wyraz gniewu, zawiści i zadziwienia.

— Oswald!—powtórzył z przyciskiem.

— Kamienica pyszna... żona piękna... i... bogata!..

Po długiej chwili milczenia, odezwał się tonem zapytania:

— Czy tylko bogata?... Kto ona?.. z kąd się wzięła?... gdzie on ją wygrzebał?..

Zapytanie to uczepiło się jego mózgu i nurtowało w nim.

— Kto ona?— powtórzył kilka razy.

— E! co mi tam do tego!?..

Odpowiedziawszy jednakże sam sobie w ten sposób, nie wypędził zapytania z myśli, pomimo że wstał, zasiadł przy lampie i rozłożył przed sobą dokumenta, odnoszące się do procesu po-

między spółnikami pewnego handlu. Proces był zajmujący, bo skomplikowany i uilustrowany romansem. Nie zajął go jednakże. Z pomiędzy wierszy wychylała się do niego postać Heleny na karym koniu, litery przybierały dziwaczne jakieś kształty, a zamiast pieczęci, widział twarz Oswalda. Nadaremnie zbierał uwagę i zwracał ją na papiery. Myśl jego błądziła gdzieindziej — biegła w przeszłość — wywoływała jakieś wspomnienia, a wspomnienia te musiały być przykre, bo marszczył brwi, zaciskał zęby i dostawał drgania policzkowych kości. Po kilkakrotnej próbie przekonał się, że nie może pracować. Zapalił więc stoczek, zgasił lampę i poszedł spać.

Lecz napróżno sen na powieki przywoływał. Te same widziadła, które z pomiędzy wierszy występowały, unosiły się przed jego oczami w ciemnościach, tylko fantastyczniejsze i dziwniejsze. Przewracał się z boku na bok, wzdychał, zamykał oczy, uspokajał sztucznie wyobraźnię, i spędziwszy na tém niemikém zatrudnieniu całą noc, wstał, ubrał się i poszedł pod kamienicę N.

Mieszkańcy kamienicy pogrążeni byli jeszcze w głębokim śnie. Nasz adwokat przeto nic

innego widzieć nie mógł, tylko milczące mury, zamkniętą bramę i szeregi okien osłoniętych żaluzjami. Stał więc przez chwilę, popatrzył, pokiwał głową i wrócił do siebie. Dependent przyszedł o ósmej rano. Wkrótce po dependencie wszedł doktor sąsiad, z propozycją wytoczenia procesu jednemu ze swoich pacjentów. Następnie przybył ktoś jeszcze i ktoś jeszcze; dzień zbiegł, godzina zamknięcia biura przyszła i nasz adwokat udał się do parku na to samo miejsce, na którym wczoraj dwukrotnie widział Helenę. Z parku szarą godziną pociągnął pod kamienicę N.

Od tego czasu życie jego uregulowało się w ten sposób, iż dwa razy na dzień odbywał przechadzki, których celem było pomieszkanie zajmowane przez państwo Dalman. Pod tém pomieszkaniem odbywał funkcją angielskiego konstablera. Przechadzał się i obserwował i powtarzając obserwacją codziennie, oznajomił się z fizyognomią wewnętrznego ruchu, jaki się pod dachem domu N. odbywał, wtajemniczył się w sposób życia i zatrudnienia, nawet i w charakterzy mieszkańców. Postrzeżanie doprowadziło go do różnych odkryć, a odkrycia do wniosków i przypuszczeń, a wnioski i przypu-

szczenia do zaostżenia ciekawości zawsze w jednym i tym samym kierunku — to jest — w kierunku zapytania które sobie pierwszego postawił wieczoru:

— Kto ona?..

Rzecz naturalna, że pytania tego nie mógł przez proste rozwiązać patrzenie. Przez patrzenie jednakże dowiedział się, gdzie rozwiązania szukać. Poszukał, i do pierwotnych wiadomości dodał tę, że Helena jest z domu Zawilska, że wyszła za Oswalda w Odessie, że na Ukrainie ma rodzinę, ale jest sierotą bez ojca i matki. Dowiadywał się o jej majątek, lecz napróżno. Znikąd nie mógł zaczerpnąć wiadomości o dobrach Zawilskich. Ztąd wniosek, że fortunę Heleny muszą stanowić kapitały, złożone bądź w bankach, bądź w rękach rodziny. Jako adwokat, znał drogi któremi się tego rodzaju tajemnic dochodzi. Poszukiwał po bankach, lecz poszukiwania do żadnych nie doprowadziły go rezultatów. Żaden bank nie posiadał kapitału na imię Heleny lub Oswalda, w żadnym ani ona, ani on nie mieli otwartego kredytu. Pozostawała rodzina. Lecz co naszego adwokata uderzyło, to to, że rano, stojąc na obserwacji, widywał często listonosza, wręczającego szwaj-

carowi listy i pisma. Nigdy żaden list nie był opieczętowany pięciu pieczęciami. Ztąd drugi wniosek, że jeżeli kto pośredniczy w dostarczaniu państwu Dalman środków do pędzenia życia wystawnego, to nie poczta.

Zapytanie „kto ona?“ stawało się coraz to ciekawszem.

— On nie ma nic — mówił do siebie adwokat — więc musi mieć ona... Ona ma, ale gdzie?.. U rodziny? może u jakiego magnata?... Gdyby miała u rodziny lub magnata, to odbieraćby musiała jakieś posyłki... Dziwna rzecz... dziwna... dziwna...

Obserwował dalej, z coraz to bardziej natężoną ciekawością. Dostrzegł że każdego piątku rano, w szeregu okien drugiego piętra, w dwóch żaluzye wcześniej się podnosiły niż w innych dniach tygodnia. Ta okoliczność, na pozór nic nie znacząca, zdawało się jakoby pozostawała w związku z inną. Każdego piątku rano wchodził do kamienicy ten jegomość w oliwkowym surducie, który pierwszy adwokatowi powiedział imię i nazwisko żony Oswalda, a po jego wejściu żaluzye się podnosiły. Adwokat obserwował tego jegomościa, lecz nie dostrzegł nic innego, tylko że przychodził szybkim kro-



kiem i furtkę w bramie, bez dzwonienia na szwajcara, otwierał własnym kluczem. Ta okoliczność dla angielskiego konstablera byłaby wystarczającą do aresztowania owego jegomości. Adwokat nasz zaprzestał na sprawdzeniu, że nie wchodził on w skład mieszkańców kamienicy N; ktoś jednakże z mieszkańców, i to z dystyngowańszych, bo na pierwszym mieszkających piętrze, przyjmuje go regularnie w oznaczonym dniu i oznaczonej godzinie.

Dalsza obserwacja przekonała go, że pokój w którym co piątek rano podnoszą się żaluzye, jest sypialną Heleny komnatą. To pomieszało mu nieco szyki. Zdawało się bowiem niepodobieństwem, aby taka modna, elegancka, wielkoświatowa kobieta, przerywała sobie sen dla człowieka wyglądającego bardzo niepozornie. Ale... ramionami ścisnął i dalej obserwował.

## VIII.

---

Posuwając coraz to dalej obserwacją, zdecydował się nasz adwokat pewnego piątku iść o dwadzieścia kroków za jegomością w oliwkowym surducie. Było to mu bardzo nie na rękę, gdyż zatrzymywało go po za biurem o godzinie ósmej, w której przychodził dependent i schodzić się poczynali klienci. Żądza jednakże odkrycia tajemnic kobiety, która mu się wydała tajemniczą, a może jeszcze inne jakie pragnienie, kazało mu zapomnieć o dependencie i klientach i iść w stronę odległą, w dzielnicę miasta przeciwną tej w której sam mieszkał. Szedł długo, aż się znalazł na rynku, otoczonym dokoła wysokimi kamienicami, których dół zajęty był szeregiem sklepów, wyprzedają-

cych towary podlejszych gatunków. Do jednego z tych sklepów wszedł jegomość w oliwkowym surducie. Nad sklepem wisiał czarny szyld, a na szyldzie białymi literami odbijał napis:

### **Handel starzyzną.**

Szyld ten był niepotrzebny. Dość bowiem było spojrzeć na wiszącą na hakach i na szaragach i ułożoną w kupach odzież, pościel, bieliznę i niezliczoną ilość przenajrozmaitszych sprzętów, ażeby wiedzieć jakie tam robią się interesa.

Jegomość w oliwkowym surducie wszedł do tego handlu i znikł. Adwokat zajrzał przez drzwi, poczekał ażali nie wyjdzie, nie doczekał się i powrócił do siebie.

Opuśćmyż teraz adwokata. Jegomość w oliwkowym surducie jest ciekawszą postacią, z powodu stosunków jakie go wiążą jeżeli nie z samą bohaterką naszej powieści, to może z Oswaldem, a może z kimś z ich otoczenia. Warto więc zbliżka się mu przypatrzeć.

O powierzchowności jego niewiele da się powiedzieć. Była nic nie znacząca. Adwokat odznaczał się przynajmniej uszami: ten niczem, chyba tylko pewnym nieładem w noszonej nie dbale odzieży. Surdut wisiał na nim jak na koł-

ku, spodni jedna nogawica po ziemi się wlokła, druga do góry uciekała, buty rzadko widywa-  
ły się z szuwaksem, z pod chustki na szyi wy-  
glądał brudny kołnierz koszuli, o kapeluszu  
mówiłem wyżej. Strój ten okrywał postać czło-  
wieka ciemnych włosów, poznaczonego trochę  
śladami naturalnej ospy na twarzy, golącego  
brodę raz na tydzień i umywającego się, sądząc  
po karku i rękach, raz na miesiąc, a może  
i rzadziej.

Człowiek ten mieszkał w izbie, przylegają-  
cej z tyłu do sklepu. Tej izby czepiał się cia-  
sny korytarz, prowadzący do dwóch innych,  
do których się wchodziło jak do cel osobnych.  
Każda miała okute drzwi sztabami żelaznemi  
i okna gęsto okratowane, ze środka na okieni-  
ce zamykane. Do obydwóch tych izb wchodzi-  
ło się z korytarza, a na korytarz prowadziło  
dwoje drzwi, jedne z podwórza, mocne, okute,  
zasuwane sztabą ze środka, drugie z izby za-  
sklepowej, wąskie, lekkie, sztucznie piecem za-  
maskowane i otwierające się za lada potrące-  
niem. Drzwi te kształtem i opatrzeniem zdra-  
dzały swoje przeznaczenie. Okutych celem by-  
ło przeszkodzenie wejścia, gdy je ręka ludzka  
zamknęła i zarygłowała; nieokutych, przeciw-

nie, ułatwienie wyjścia, gdy nadzwyczajna jaka potrzeba tego wymagała. Naprzykład, gdyby do izby za sklepem doszedł odgłos dobijania się bądź do korytarza, bądź do izb, to jeden sus wystarczał na wskoczenie do środka i zniweczenie nieprzyjaznych przeciwko izbom zamiarów.

„Przeciwko izbom“ powiadam, bo nikt w nich nie mieszkał. Służyły one na składy, ale nie starój odzieży.

Piérwój jednakże, nim do tych składów zajrzemy, rozpatrzmy się w mieszkaniu człowieka w oliwkowym surducie.

Po mieszkaniu poznać się daje człowiek: tak niektórzy utrzymują. Poznawajmyż. W jednym kącie stoi jedno łóżko, w drugim drugie. Łóżka te zakrywają narzucone kołdry, z pod których wyglądają brudne prześcieradła i poduszki, harmonizujące z kołdrami poplamionemi i przez poprzedzierany w kilku miejscach perkal, którego kolory zmieniły pierwotną barwę, przeglądającemi wata. Pomiedzy łózkami stoi stół stary, zastawiony lichtarzami, karafką na wodę, kilku złożonemi jeden na drugim z resztek jadła nieoczyszczonemi taléraszami, porzeczewiałemi grabkami i nożami, cynowemi łyżkami i zasypany okruchami. W ważnych miejscach krze-



sła rozmaite kształtem, wyraźna zbiéranina. Na ścianach kołki, a na kołkach pozawieszana odzież. Podłoga nie myta od niepamiętnych czasów. Pod oknem wysoki stolik z pochyłą powierzchnią, taki jakich używają po komptoarach do pisania stojący, przed nim stołek także wysoki. Te dwa sprzęty, obydwaj z jesionowego drzewa, były jedynemi politurowanemi i zdrowo wyglądającemi meblami. Stolik był zamykany i we wnętrzu swoim ukrywał przyrządy do pisania, pomiędzy któremi najwidniejszą była gruba, w skórę oprawna księga, całkowicie poliniowana i porygowana.

O księdze téj trzeba trochę obszerniej się rozpisać, a właściwie nie o księdze, ale o rubrykach, któremi każda stronica była zapełniona.

Rubryki szły od lewéj ręki ku prawéj w następującym porządku: najprzód data, potem numer porządkowy, za numerem wymienienie przedmiotów, dalej dwie cyfry, wyrażające dwie sumy, z których pierwsza trzy razy była większą niż druga. Nad pierwszą cyfrą stał napis „wartość realna“, nad drugą „cena kupna.“ Po tych dwóch rubrykach następowało pięćdziesiąt dwie wązkie przedziałki, dochodzą-

cych do ostatniej, szerokiej, z nadpisem „uwagi.“ W wązkich były jakieś znaki—kółka, krzyżyki, kropki i cudzysłowy— w szerokiej jeden z następujących napisów: „sprzedany“ albo „do sprzedania.“

Gdyby kto przeglądał tę księgę, dziwiłby się porządkowi z jakim prowadzonym był handel starzyny. W spisie bowiem przedmiotów czytać się dawały takie naprzykład szczegóły: „kamizelka sukienka, jedna plama tłusta i dwanaście mlęcznych“, w rubryce „wartość realna“ cyfra 12, w rubryce „cena kupna“ cyfra 4.

O tej księdze nie mamy już co więcej pisać, chyba że obok niej, w osobnej przedziałce, leżało w stoliku pudełeczko z ważkami bardzo czułymi, takimi jakich używają jubilerzy, a obok ważek płateczki, trochę waty, parę delikatnych obciążek, parę dłućtek, młoteczek, nożyk, nożyczki i kilka probierczych kamyków.

Wyjawszy tego stolika, jakimś wyłącznym opatrzonego przywilejem, zresztą w izbie panował nieład, ukolorowany brudem. Na ścianach osiadł kurz, wszystkie kąty zasnuły pająki, których tkanina, w postaci długich, obciążonych pyłem nitek i frenzli, zwisała z sufitu

i formowała pewien rodzaj festonów, poruszających się za każdym drzwi otworzeniem.

Z izby téj wchodziło się wprost do sklepu, przez drzwi zamaskowane starą odzieżą.

W sklepie sprzedającym i kupującym był kupczyk-wyrostek, mogący liczyć około dwudziestu lat życia.

Kupczyk z uszanowaniem stanął przed wchodzącym jegomością w oliwkowym surducie.

— No!.. cóż?—zapytał ten ostatni.

— Było dwóch—odpowiedział kupczyk.—  
Mają przyjść za godzinę...

Jegomość w oliwkowym surducie przeszedł przez sklep, rozchylił odzież nadedrzwiemi wiszącą i wszedłszy do izby, udał się wprost do politurowanego stolika, otworzył go, wyjął księgę i począł ją uważnie przeglądać, notując sobie na stronie, na oddzielnym papierku, jakieś cyfry i znaki.

Zatrudnienie to przerwała mu rozmowa w sklepie.

— Przyszedł?— słysząc się dało zapytanie.

— Przyszedł—odpowiedział kupczyk i głośno chrząknął.

Na chrząknięcie, człowiek w oliwkowym surducie, z lekkością na jego lata nadzwyczajną,

skoczył ze stołka, na palcach podbiegł do drzwi, odchylił trochę zasłonę i wzrokiem w którym niepospolita malowała się przenikliwość, wpatrzył się w przybysza, który zapytał:

— Można się widzieć?...

Kupczyk zwlekał z odpowiedzią, aż usłyszał stuknięcie, które człowiek w oliwkowym surducie wykonał opartą o drzwi laską. Po tém stuknięciu odskoczył od drzwi i usiadł napowrót na stołku przed otwartą księgą, rachując i znacząc. W tej samej chwili kupczyk w sklepie odpowiedział na zapytanie przybysza:

— Można...

I odchylając ręką stare suknie, ukazał mu wejście.

— Czego pan sobie życzy?—zapytał siedzący przy stoliku wchodzącego, odwracając się i jeszcze raz mierząc go okiem od stóp do głowy.

— Słyszałem że pan pożyczasz na zastaw...

— Zle pan słyszał... Ja sambym pożyczył, gdybym miał gdzie...

Przybysz, którym był jakiś lękliwy człowiek, chciał się już cofnąć.

— Któż to panu o tém mówił?—zapytał go jegomość w oliwkowym surducie, którego bez skrupułu możemy już tytułować lichwiarzem.

— Mówił mi...

Tu przybysz wymienił jakieś imię i nazwisko.

— Ten człowiek nieszczęścia mnie nabawi — zawołał lichwiarz.—Po przyjaźni i dawniej znajomości zapośredniczyłem mu, kiedy był w wielkiej potrzebie, a on mnie obgaduje...

— On nie obgaduje... tylko, widząc mnie w potrzebie, poradził, ażebym zgłosił się do pana...

— POCO?...

— Ażebyś mi pan na zegarek pożyczył... (poprawił się) dostał trochę pieniędzy...

To mówiąc, wydobyl z kamizelki zegarek i podał go lichwiarzowi.

— Zapłaciłem za niego sto rubli...

Lichwiarz obejrzał fant z miną człowieka nie znajdującego się na wartości podobnych rzeczy.

— Zdaje się dobry, ale cóż z tego... Ja się na tem nie znam, a przytem, pieniędzy własnych nie mam...

— A nie mógłby mi pan wskazać kogoś, u kogobym mógł zastawić?...

Lichwiarz zrobił ramionami gest przeczenia i odpowiedział:

— Pan wiesz, czem to pachnie... Ja znam



takiego co pożyczca, ale nie wydałbym go, gdyby mnie krajano w kawałki... Nie chcę na moją duszę brać zguby człowieka...

Przybysz milczał i westchnął.

— Bardzo pan potrzebujesz?..

— Mam starą matkę, żonę i dwoje drobnych dzieciak i ani grosza w kieszeni...

— A będziesz pan płacił procenta?..

— Zarabiam piórem... Spodzielam się wybrnąć z biedy i tylko potrzebuję złe czasy przeczekać... Bez tej nadziei wolałbym zegarek sprzedać...

— Jakże długo te złe czasy mają potrwać?..

— Miesiąc... dwa... alboż ja wiem!..

— Toż na dwa miesiące zegarek nie wystarczy...

— Mam jeszcze łyżki srebrne, kubek, futro mojej żony, kilka pierścionków... Nie chciałbym się tego za bezcen pozbywać...

— Zapewne — zauważył lichwiarz, wpatrując się w zegarek. — Cóż z tego, kiedy ja pieniędzy nie mam...

— A pański znajomy?..

— On ma, ale potrzeba pokazać mu zegarek...

— Niech mnie pan do niego poprowadzi...

— Nie można... Ale zróbmy tak: poczekaj pan w sklepie... ja pójdę z zegarkiem i za kwadrans dam panu odpowiedź...

Przybysz wahał się przez chwilę, lecz w końcu przystał. Wszedł do sklepu, gdzie mu kupczyk podał stołek do siedzenia, a lichwiarz, skrzypnąwszy głośno tylnymi drzwiami, usiadł przy stoliku, wydobyl instrumenta, z wielką, długiej wprawy dowodzącą zręcznością rozebrał zegarek, przypatrzył się przez lupę kamieniom, zważył kopertę, złożył, następnie z jednej z kryjówek stolika wy dostał trzydzieści rubli, włożył je do kieszeni, schował instrumenta, zamknął stolik, otworzył księgę i powtórnie skrzypnąwszy drzwiami, przeszedł tupiąc i chrząkając przez izbę, wychylił głowę do sklepu i zawołał:

— Proszę!..

— Oto pański zegarek—rzekł, siadając przy stoliku.—Mój znajomy ceni go na sześćdziesiąt rubli...

— Zapłaciłem sto...

— Być może... Nie przeczę... Lecz niechże pan spróbuje sprzedać, czy dadzą za niego pięćdziesiąt?...

— To prawda...

— Owóż, mój znajomy ceni go na sześćdziesiąt i ofiaruje panu trzydzieści, to jest połowę wartości, z procentem sześć od sta na miesiąc, płatnym przy końcu każdego miesiąca z dołu... Jeżelibyś pan przez sześć miesięcy procentu nie zapłacił, tracisz prawo własności... Od trzydziestu rubli wypadnie panu miesięcznie rubel, złotych pięć i groszy dziesięć...

— To zdaje się niewiele — rzekł właściciel zegarka — ale rocznie siedemdziesiąt dwa od sta...

— Wolno panu nie brać pieniędzy... Oto pański zegarek...

— Proszę o pieniądze!..

Lichwiarz, nic nie mówiąc, wyliczył trzydzieści rubli i wręczył je nieznajomemu, z dodatkiem świstka papieru, na którym była napisana liczba 51623.

— Ta liczba, rzekł — służyć będzie do rozpoznania pańskiego zegarka...

Po wyjściu nieznajomego, lichwiarz umoczył pióro i w wielkiej księdze zapisał najprzód datę, następnie liczbę 51623, dalej „frak, sajeta, trzy plamy“, pod napisem „wartość realna“ postawił cyfrę 90, pod następnym 30. W dal-

szych rubrykach postawił tyle kropek, ile tygodni od początku roku upłynęło.

Zaledwie skończył, w sklepie dało się słyszeć pytanie:

— Przyszedeł?..

I powtórzyła się ta sama scena, z tą jedynie różnicą, że zamiast zegarka, poszło w zastaw futro pod numerem 51624, zaciągnięte do księgi jako prześcieradło perkalowe, z cyfrą 60 w rubryce „wartość realna“ i 20 w rubryce „cena kupna.“

Po futrze zjawiała się jakaś kobieta z brylantowemi wysokięj wartości kolczykami i wzięła rubli 260; po niej młody chłopak ze złotą obrączką, na którą dostał rubla. Kolczyki zapisane zostały jako spodnie, obrączka jako chustka na szyję. Potem jakiś jegomość za sto trzydzieści kilka rubli wykupił bobrowy kołnierz, za okazaniem numeru, naprzeciwko którego zapisaną była para pończoch. Lichwiarz w kratce wypadającej na tydzień wykupna postawił znaczek, następnie przekreślił, a w rubryce uwag napisał: „sprzedane.“ Dodać winieniem, że zaciągając do księgi, dyktował kupczykowi, i ten do wymienionego przedmiotu przyczepiał szpilką odnowiony numer.

W sklepie rzeczywiście znajdował się frak z sajety pod numerem 51,623, prześcieradło perkalowe pod numerem 51,624, spodnie pod numerem 51,625 i t. d.

O południu zastawione fanty przenosiły się do izb wychodzących na korytarz. Lichwiarz numerował je, zabierał w serwetę i przez wąskie drzwi wysuwał się z niemi. Klejnoty lokował w jednej izbie, a suknie i futra w drugiej — pierwsze układał w szafy, drugie wieszal na kołkach, które w kilka kondygnacyj zakrywały wszystkie ściany.

Nic ciekawszego jak ten skład lichwiarza. Co też tam było rozmaitych a rozmaitych rzeczy!.. W oddziale klejnotów było od czego oczy zerwać. W wiecznie tam panującym półcieniu, albowiem światło dostawało się tylko przez okna korytarza, drogie kamienie błyszcząły ni-by wilcze oczy. Szlachetne kruszce w misternym obrobieniu leżały stosami. Kolie, dyademy, bransolety, puhary, medaliony, łańcuchy, pierścienie, skromne obrączki, stołowe serwisy, gotowalniane przybory, kosztowne oręże, seciny zegarków — czego tam nie było!.. nie brakło nawet numizmatów i archeologicznych zabytków. W oddziale sukien i futer pano-



wała także wielka rozmaitość, 'której nie będę podnosił przez wyliczanie przedmiotów, z obawy znużenia czytelnika.

Lichwiarz był oraz handlarzem. Handlował starzyzną. O tym handlu nie można z pewnością mówić, przynosił on bowiem sto za sto, i to największą pewnością. Stara odzież dzieliła się na dwa rodzaje: taka którą można było jeszcze nosić i taka która była nie do użytku. Na pierwszą znajdowali się amatorzy, płacący najmniej we czwórnasób zbywane za bezcen przenoszone suknie; druga szła do pielni, jako szmaty. Najmniejszy gałgan nie marnował się daremnie.

Nie mam potrzeby rozwodzić się nad zyskami, jakie przynosiła ta podwójna spekulacya. W sklepie i izbie panował nieustanny ruch, który się zaczynał ze świtem, a kończył o zachodzie słońca, wyjąwszy jednego poranku i jednego całego popołudnia w każdym tygodniu. Co piątek rano szedł lichwiarz do kamienicy N., co sobota sprawiał sobie rekreacyą, zaczynającą się o pierwszej po południu i trwającą do późnego wieczoru.

Bawił się on jeszcze i trzecią spekulacyą, niemniej jak dwie pierwsze zyskowną, a rów-

nie jak lichwa ryzykowną. Każdy wieczór, do północy, przepędzał za stołem gry. Wygrywał, przegrywał, lecz odchodził zawsze wygrany. W razach stanowczych, kiedy gra się ważyła, zawsze szczęście ostatecznie przechylało się na jego stronę. Ale bo też nie było człowieka równie zręcznie władającego kartami. Karty w jego palcach drgały życiem — na jego rozkaz wyskakiwały ze środka talii, rozkładały się w szeregi, latały po powietrzu, zmieniały kolory i znaki.

Każdy jego dzień był dniem pracy — ciężkiej pracy. Po północy szedł spać, o piątej już był na nogach, cały dzień spędzał na zajęciach, które mu chwilki wolnego nie pozostawiały czasu — na zajęciach tego rodzaju, w których na nikogo spuścić się nie mógł. Bo kupczyk był mu pomocnym tylko w handlu i w dozowaniu drzwi od korytarza podczas jego nieobecności. Zresztą wszystkiem trudnił się osobiście. Nim poszedł spać, każdego dnia regularnie obejrzał składy i opatrzył kraty i zamki; wstawszy, znów obzierał kraty i opatrzył zamki. Nieraz w nocy budził się i nasłuchiwał, ażali nie usłyszy zgrzytu piły lub pisku pilnika, a jeżeli mu się przysłyszało, zrywał

się, oglądał kraty i opatrywał zamki. A sypiał jak żuraw czujnie. Najmniejszy szmer budził go i w niepokój wprawiał. Do snu nie miał zwyczaju rozbiierać się. Przyszedszy w nocy, kładł się, naciągał kołdrę na ramiona i leżał tak przez cztery zwykle godziny, a obudzwszy się około piątej rano, dopiero się rozbięrał, na to jednakże, ażeby natychmiast się ubrać. Rozbięrał się więc nie dla wypoczynku, ale jedynie dla sfolgowania sobie nieco, dla przewietrzenia nóg, piersi i całego ciała. Zwykle rozebrany wychodził na próg, odmykał drzwi i wyciągał się.

Z tego wszystkiego co o tym człowieku powiedziałem, czytelnik innego zrobić nie może wniosku, tylko że należał on do tego rodzaju zapamiętałców, co to siebie, swój czas, swoje myśli, uczucia i uzdolnienia uważają jako kapitał do oprocentowania. Tak było rzeczywiście. Procenta od procentów, jeszcze procenta i zawsze procenta: takim był jedyny cel jego życia.

W składzie zastawionej odzieży, zamaskowana szaragami, na których z góry do dołu wisiały suknie i całkowicie ją okrywały, stała szafa nie duża, ale ciężka, bo żelazna. Dziesięciu lu-

dzi nie ruszyłoby jój z miejsca, gdyby stała swobodnie. Nie ruszyłoby jój stu, albowiem przyskrubowaną była i do podłogi i do muru. Grube jój drzwi, okratowane z wierzchu więzami na nity sztabami, zamykały się na jeden o trzech kluczach zamek, do odemknięcia którego potrzeba było posiadać tajemnicę nietylko wkładania kluczków, ale i obracania niemi. Nie na tém jednakże tajemnice się kończyły. Nie dość było odemknąć, pozostawało jeszcze po odemknięciu ustrzedz się od nagłej i niespodziewanej śmierci, z pewnego rodzaju piekielnej maszyny, otwierającej się w zamku i zionącej krzyżowym ogniem. Sama szafa składała się wewnątrz z ośmiu szuflad, po dwie w szeregu, każda na osobny klucz zamykanych. Każdy z tych zamków był tajemniczym. Klucze nie były wielkie, wszystkie mieściły się na jednym kółku, które lichwiarz w kieszeni nosił, i uchodzić mogły za kluczyki od komody i szkatuły.

W tej szafie kryły się kapitały, narastające z procentów, handlu i gry.

Lichwiarz więc, którego możemy teraz nazwać jeszcze handlarzem i szulerem, robił majątek — to oczywiście — a robił go nietylko tém

że zbierał, ale oraz i t $\acute{e}$ m że oszczędzał. Widzieliśmy jego mieszkanie, opisałem jego ubiór. Jego sposób życia odpowiadał jaknajzupełniej mieszkaniu i ubiorowi. Na śniadanie kieliszek wódki i kawałek suchego chleba, na obiad tal $\acute{e}$ rz zupy z poblizkiej garkuchni, do zupy chleb, a po zupie s $\acute{e}$ r i c $\acute{e}$ bula, na wieczerz $\acute{e}$  par $\acute{e}$  szklanek herbaty, osłodzonej mikroskopowym kawałeczkiem cukru i zagryzanej chlebem, do ł $\acute{o}$ zka kieliszek wódki: oto jaki $\acute{e}$ m by $\acute{o}$  jego po $\acute{z}$ ywienie. Nie znał żadnych zbytków, nie pozwalał sobie na żadne przyjemności. Ka $\acute{z}$ dy dzie $\acute{n}$  jego życia podobnym by $\acute{l}$  do drugiego, jak dwie krople wody do siebie.

Mo $\acute{z}$ na by pomyśleć, że by $\acute{l}$  to cz $\acute{l}$ owiek smutny, ponury, ci $\acute{e}$ żarem pracy do ziemi przybity. Przeciwnie. Z oczów jego i twarzy dziwna jakaś bi $\acute{a}$  swoboda. Patrząc na niego, rzecby można że zadowolonym jest z losu jaki sobie sam stworzył. I tak rzecz się mia $\acute{l}$ a w samej istocie. By $\acute{l}$  zadowolonym, tylko pytanie dlaczego? — czy że mu interesa szły dobrze?

Na to pytanie odpowiedzi $\acute{e}$ by można sposobem twierdzącym, gdyby nie pewna okoliczność. Lichwiarz, handlarz, szuler, by $\acute{l}$  lichwiarzem, handlarzem i szulerem nie dla siebie.



O tém jednakże pomówimy później, kiedy przyjdzie na to kolój. Obecnie mamy o czém inném do mówienia, a mianowicie o tém, że od chwili jak adwokat poszedł za nim, już go więcej z oka nie spuszczał, i to oko ciężyc poczęło na człowieku, dla którego warunkiem bytu było, ażeby go nikt nie podglądał. Dlatego to on od świata— a właściwie od prawa—zasłonił się parawanem starzyzny. Oko prawnika padło na ten parawan; lecz czy się tém zadowoliło?

— Co to wszystko znaczy?—mówił sam do siebie adwokat, wracając o spóźnionej godzinie do biura. W tém tkwi jakaś tajemnica... Przystałbym że ten człowiek nie ma stosunków z samą panią w kamienicy N., gdybym nie widział uśmiechu, jakim go ona w parku obdarzyła... Ona, wielka pani, żyjąca w sferze arystokracji... uśmiechać się do handlarza starą odzieżą?.. Z pewnością ten handlarz nie jest jej spółnikiem... W tém coś jest...

To „w tém coś jest“ poczęło go prześladować jak wyrzut sumienia w jego samotni, spokoju mu nie dawało. W dzień, jak w dzień—ludzie, sprawy, gadanina, pisanina sprawiały mu pewną dystrakcyą; ale w nocy rady sobie dać nie mógł. W myśli mu nieustannie stała postać,

nie jej jednakże, to jest nie Heleny, ale jego; ciągle bowiem w monologach przez wszystkie spadki przechodził zaimek *on*.

Któż to był ten „on“? — dowiemy się o tém w swoim czasie. Nateraz dość będzie wiedzieć, że ów „on“ wprawiał go niekiedy we wściekłość. Bił kulakiem o stół i kłął. Przedmiotem klątw jego było głównie głupstwo ludzkie, nad którym nieraz filozoficznie rozmyślał:

— Kant napisał krytykę czystego rozumu... Czemuż jeszcze nie napisał krytyki czystego głupstwa?.. Głupstwo do ciekawych doprowadza rezultatów... Na głupstwie budowałem gmach mego szczęścia i już był na dokończeniu, gdy głupstwo mi go zburzyło... Zapewne i on na głupstwie, jak na koniu, wyjechał do góry... On!.. ha!.. Gdybym go mógł z téj wyżyny sprowadzić na dół, na sam dół, niżej jak na dół i stanąć nogą na jego głowie i zapytać go: dobrze ci tak?..

Oczy adwokata gorączkowym pałały ogniem.

Wietrząc tajemnicę, często przechadzał się przed sklepem starzyzny i widywał dużo ludzi, którzy tam wchodzili, nikli i za chwilę wychodzili. Niektórzy wchodzili z węzełkiem w ręku lub pakietem pod pachą, a z niczem wy-

chodzili. Na dziesięciu za ledwie jeden zatrzymywał się w sklepie, coś sprzedawał lub kupował; dziewięciu przez sklep tylko przechodziło. Wszystkie te szczegóły nie uchodziły uwagi człowieka, który chciał czegoś dojść — dojść koniecznie.

Wpadł więc na pomysł śledzenia ludzi wchodzących i wychodzących.

„Szukajcie a znajdziecie“ napisano w piśmie świętym. Adwokat nasz, po mnóstwie bezowocnych prób, doczekał się jednego ze swoich klientów, zubożałego rzemieślnika, ojca licznej rodziny, który się wdał był w spekulacyą na większą skalę i zyskał proces. Od niego z ręcznie rzucanemi pytaniami wyciągnął zeznanie, że dla popierania sprawy musiał się zastawić.

— Zastawiłem ostatnie kolczyki żony...

— A — podchwycił adwokat. — Dobrze żeś mi pan to powiedział... Ja nieraz bywam także w takim położeniu, że potrzebuję coś zastawić... Wyświadczysz mi wielką łaskę, jeżeli mnie nauczysz, gdzie i jak ten interes się załatwia...

— O! z największą chęcią... Tylko — dodał tajemniczym tonem — o takich rzeczach nie mówi się głośno...

— Bądź pan spokojny... Ksiądz, lekarz i adwokat, z powołania swego są otchłaniami na wszelkie tajemnice... Możesz śmiało mówić...

— Pożyczających na zastawy jest dużo, ale wszystko łotry... Nietylko obedra, nietylko za ledwie piątą część wartości dadzą, ale najczęściej zaprzepaszczą rzeczy... Jeden jest tylko, którego mogę panu zarekomendować... Pożycza na sześć od sta...

— Rocznie? — zapytał adwokat niby zdziwiony.

— Miesięcznie... Inni biorą dziesięć i dwanaście...

— To zgroza! — zawołał adwokat.

— Jak potrzeba, to zgrozy niema... Człękby dał sto za sto, gdy bięda przyciśnie...

— Więc bierze sześć od sta?...

— Sześć od sta, ale daje trzecią część wartości przedmiotu, nic z góry nie potrąca i rzetelnie zwraca zastaw...

— Cóż to za jeden?..

— Handlarz starej odzieży na wielkim rynku...

— Człowiek w oliwkowym surducie?..

— W oliwkowym... Handel jego łatwo poznać po czarnej tablicy, z białym napisem...

— Jak się nazywa?..

— Ba, gdybym to wiedział... Nieraz miałem z nim interes, ale o nazwisko nie pytałem... Poczciwy lichwiarz... Z kimś musi być w spółce, bo pieniędzy u siebie nie trzyma...

Więcej się adwokat nie dopytywał. Ostatnie wyrazy klienta utwierdziły go w domyśle, który przypuszczał za nieprawdopodobny, że handlarz jest w spółce z Heleną; tylko że domysł ten poprzednio opierał na handlu, więc nieprawdopodobnym mu się wydawał. Dowiedziawszy się jednakże, iż po za handlem ukrywa się lichwa, powiedział:

— Być może...

Chodziło mu więc o sprawdzenie tego przypuszczenia, do czego miał dopiero dwie dane: uśmiech schwytny w przelocie i każdopiątkową wizytę handlarza w kamienicy N. Do tych dwóch dołączała się jeszcze trzecia: przypuszczenie, że budzącą się raz na tydzień o godzinie siódmej w kamienicy jest nie kto inny, tylko Helena. Z tych danych trzeba było wysnuć pewność. To było niepodobieństwem, z powodu niedostateczności danych, ukrytych w murach kamienicy, do której wstęp był dla



naszego adwokata trudnością, nie do przełamania.

Dlaczego nie do przełamania? — Raz dla progów za wysokich na nogi takiego małego człowieczka, powtórę dla jakiegoś wstrętu, mimowoli go przejmującego na myśl znalezienia się pod jednym dachem z Oswaldem.

## IX.

---

Śliczną jest Wenecya przy blasku księżyca,  
kiedy gwar miejski ucichnie, kiedy niebo się  
wylazurzy i tysiącami ócz mruga, kiedy kana-  
ły błyszczą, a gondole drzemią i w powietrzu  
rozlega się jakiś szmer łechcący, rozmarzający,  
rozkoszny.

Wspaniałym jest Rzym ze swoją nazwą wie-  
cznego miasta, ze swojemi pamiątkami, kościo-  
łami, modlitwami i wzorami kunsztu.

Pyszny jest Neapol, do wulkanu przytu-  
lony.

— Powieściarzu! — gotów zawołać na mnie  
czytelnik—gdzie Rzym! gdzie Krym! gdzie ba-  
banecka karczma!..

— Czytelniku—odpowiadam— do Wenecyi, do Rzymu, do Neapolu prowadzi mnie interes powieści, dążącej tą krzywą drogą do rozwiązania. Muszę tam zajrzeć, ażeby powiedzieć ci, jak tam czas zbiegł Laurze, o której może zapomniałeś.

Dla ludzi bogatych, jeżeli ich spotka jaka katastrofa, wielkim resursem są podróże. Zmiana miejsc, nawał wrażeń rozrywają umysł i kazażą zapominać o zmartwieniach, smutkach i nieszczeniach.

Laura spróbowała tego resursu. Puściła się w świat i na złość wzięła z sobą męża, któremu, przy pomocy znakomitego lekarza, wperswadowała, że klimat południowy przywróci mu gibkość członków i wytworzy w kolumnie pancerzowej mlęcz wysuszony.

Książę posłuchał. Pojechali i wiele razem krajów zwiędzili. W podróży wszyscy kelnerzy i garsony oddawali im hołdy. Dla kelnerów-bo imponującym jest tytuł „polski graf“—cóż dopiero „książę!“ Książę traktował ich z góry, oni się mu do samej ziemi kłaniali i hołdami go przez całą Europę otaczali.

Słodko to odbierać hołdy. Człowiek czuje się wyższym, dostojniejszym, choćby nawet te hoł-

dy mu się nie należały. Jeżeli kto się urodził hrabią albo księciem, to jeszcze nie racya do odbierania pokłonów. Ale—taki zwyczaj. Czołem przed zwyczajem, który (mówiąc nawiasem) okrutne za granicą czyni Polakom szkody, bo na jednego prawdziwego księcia, wyprowadza setki fałszywych grafów, jeżdżących tylko dla przyjemności tytułu, którego im nawet ich własni nie przyznają arendarze; wyprowadza oraz miliony złotych, za które możnaby kupić mnóstwo rzeczy użyteczniejszych niż ukłony uszwetowanych fanfaronów, żartujących na stronie z grafa, głupszego od każdego z osobna kelnera i garsona. Kelnerzy i garsony z głupoty się śmieją, a pieniądze biorą.

Ale to nie należy do rzeczy. Epizodzik powyższy wymknął się mi z pod pióra niechcący. Przepraszam za niego naszych wojażerów, zbierających hołdy po świecie i wracam do przedmiotu.

Książę i księżna byli jeden prawdziwym księciem, druga prawdziwą księżną. Hołdy przeto należały się im słusznie, z kąd pochodziło, że nie potrzebowali być tak hojnymi jak fałszywi grafowie, z którymi spotykali się na wszystkich krzyżowych drogach, a których najdonioślejszy

stosunkowo kontyngens dostarczała błogosławiona pod względem tytułów Galicya.

Kraj ten przejechali nasi podróżni własnymi końmi, własną karétą, poprzedzani przez kuryera, przygotowującego dla nich popasy i noclegi, zatrzymali się we Lwowie, dla doktorów i — zawsze z kuryerem — pociągnęli dalej, ku Wiedniowi. Księżna marzyła, książe chorował. W Wiedniu wezwane zostały do tego ostatniego najpierwsze znakomitości medyczne, które mu po niemiecku przepowiedziały długie życie, a po łacinie mówiły pomiędzy sobą, że jego całkowicie zdezelowana maszyna cielesna, choć uksiążęcona, rozsypie się wkrótce w proch. Każdy z uczonych mężów, wyegzaminowawszy go, rzekł do siebie w duchu:

— Prochem jesteś i w proch się obrócisz...

Zapisywał mu bardzo drogą receptę; chował honorarium do kieszeni i radził łagodny południowy klimat.

Ta rada była jednogłośną. Lekarze w Wilnie, Warszawie, Lwowie i Wiedniu, jakby się zmówili, powtarzali jedno i to samo. Ten był powód, dla którego Włochy stały się celem podróży księstwa.

Z Wiednia udali się do Wenecyi.



Lekarze wyprawiali księcia na południe, z życzeniem:

— *Sit tibi terra levis...*

To znaczyło, iż nie chcieli przeszkadzać mu umierać, a życzyli sobie, ażeby po jego śmierci nie było powiedzianém:

— Ten a ten miał go w kuracyi...

Pewni byli, że, czy to w zimnym, czy w umiarkowanym, czy w ciepłym klimacie, jego książęca mość musi się z tego świata wynosić.

Książę jednakże zawiódł tę jednogłośnie pewność. Na przekorę znakomitościom lekarskim żył i żył i żył—codziennie umierał, ale żył dwa lata w Wenecyi, dwa w Rzymie i rok w Neapolu. W końcu jednakże ziścił przewidywania i umarł—i po jego śmierci ściągnał na siebie wielki gniew Neapolitańczyków. Taki magnat ukradł im widowisko pogrzebu. Nabalsamowany, pojechał do grobu w którym spoczywali jego przodkowie.

Tyle o księciu. Żył, żył i umarł, i zostawił po sobie wdowę—jak się pogrzebowi wyrażali mówcy—„nieutuloną w żalu.“ Niewiele nas jednakże obchodzi, jak się mówcy wyrażali. Znamy znaczenie pogrzebowych mów. Nie przywiązujemy do nich wielkiej wagi. Nie możemy

wszakże tego poninąć milczeniem, że to co się w nich o żalu wdowy mówiło, było wierutnym kłamstwem, pomimo że w czasie całej podróży i całego pobytu w Wenecyi, Rzymie i Neapolu kto tylko miał sposobność przypatrzeć się księżnie bliżej, każdego przejmowało dla niej uwielbienie.

— Taka piękna, taka młoda i skazana na podzielenie życia z trupem!.. Jak ona heroicznie los swój znosi!..

Takim był *vox populi*. Załowano młodą księżną, litowano się nad nią, wielu Niemców, Włochów i polskich grafów ofiarowało się na pocieszycieli strapionej małżonce. Lecz ona—pociechę odpychała i chętnie się trapiła, a to dlatego, że to strapienie było dla niej rozrywką, sposobem przepędzania czasu i oddalania natrętów. Jego choroba zasłaniała ją przed światem i pozwalała jej być samą. Była więc samą w Wenecyi, samą w Rzymie, samą w Neapolu. On konał sobie powoli, a ona dumiała, tu rozmarzona, tam rozmodlona, owdzie zapatrzona w płomień wulkanu.

Wychodnim punktem jej dumań była: znikomość rzeczy ludzkich. Od rzeczy ludzkich przeszła do niebieskich i poczęła choremu per-

swadować, że klimat rzymski będzie dla niego zdrowszym niż wenecki. W Rzymie patrzący na nią ludzie jednym głosem krzyknęli:

— Nabożna!..

— Spowiadała się, kupowała wota do kościołów, rozdawała bajki księżom i ubogim, czyniła pokutę, rozmyślała o przyszłym życiu i zbawieniu duszy, siebie i męża otoczyła jezuitami, modliła się gorąco i w Neapolu zapomniała o wszystkim. Zmianę tę nagłą sprawił w niej Wezuwiusz. Znalazła podobieństwo pomiędzy płomieniem w łonie ziemi tłumionym, a tym który tłumiała we własnym łonie. I pragnęła powrócić do kraju.

Nim do tego pragnienia przyszło, dziwaczne po głowie krążyły jej myśli. Bywały chwile, w których zachciwało się jej założyć nowy zakon, wyznający regułę surowszą od wszystkich znanych. Miały to być trapistki w drugiej potędze, poświęcone całkowicie zbawieniu ludzkości i ciągłej pokucie za nieswoje grzechy. Z wykonaniem tego zamiaru wstrzymywała się do chwili, w której dusza jej męża powołaną zostanie do lepszego życia. I gdyby ta chwila przyszła była w Rzymie, nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż mielibyśmy Laurystki biczące

się, żywiące się postnym grochem, chodzące we włosienicy, sypiające w trumnach i t. d. i t. d. Ale życie męża temu przeszkodziło, a w Neapolu przeszkodził Wezuwiusz.

Najgorzej wyszedł na tém jej spowiednik, powiernik i przewodnik, który, pewny prędkiej śmierci księcia, nastawał na to, ażeby do samego końca wytrwała w obowiązkach troskliwej małżonki— i... oszukał się. Małżonek pozyl rok zadługo, a małżonka, niby ptak z klatki uwolniony, uderzyła w skrzydła i uleciała, zostawiając powiernikowi zawiedzioną nadzieję milionów, które przejść mogły na własność zakonu.

Bo też po śmierci męża tak słodko uśmiechnęło się do niej życie! To niebo, przepowiające jej w przyszłości, otworzyło się przed nią w teraźniejszości. Krew, przygrzana słońcem południa, zagrała w żyłach. Wulkan zahuczał w piersi. Przypomniła sobie dawne, dobre czasy, kiedy to się bawiła w pasterkę, i porównała je z temi, jakie jej groziły w ponurym klasztorze, w samotnej celi, w trumnie. Zimno ją przejęło ze strachu. Gdyby nie miała za co wyjechać, byłaby się pod ziemię przed jezuitami schowała.

Pobyt na południu nie pozostał bez wpływu na jej wrażliwą naturę, nasiąkłą różnemi różnościami, które, splątane jedne z drugimi, wytworzyły hipokryzyą. Laura powróciła na świat ze spuszczonei oczami, z zesnurowanemi ustami i z wulkanem w piersi.

Na tę drogę pchnęło ją ożenienie się Oswaldą. Oswald więc był główną i jedyną przyczyną kierunku jakim poszła księżna.

Są kobiety, które dla tego rodzaju przyczyn przejmuje nienawiść i pogarda.

Są inne, w których przeszkody potęgują namiętność.

Księżna należała do tych ostatnich. Dogładanie chorego męża, oddawanie się marzeniu pod jasnym niebem Wenecyi, przy kołysance nuty barkaroli, rozklęczenie się na stopniach rzymskich ołtarzów, zapędzenie się do Neapolu — wszystko to było nie czem innym, tylko sposobami i sposobikami do wypędzenia z duszy obrazu jednego człowieka, który nie był ani wielkim, ani znakomitym, ani nadzwyczajnemi jakimiś przymiotami ciała lub duszy obdarzonym. Usiłowała go wypędzić — i nie mogła. Stało na tém, że w rozpaczy powiedziała sobie:



— To kara Beska...

A ponieważ to kara, więc ją przyjąć należy. Nauka o rezygnacyi w przyjmowaniu dopuszczeń, znalazła tu praktyczne zastosowanie, tém bardziej, że połączyła się z nią troska o zbawienie duszy Oswalda — troska wielce skomplikowana różnemi szczegółami, pomiędzy którymi ważniejszymi były następujące: 1° że Oswald był protestantem, 2° że był żonatym, 3° że, o ile ze wspomnień sądzić 'mogła, należał do rodzaju zatwardziałych grzeszników. Komplikacya ta wszakże większą czyniła zasługę nawrócenia.

Miłość jój tedy uduchowiała się. Miłość, niegdyś śmiejąca się i roztrzepana, stała się poważną, milczącą, ponurą. W istocie jednakże zmieniła się tylko w formach, stawszy się przytém gwałtowniejszą, bo przez lat kilka tłumioną. Zyskała jeszcze i to, że się nauczyła kryć za pozorami, zupełnie co innego jak ziemskie, cielesne oznaczającemi kochanie.

Jako pozór, zrazu tymczasowy, wystąpił obok niej kot. Kot? — zapytacie. — Tak, kot. Stało się to w sposób zupełnie przypadkowy. Raz w Wenecyi, kiedy Laura po północy dumiała w otwartém oknie i słuchała dalekiego

plusku fali, i tęskniła tęsknotą samotnicy, i pragnęła pragnieniem rozkochanej, tuż obok niej dało się słyszeć mruczenie, dziwnie nastrojowi jęj myśli odpowiadające. W mruczeniu tém dzwoniło niby spółczucie. Był to kot, który usiadł obok niej na oknie, i patrzył na włoskie niebo, i słuchał dalekiego plusku fali, i mruczał. Laura pochwyciła go w objęcia. Kot się do niej przytulił. Piers jęj się ścisnęła, łzy w oczach stanęły. Od tęg chwili ten kot stał się jęj nieodstępnym towarzyszem. Zdeklarowała się w niej miłość dla całego kociego rodzaju — miłość jako zasłona, za którą ukrywała się inna.

Ten moralny nastrój odbił się i na jęj powierzchowności. Laury piękność nie była klasyczną, to jest zależała nie od rysów, nie od linii, ale od ożywiającego całą jęj postać wyrazu. Gdy przeto ten wyraz zesuwował—gdy oczy przestały strzelać promieniami, gdy usta przestały się uśmiechać, gdy w układzie miejsce giętkiej, podającej się gibkości zastąpiła sztywność, gdy toaleta osłoniła grzészne ciało — Laura przestała być piękną. Dodać do tego potrzeba, że trochę postarzała; — pięć lat gorączkowego pod gorącym słońcem życia zo-

stawiają ślady na kobyńcu, a nikt zapewne się nie zdziwi, że można było o Laurze powiedzieć, co Aldona mówiła sama o sobie:

— „Ten straszny upiór jest-że to Aldona?“

Rozumie się, wyrażenia „straszny upiór“ nie można było do niej literalnie zastosować. Straszna ani upiorem nie była, tylko nie była to już owa zachwycająca, świetna, młoda kobieta, zaćmiwiająca inne blaskiem urody.

„Kto z kim przestaje, takim się staje“, głosi przysłowie. Jest to tak dalece prawda, że zrobiono postrzeżenie, iż przez długie pożycie mąż i żona, chociażby w chwili pobrania się najmniejsze pomiędzy niemi nie zachodziło podobieństwo, stają się z czasem jedno do drugiego podobnym. To samo tém mocniej w moralnym dzieje się względnie. Obcowanie człowieka z pewnymi ideami, robi go do tych idei podobnym. Laura nazbyt długo przestawała z ideą pokuty za grzechy, ażeby się stać nie miała podobną zarazem do pokuty i do grzechu, to jest ażeby nie straciła dawniej ponętności która ją odznaczała. Rysy pozostały te same, lecz nie takie same—mogłaby być piękną, lecz nią nie była.

Nie wiem azali czytelnik nie zrobił tego co

ja na kobietach postrzeżenia, odnoszącego się do niewieściej piękności. Znałem kobiety zarazem piękne i brzydkie—pociągające i wstrętem przejmujące. Mieniły się jak kameleon, i to w jednej chwili. Były odrażające, nagle piękniały, znów brzydły, znów piękniały. Z jedną kłopotalem się przez cały miesiąc i w końcu nie wiedziałem czy brzydka, czy ładna. Na inną bywały dnie, na inną całe miesiące. Badając powody, doszedłem że przyczyna tego leżała w nastroju duszy, której ton uwidomił się w oczach, na ustach, na licu, na czole, nawet na nosie. Ztąd sens moralny: która kobieta chce być piękną, powinna starać się o piękno duszy.

Mniejsza jednakże o to. Przejdźmy do faktów.

Laura doznała wielkiego zmartwienia. Przez lat pięć z górą pod jej okiem konał mąż. Gdy weszła sama na drogę pokuty i oczyściła się dostatecznie, zwróciła uwagę na konającego i odrazu domyśliła się, że jest to wielki grzesznik. Żal jej się zrobiło, że człowiek którego imię nosiła pójdzie wprost do piekła. Postanowiła odwrócić od niego to nieszczęście. W tym celu całemi godzinami rozpowiadała mu o szczęśliwości przyszłego życia i o warunkach pod ja-

kiemi ta szczęśliwość osiągniętą być może. Konający, słuchając o warunkach, myślał o grzechach i zwykle milczał. Słuchając o szczęśliwości, wynurzał żal, iż raj chrześcijański nie jest podobnym do mahometańskiego.

— Chrześcijański jest wyższym, czystszy, doskonalszym—deklamowała Laura.

— Cóż, kiedy bez hurysek — odpowiadał konający.

Laurze sprawiało to obrzydzenie, i słusznie; nic bowiem nie może być obrzydliwszego, jak uśmiechający się do hurysek trup. Nie ustawała jednakże w pracy i nawracała a nawracała tego zatwardziałego grzesznika, który, pomimo kilku odbytych spowiedzi, wciąż a wciąż grzeszył myślą i mową, i koniec końcem w grzechu umarł.

A ponieważ *ten* poszedł do piekła, tem bardziej trzeba było ratować *tamtego*...

Takiem było niezłomne Laury postanowienie.

Kim był *ten*?—czytelnik wie. Kim był *tamten*?—ubliżyłbym domyślności czytelnika, gdybym nazwał go po imieniu i nazwisku.

Laura nabalsamowanego nieboszczyka wyprawiała krótszą drogą, a sama puściła się dłuższą, na Paryż, dla pomodlenia się w *Nôtre Dame*,



na Kolonią, dla odwiedzenia katedry, na Berlin nie wiem już dlaczego. Spieszno jej było;jechała jednakże powoli, zatrzymując się tu i owdzie. Czemu się nie spieszyła? — na to odpowiedzieć nie potrafię inaczéj, tylko ucieklszy się do tego powtarzanego na wszystkie tony i wszystkimi językami zdania, że „kobięta jest wieczną, nigdy nie rozwiązana zagadką.“ Podróż jej trwała okrągło cały rok. Wszędzie po drodze zostawiała po sobie wspomnienie pobożnej niewiasty. O! o ileżby to wspomnienie było trwalszém, gdyby wiedziano że ta niewiasta spieszy wyrwać kochanka z piekielnych czeluści!

Nareszcie wyjechała, ale nie do stolicy. Zatrzymała się w dobrach swoich, gdzie budowała okolice, która ją pierwszy raz oglądała, pobożnością bez granic. Codzién widziano ją na mszy, w kolatorskiej ławeczce, na aksamitnym, puchem wypchanym klęczniku; co piątek przy konfesyonale; co sobota z jej poręki rozdawano po groszu żebrakom. Z powodu téj jałmużny rządzca majątku zrobił jej przedstawienie. zaproponował założenie domu przytułku, w którym ubodzy miećby mogli i przyzwoite utrzymanie, i zastosowane do ich sił

i wieku zatrudnienie; zaproponował oraz zaprowadzenie pewnych w majątku reform, mających na celu podniesienie dobrobytu włościan.

— A to na co?—zapytała Laura.

— Na to, jasnie oświecona pani, ażeby nie było ubogich...

— A to dobre!... Gdyby nie było ubogich, komużbym dawała jałmużnę?... Ubóstwo jest Bożem dopuszczeniem, wyrokiem Opatrzności.

Rządzca uklonił się do samej ziemi i dał pokój przedstawieniu, do którego myśl podał mu widok miłosierdzia księżny dla kotów, dla których domem przytułku, wzorowo uorganizowanym, był własny jej pałac. Około 60ciu — wyraźnie *sześćdziesięciu* — kotów miało w nim schronienie i opatrzenie, jakiegoby pozazdrościł niejeden ubogi. Dla każdego kota było osobne kóżeczko z franką, osobny piernacik, osobna poduszcзка i osobna kołderka. Trzy panny służące czuwały dniem i nocą nad ich wygodami. Osobny kucharz gotował dla nich śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacyą. Na śniadanie mięwały mléczko z bułeczką, na obiad rosółek i kotleciki, na podwieczorek mléczko bez bułeczki, na kolacyą potrawkę z sosem. Śniadania i podwieczorki były niezmiennie jedna-

kowe, lecz na obiady i kolacye niewolno było codzien jedno i to samo powtarzać. Nad smakowitością potraw sama księżna czuwała: często bywała obecną, kiedy koty jadły i każdego dnia regularnie kosztowała półmiski dla nich przeznaczone.

Nic nie mogło być ciekawszego nad widowisko uczy kocięj. W jadalnej sali (była dla kotów, ze względów higienicznych, osobna jadalna sala) stał długi, niski stół, obstawiony krzeselkami równiej z nim prawie wysokości, nakryty białym, cienkim obrusem i zastawiony talerzami. Obok każdego talerza był kubek z wodą. W początkach była jeszcze i serwetka, lecz księżna przekonała się, że koty serwetkami pyszczków sobie nie obcierają. Gdy zupa została rozdana, drzwi od sypialnych komnat otwierały się i zgromadzenie wchodziło tłumnie, miauczając i do góry zadzierając ogony. Każdy kot wskakiwał na swoje krzeselko i zmiatał ze swego talerza. Po zupie lokaje wnosili półmiski, a panny służące, jedna z jednego końca, druga z drugiego, trzecia we środku, rozdawały, krajały, dolęwały sosu i doglądały apetytu, o którym obowiązane były zdawać przed panią sprawę w następujący sposób:

— Proszę księżny pani, pipi jadła bez apetytu, albo: nie jadła wcale...

Dodać muszę, że każdy kot miał imię, w nadawaniu którego trzymała się księżna téj zasady, że imiona samic kończyły się na samogłoski, samców na spółgłoski; jako to: pipi, bebe koko, lala, lili itd.; burbur, oror, ochoch, mokmok, makmak, turtur i t. d.

Gdy księżna dowiedziała się że pipi nie jadła, kazała ją sobie przynosić, brała na ręce, patrzyła jęj w oczy, przykładając rękę pod lewą łopatkę, do brzucha i do nosa i następującą z nią prowadziła rozmowę:

— Moja pipi, co ci jest?.. Niebożátko, wyraźnie chora... Mocne i przyspieszone bicie serca, nosek gorący... Trzeba jęj dać na przeczyszczenie... Może to przejdzie... O, biedna moja pipi!..

Pipi stawała się wtedy przedmiotem szczególnej troskliwości. Służąca obowiązana była co chwila zdawać sprawę o stanie jęj zdrowia i o tém czy lekarstwo skutkowało. Na brak niezupełny apetytu dawano rumianek.

Wyznać należy iż los służących, przeznaczonych do obsługiwania kotów, nie był do pozazdroszczenia. Roboty miały mnóstwo z utrzymaniem w czystości mieszkania i pościółek. Bez

końca zamiatały, wymiatały, kadziły, wentylowały, cerowały, szyły, a przytém wyprowadzały kotów na spacery i utrzymywały między nimi zgodę i nad snem ich czuwały.

Księżna niekiedy w nocy robiła znienacka inspekcją. Biada, jeżeli znalazła że który z kotów był rozkryty. Pioruny spadały wtedy na winowajczynię, co z kolei czuwać powinna była.

Jeżeli które łóżeczko znalazła próżném, cały pałac, ze wszystkiemi przyległościami, zrywać się musiał na nogi. Mężka i żeńska służba z latarniami i świecami rozbiegała się po wszystkich kątach. Poszukiwania póty trwały, póki zbieg nie został odszukany, sprowadzony, na łóżeczku położony i kołderką okryty. Jeżeli spać nie chciał, okazywał niespokojność i zrywał się, wówczas księżna podejrzывała chorobę i natychmiast dawała na przeczyszczenie.

Zdarzało się niekiedy, że zbieg postrzeżony został na dachu. W takim razie księżna mdlała lub spazmów dostawała, a to z powodu że:

— Może spadnie i nóżkę złamie...

Kotki z kociętami miały oddzielne pomieszkowanie i większe wygody.

Na urządzenie tego wzorowego zakładu



upłynął z górą rok. Księżna nie wyjechała, póki wszystkiego nie urządziła i nie zapewniła się, iż w jej nieobecności kotom na niczem nie zbraknie. W tym celu uorganizowała służbę, zarząd i kontrolę. Służba składała się z ochmistrzyni, pięciu panien służących, lokaja, kucharza, frotera i kuchcika. Dozór powierzonym został rządzczy dóbr, a kontrola księdzu proboszczowi. Do zakładu przywiązany był także i lekarz, który za grube honorarium podjął się leczyć koty. Za nieposzlakowaną wysługę pewnej liczby lat każdy ze służby przyrzeczoną miał emeryturę, a oprócz tego, za gorliwe pełnienie obowiązków, wyznaczone były nagrody.

— Czy tylko będzie nad niemi biedaczkami opieka! — powtarzała Laura, myśląc o wyjeździe.

Przed wyjazdem kilka tygodni spędziła na regulowaniu porządku służby. Przepisała zajęcia, wyznaczyła kolej i osobno ochmistrzynię, osobno rządzcę, osobno księdza proboszcza zaklinała, ażeby ją godnie wyręczali.

— To asani powinno pochlebiać — mówiła do ochmistrzyni—że zostawiam cię na swoim miejscu... Jest to z mojej strony dowód wielkie-

go zaufania, czyniącego asani zaszczyt... Zresztą, jeżeli się uczciwie wywiązesz z obowiązków, nie będziesz tego żałowała... Po dwunastu latach wiernej służby, dostaniesz dworek z ogrodem, grunt i opał w dożywocie...

Do rządzcy mówiła:

— Szczególnie aspanu polecam moje koty... Przychodź pan niespodzianie i rób przegląd, i jeżelibyś postrzegł, że się ochmistrzyni opuszcza, natychmiast mi o tem donieś... Co tydzień regularnie przesyłaj mi pan raport, z wyszczególnieniem jaknajdetaliczniejszym stanu zdrowia, przybytków, oraz ubytków, jeżeliby takowe miały miejsce... Pod mojem okiem żaden kot, Bogu dzięki, nie umarł (o kotach nie mówiła: zdechł). Spodziewam się, że i pod aspana okiem będzie to samo... Lękam się dla nich biédaczków przeziębienia; dlatego przychodź pan w nocy i rewiduj łóžeczka, czy każdy nakryty...

— Jaśnie oświecona księżno pani — odpowiadał rządzca — usiłowaniem mojem będzie uczynić zadość rozkazom księżny, chociaż wolałbym, ażebyś mnie jaśnie oświecona pani nie obarczała tak ciężkim obowiązkiem...

— Zkąd znów ciężkim?.. Ciężkiem jest to,

co jest nieprzyjemném... A ja z własnego doświadczenia wiem, co to za miły obowiązek...

— Oj miły, jaśnie oświecona pani — odpowiadał rządcza, skrobiąc się w ucho.

— Jeżeli miły — podchwyciła Laura — to pełń go, a ja będę pamiętała o dzieciach aspana...

Na takie *dictum*, rządczy nie pozostawało nic innego, tylko głębokim pochylić się ukłonem.

Do księdza mówiła :

— Księżu dobrodzieju, jestem taka nieszczęśliwa, że nie mam na kogo się spuścić... Nie ufam ani ochmistrzyni, ani rządczy... Oni przede wszystkim myślą o sobie... Byle im było dobrze: o resztę nie dbają... Cała przeto nadzieja moja w księdzu dobrodzieju... Proszę, zaklinam (tu ręce złożyła) księdza dobrodzieja, miej oko na tych moich wychowanków...

— Czyż nie lepiejby było wziąć na wychowanie dziatki ubogich ludzi? — wsunął ksiądz niby niechcący.

— Czyż ja dla ubogich mało czynię? — podchwyciła Laura. — Bóg widzi... wszystko co mogę... Ksiądz dobrodziej sam jesteś świadkiem... Co sobota rozdaję jałmużnę i zostawiam asygnacją do kasy, ażeby i w mojej nieobec-

ności jałmużna po piętnaście groszy rozdawaną była...

Ksiądz miał na języku zapytanie, ile dziennie kosztuje utrzymanie kotów? Ale się wstrzymał, przez grzeczność, pomimo że był tego przekonania, iż gdyby na miejsce kotów podstawić np. chorych, możnaby założyć szpital na dziecięć przynajmniej łóżek, a gdyby podstawić dzieci, możnaby piętnastu chłopcom dać przyzwoite elementarne wychowanie.

— Niechże ksiądz dobrodziej zrobi mi tę łaskę— ciągnęła księżna— i czuwa nad mojami kotkami, i raz przynajmniej co dwa tygodnie zawiadamia mnie listownie, jak też rządzca i ochmistrzyni pełnią swoje rozkazy...

— A toć jasnie oświecona pani chce włożyć na mnie obowiązek pisywania denuncyacji — podchwycił ksiądz.

— W dobrym celu, w chwalebny cel — odparła księżna— w celu wyrobienia w oficyalistach moich cnoty bojaźni Bożej... Będą gorliwsi, wiedząc że uwiadomianą jestem o każdym ich wykroczeniu, a przez to samo będą cnotliwsi... Z tego i na księdza dobrodzieja niemata spłynie zasługa... Niechże ksiądz dobrodziej patrzy z boku i pisze mi o wszystkim i odwie-

dza moje koty... Ja za to pomnożę jałmużnę z piętnastu groszy na dwadzieścia...

Ksiądz podziękował w imieniu ubogich, nie odmawiając stanowczo kontroli, z obawy ażeby ubodzy nie stracili pięciu groszy.

W wigilią odjazdu zwołała księżna całą służbę i gorąco wszystkim wobec i każdemu z osobna poleciła koty.

W dzień wyjazdu cały poranek strawiła na żegnaniu się z wychowañcami i wychowankami. Obcałowała ich, opieściła, ogłaskała, obsypała życzeniami i przestrogami i zaręczała, że nigdy by ich nie opuszczała, gdyby nie nagląca potrzeba, nie ważny powód, nie konieczność ratowania od potępienia duszy grzesznika. Sługom zapowiedziała, że nieobecność jej nie będzie długą. Wsiadła do pojazdu i w towarzystwie pięciu kotów-wybrańców puściła się w podróż.

---



X.

---

Nie księżnę jednakże, ale kogo innego będziemy śledzili w podróży—nie księżnę, za której karétą szły powozy, bryki i fury, którą poprzedzał kuryer i kuchmistrz, a towarzyszyli jej marszałek domu, kilku lokajów, liczny fraucymer, spowiednik i koty, — ale człowieka z którym znajomość zabraliśmy przypadkowo i który ze swojej strony przypadkowo zwrócił uwagę na naszą bohaterkę. Człowiek ten odbywał podróż bardzo skromnie i oszczędnie. Najmował sobie podwodę od miasteczka do miasteczka, niekiedy przysiadał się do kogoś i pozwoli posuwał się coraz dalej i dalej. Podróżny jego pakunek składał się z niewielkiej objętości tłómoka i skórzanéj poduszki. W tłómoku by-

ła bielizna, trochę odzieży, starannie obwinięte obuwie i pościel.

Człowiek ten zaznał snadź komfort, bo w podróży, o ile mógł, pozwalał sobie na wygody, zwłaszcza na noclegach. Brał osobny pokoik, o którego cenę z góry się umawiał. W pokoi-ku własnoręcznie urządzał sobie postanie, dokładając całej staranności, ażeby się dobrze wyspać. W tym celu opatrywał łóżko, otrze- pywał kurz z sienników i materaców, zaścielał je czystém prześcieradłem, okrywał wełnianą, kraciastą kołdrą i nie szczędził zabiegów, dla oddalenia wszelkiego hałasu, mogącego zamie- szać senny spokój. To była główna jego tro- ska. O jadło mniej dbał. Piwo grzane, mléko świeże, jaja gotowane, do tego kawałek chleba i trochę soli, zupełnie mu wystarczało.

Kierunek podróży jego szedł z północy na południe, trzymając się bardziej ujeżdżonych traktów i ludniejszych okolic. Nie chodziło mu snadź tyle o szybkość jazdy, ile o bezpieczeń- stwo. Dlatego po drodze wdawał się w rozho- wory i rozpytywania, jak wędrowiec podróżu- jący dla zwiedzenia kraju i zbadania obyczajów.

— A czy daleko do X.?.. a jakie tam wsie po drodze?.. a czy są karczmy?.. jaką reputacją

mają karczmarze?.. czy nie zdarzył się tu jakiś wypadek?.. czy nie słyhać o złodziejach i rozbójnikach?.. i t. d. i t. d. i t. d.

Tego rodzaju indagacją ciągnął z każdego, kogo spotkał. Tego rodzaju rozmowę prowadził i z człowiekiem który go wioził. Na podobnych rozmowach upływał mu czas na trakcie prowadzącym z Mozyra na Owrucz, ku Żyto-mierzowi. Nie oznaczam bliżej punktu, dlatego że nie jestem w stanie z historyczną wskazać go dokładnością. Wiem tylko, że droga szła przez lasy i że po tej drodze nasz podróżny posuwał się niezbyt pospiesznie. Powodem niepospieszności były koniki zbyt małe i wóz zbyt wielki. Koniki należały do tego rodzaju, w których jeden z obcych podróżników upatrzył oddzielny gatunek koni, zwanych *hettia* i *wista*. Wóz należał do tego rodzaju, którym nasi wieśniacy wożą produkta swoje na jarmark. Woznica należał do rodzaju szlachty chodaczkowej. Wóz i konie były jego własnością, którą wraz ze swoją osobą wynajął, dla przewiezienia podróżnika z jednego miasteczka do drugiego. Podróżnik pytał go:

— A szybko będziesz wioził?

— Z góry szybko, pod górę noga za nogą, a po równej drodze jak Bóg da...

Owóz Bóg tak dał, że konięta ledwo wlokły wóz. Hukał na nie kiedy niekiedy woźnica i szarpał je lejcami, i okładał im boki batogiem, i szturchał je w ogony biczyskiem; ale one na to wcale nie uważały. Szły sobie tym samym krokiem, jakim przywykły chodzić w pługu, w bronie lub ze snopami.

— O, toć my niedaleko zajedziemy— rzekł podróżny, gdy z popasu wyruszyli.

— Przecie gdzieś zajedziemy — odparł woźnica.

— A nie możnaby pospieszyć?..

— Możnaby, gdyby było z góry...

— Do miasteczka jednakże nie zaciągniemy...

— Zaciągniemy, przy Boskiej pomocy...

— Ale późno w nocy...

— Ja myślę że na obiad...

Było to po południu. Podróżny przeto domyślił się, że szlachcic mówi o obiedzie nie dzisiejszym. Więc rzekł:

— Ale nie dziś...

— Jużci że nie dziś...

— Gdzież nam wypadnie nocleg?..

Szlachcic spojrział po niebie, zmierzył wysokość słońca nad zachodnim horyzontem, pomyślał trochę i odpowiedział:

— Gdzie się wielmożnemu panu podoba... Mamy po drodze dwie karczmy przy trakcie (nazwał obydwie)... Do jednej mil dwie, do drugiej dwie i pół...

— Są przy tych karczmach wsie blisko?..

— Gdzie tam... karczmy stoją w lesie...

— To niebardzo bezpiecznie...

Szlachcic nic na tę uwagę nie odpowiedział. Targnął lejcamy i zawołał na koniki:

— Hettia!..

Podróżny znów go zaczepił:

— A zajeżdżają tam ludzie na noc?..

— Czemużby zajeżdżać nie mieli?..

— Któraż z nich porządniejsza?..

— Tamta druga, murowana i z pokojami dla gości..

— A pierwsza?..

— Pierwsza nie tak porządna, ot zwykła karczma...

Podróżny pomyślał sobie, że lepiej byłoby zajechać do drugiej i rozpytywał dalej:

— A nie zdarzył się tam jaki wypadek?..

— Jaki?..



— Czy nie okradli tam kogo, czy nie zabili?..

— Okraść, okradli, bo bez tego być nie może, ale żeby zabili, o tém nie słyzałem..

Szlachcic nie był rozmowny, więc podróżny poprzestać musiał na tych, jakie od niego wyciągnął, informacyach. Jechali dalej w milczeniu. Słońce coraz to niżej chyliło się ku zachodowi. Sosny coraz to dłuższe rzucały cienie. Szybkość jazdy coraz to wolniała.

— Daleko do noclegu? — zapytywał podróżny, najprzód co godzina, następnie coraz to częściej.

— Do wieczora zajedziemy—była niezmiennie jedna odpowiedź szlachcica.

A wieczór zbliżał się szybko. O zmroku pokazała się pierwsza karczma: było jednakże tyle jeszcze dziennego światła, iż można było widzieć jej dach podziurawiony, jej ściany skoszlawione, okna powyłukane i drzwi na jednej trzymające się zawiasie.

— Chce pan tu nocować?.. zapytał woźnica.

— Za nic w świecie—odpowiedział podróżny.—Jedźmy dalej... A daleko?..

— Pół mili... ale dobrej, konie zmęczone...

— Za pół godziny zajedziem?..

— Za godzinę.

Godzinka wyciągnęła się na godzinę, i po upływie godziny znów podróżny pytał:

— A prędko zajedziemy?..

I znów szlachcic odpowiedział:

— Za godzinę...

Późno było, kiedy nareszcie na szerokiej śród lasu polanie błysnęły światła i dała się widzieć murowana karczma, której pozór, zwłaszcza po nocy, imponował frontem w zęby, kolumnadą i gotyckimi zagięciami okien.

— O!.. zawołał nasz podróżny—to coś wspaniałego... Hotel...

Nie był to jednakże hotel, lecz poprostu karczma z zajazdem, zbudowana według narysu, przyjętego w tamtych stronach dla wszystkich w ogólności karczem, z tą jedynie różnicą, jaka zachodzi pomiędzy budowlą drewnianą niedbale postawioną, a murowaną starannie wykończoną. Była w niej duża z furtką wjazdowa brama, prowadząca do podsieni, a podsień prowadziła do wozowni i stajni, przykrytych tym samym co i mieszkalne izby dachem. Mieszkalne izby były po dwóch stronach podsieni: po jednej trzy i po drugiej trzy. Po jednej stronie szynk, będący oraz kuchnią, i pomieszkowanie arendarza z licznym potomstwem; po dru-

giej izby gościnne, szeregiem jedna obok drugiej, połączone ze sobą drzwiami wewnętrznymi i posiadające osobne na podsień wyjścia, które tę sprawiały dogodność, że każda z izb mogła być, jak cela, odosobnioną. Izby były nierównej wielkości: pierwsza od frontu duża, druga mniejsza, trzecia zaś, wązka a długa, miała podobieństwo do korytarzyka.

Nasz podróżny, wyskoczywszy z wozu, udał się według zwyczaju swego wprost do gospodarza. Gdy przechodził przez izbę szynkową, uderzył go niezwykły jakiś ruch. W kuchni palił się duży ogień, a przy ogniu stały rądle i rądelki, około których uwijali się ludzie nie wyglądający na to, aby bądź do rodziny, bądź do służby karczemnej należeli. Rądle i rądelki wydawały woń potraw wykwintnych. Podróżny zwietrył tę woń, zatrzymał się na chwilę, pociągnął nosem i poszedł dalej. Odszukiwanie gospodarza nie przyszło mu z wielką łatwością. Musiał się dopytywać i postrzegł, że każdy kogo zapytywał, okazywał jakieś roztargnienie. Nakoniec dopytał się do Żyda, który raczył go wysłuchać.

— Daj mi izbę osobną...

Żyd głową pokiwał i po brodzie się pogłaskał.

— Czemuż nie odpowiadasz?...

— Temu, że nie mam czego odpowiadać...  
Do mnie dziś takie wielkie zajechało państwo!..

— Więc wszystkie izby zajęte?..

Żyd zawołał Żydówki, kilka słów z nią zamienił i odpowiedział:

— Nie wszystkie... Jest jedna prózna, ale może to wielkie państwo zechcą i tej jeszcze...

— Przecież już zajęli, co zająć zamierzali...

— Jeszcze nie...

— Wszak mówiłeś że zajechali...

— Zajechali, ale jeszcze nie przyjechali...

— Więc ja mam do próżnej izby zupełne prawo...

— Nu, ja nie wiem...

— Ale ja wiem!— rzekł dobitnie podróżny.

— Ja jestem prawnikiem... Zajezdna karczma służy dla wszystkich... Kto pierwój przyjedzie a płaci, ten ma prawo do przytułku... Co chcesz za osobną izbę?...

Żyd powtórnie odwołał się do Żydówki i po krótkiej z nią naradzie odpowiedział:

— Cztérdzieści groszy...

— To drogo, straszliwie drogo, ale mniej-

sza o to... Zapal świecę i prowadź mnie do téj izby...

Arendarz uczynił zadość żądaniu. Wetknął małą i cienką łojówkę w ogromny a ciężki mosiężny lichtarz i poszedł przodem, zastaniając na podsieni płomyk świeczki dłonią od wiatru. Przeszedłszy podsień, otworzył drzwi do ostatniej, wyglądającej jak korytarz izby, wszedł i stawiając świecę na stole, rzekł:

— Oto pokój dla pana... Ale co to będzie, jak to państwo przyjedzie?...

— O to się nie troszcz... Ja, skoro płacę, jestem także wielki pan... Każdy jest wielkim panem, co cudziej nie potrzebuje łaski...

— Pan mówi, jakby z książki czytał...

— A masz ty co dać mi jeść?..

— Nu, jakżebym nie miał!.. Mam wszystko...

— Ja wiele nie potrzebuję... Kawalek pieczeni...

— Nu, pieczeni niema...

— To kawałek gotowanego mięsa...

— Kiedy gotowanego mięsa niema...

— To każ naprędce upiec albo usmażyć...

— Co?—zapytał Żyd.

— Zraz mięsa...

— Kiedy mięsa niema...



— Mówiłeś że masz wszystko...

— Wszystko, tylko nie mam mięsa...

— To masz rybę?...

— Ani ryby...

— To kureę?..

— Ani kury...

— Geś, kaczkę, indyka?

— Ani gęsi, ani kaczki, ani indyka...

— W takiej porządnej austeryi, myślałem że wszystkiego dostanie...

— Nu, albo czegoż tu nie dostanie?—zapytał arendarz, z akcentem urazy.

— Czegoż dostanie?..

— Czego pan chce... wódki, cebuli, czosnku, śledzia, obwarzanków...

— A mléka, jaj, soli, chleba?...

— Nu, jest i mléko, jaj niema, sól jest, chleba niema...

— Chleba niema?! — zawołał podróżny ze zdziwieniem.

— Na co chléb, kiedy są obwarzanki... Chléb będzie jutro, jak się upiecze...

— Cóż to za sardanapalowa uczta gotuje się przy ogniu?..

— To nie sardampolowa, to tego państwa... Przesłali swego kucharza i ten gotuje wiecz-rzę...

Zaledwie tych wyrazów domówił, dał się sły-szeć tętent, turkot i palenie z bata.

— Przyjechali! — krzyknął Żyd i z izby wy-skoczył.

Podróżny uchylił trochę drzwi. Podsień na-pełniła się światłem pochodni i przez otwarte na ścieżaj wrota wjechała najprzód karéta. Z ka-réty wysiadła dama i weszła do frontowej izby. Za nią poniesiono pakunki i zawiniątka i coś co miało pozór koszyków czy kołysek, których było kilka. Po karécie wjechało jeden po dru-gim kilka powozów i z każdego ktoś wysiadł, lecz nikomu nie okazywano takiej czci jak owej damie.

— To coś bogatego — rzekł podróżny sam do siebie. — Taki dwór!... Ale to dobrze... Obec-ność tego dworu jest rękojmią bezpieczeństwa i spokoju... Wielka pani nie lubi zapewne ha-łasów... Wyśpię się po królewsku, tylko chciał-bym coś przekąsić...

Poszedł i po wielkich staraniach, po wykłó-ceniu się z kilku członkami rodziny arendarza, roztargnionej przybyciem bogatej pani, ledwo

wyprocesował sobie szklanę mleka i kilka obwarzanków. Spożywszy ten skromny posiłek, zabrał się do przyrządzenia sobie nocnego legowiska. W izbie stało łóżko drewniane, słomą napełnione, i szeroka kanapa z materacem, pokrytym odwiecznymi jakimiś łachmanami, pełnemi plam, brudu i kurzu. Po bliższem rozpatrzeniu wybrał kanapę, którą przy pomocy kija i szczotki otrzepał i oczyścił, a otrzepawszy i oczyściwszy, zaścił białem prześcieradłem i kołdrą, ułożył poduszkę i począł się rozbiierać, powtarzając sobie w duchu:

— Otóż się wyśpię!...

Miał na myśli dwa warunki, czuwać mające nad jego snem: bezpieczeństwo i spokój, których był pewnym.

Niestety! niezawsze i pewność bywa pewną.

Już to samo nie najlepszą było wróżbą, że zaledwie się rozebrał i położył, musiał wstać i otworzyć drzwi, do których się ktoś dobywał. Ktosiem tym był arendarz, w towarzystwie jakiegoś jegomościa. Jegomość był marszałkiem dworu przybyłej pani.

— Tu jest jedno łóżko niezajęte—rzekł marszałek, wchodząc ze światłem do izby.

— Jest — odrzekł podróżny, ale to łóżko,

choć niezajęte, do mnie należy, bo nająłem na całą dzisiejszą noc nie łóżko, lecz całą izbę...

— Spodziewam się jednakże, iż pan nie będziesz tak nieludzkim, ażebyś miał odmówić łóżka człowiekowi strudzonemu...

— To zależy odemnie, mój panie — odpowiedział podróżny.—Najprzód muszę wiedzieć kto jest ten co chce ze mną podzielać izbę?..

— Ja— rzekł marszałek.

— Dobrze... Powtóre, musisz mi pan dać słowo, że się spokojnie zachowasz...

— Słowo jest tu rzeczą zbyteczną... W przyległym pokoju spać będzie moja pani, więc to jest dostateczną z mojej strony spokojności rekojmią...

— Jeżeli tak, to dobrze...

To rzekłszy, położył się. Weszli lokaje z tłumokami i urządzili dla pana marszałka posłanie, układając je z kobierców, cieniutkiej bieleziny, miękkich materaców, puchowych poduszek i atlasowej kołdry. Obok łóżka ustawili gotowalnię, którą gdy otworzyli, izba napełniła się wonią najwytworniejszych pachnideł. W tym samym czasie w przyległej izbie słychać było suwanie mebli po podłodze i głos kobiety, dający rozkazy i robiący uwagi:

— Tu, bliżej... tak... posuń... przystaw... Tu mu będzie wygodnie... Biédactwo, jakie znużone!...

I całusy dzwoniły.

Następnie słyszeć się dało mruczenie półgłosem odmawianej modlitwy, potem szelest sukien, krótkie krzatanie się kilku osób, poczem nastąpiła cisza.

Gdy się w przyległej izbie uciszyło, do izby zajętej przez podróżnego wsunął się na palcach marszałek, a za nim jeden z lokaj. Lokaj, rozebrawszy go szybko, wyniósł się. Marszałek się położył i świecę zdmuchnął.

Nastał tedy pożądaný przez podróżnika naszego spokój—spokój usypiający, bo nie absolutny, grobowy, ale napełniony niby pieśnią piastunki, śpiewającej przy kolébce dziecka. Tą pieśnią było z jednej strony szemranie sownego boru, z drugiej dziwne jakieś w przyległym pokoju mruczenie. W to mruczenie wsłuchał się nasz podróżny, pytając sam siebie:

— Co to jest?...

Odpowiedź rozplýwała się w rozmarzenie, rozmarzenie w drzemanie, aż nakoniec drzemanie utonęło w głębokim śnie, w którym jakieś cudne otoczyły go rojenia. Wonie i me-



lodya i barwne obrazy napełniły jego senna wyobraźnię rozkoszą. Nagle, wśród tej rozkoszy, rozległ się niby zgrzyt ostrych pazurów po szkłe. Podróżnik drgnął całym ciałem i obudził się. Chciał zatrzymać rojenia co uleciały, gniewał się na ów zgrzyt, który wydał mu się także rojeniem. Lecz tamto rojenie znikło, a to trwało. Zerwał się, usiadł na łóżku i krzyknął:

— Co to jest?..

— Zuziu!.. Józiu! — rozległy się okrzyki w przyległej izbie. — Światła!.. Ach!.. O Boże!..

Okrzykom tym wtórowało przeraźliwe miauczenie, podobne do tego, kiedy kto kota za ogon kręci.

Wkrótce w szczelinach drzwi ukazało się światło i słyszeć się dała rozmowa.

— Biedaczek... Co mu jest?.. Chory!.. Gotuj prędjéj rumianek... a ty przysposób ciepłe okłady... Ciepłe okłady na brzusek... Daj mi go do łóżka... Musiał się przeziębic... O, mój dzikdzik... Cisio... cisio... Co ciebie boli?..

Miauczenie chwilami ustawało, lecz się powtarzało coraz to gwałtowniej.

— Magnezyi!.. rebarbarum! — wołał głos kobiety. — Dzikdzik... Mój dzisiu, dzisieczku!.. Prędjéjże tam z rumiankiem i okładami!..

— Zaraz przyniosę!— była odpowiedź.

— O, zaraz!.. Wasze zaraz jest żydowskiem!.. Nie można się doczekać... Guzdrasz się przez całą godzinę... Prędzej!..

Miauczenie się wzmagalo.

— Przyłóż tu, do brzuszka... Nie tu, ale tu... Ach! niezgrabna!.. Daj, sama przyłożę... Cisio, dzisiu... cisio, kotku!..

Po ruchu i dźwięku naczynia można było zmiarkować, że przyniesiono rumianek.

— Włóż kawałeczek cukru, dolój mleka, wsyp pół łyżeczki magnezyj i na koniec noża rebarbarum... Nalój na miseczkę... Podmuchaaj... Daj tu... Jédz, dzisiu... jédz kotku... Co? nie chcesz?.. To ci pomoże... uspokoi boleści żołądeczka... Jédz, koteczku... napij się troszeczkę... spróbuj tylko, mój malutki... Czemuż ty nie chcesz?.. Dajno łyżeczkę...

Jakaś z łyżeczką odbyła się manipulacya, skutkiem której było przeraźliwe krzyknięcie pani...

— Co to?—z akcentem trwogi zapytały dwa razem głosy.

— Udrapał... och!..

Miauczenie się wzmogło. Do miauczenia przyłączyło się stękanie i pojękiwanie. Hałas

był taki, że spanie przy nim stało się niepodobieństwem. Podróżnik nasz przeto nie spał, klnąc pocichu i murowaną karczmę, i wielką panią, i kota, i nakoniec marszałka dworu, który, zapaliwszy świecę, ubrał się naprędce.

— Czegoś pan wstał?..

— Lada chwila mogę być wezwany...

Chwila ta nadeszła. Zakołatano do drzwi. Marszałek wyszedł i podróżny słyszał przezedrzwi panią mówiącą:

— Dzikdzik zachorował... Biedactwo straszliwie się męczy... Sama nie wiem co już robić... Ciepłe okłady mu nie pomogły, a lekarstwa przyjąć nie chciał... Może przyjmie z ręki wacpana...

— Dzisiu, dzisieczku, koteczku... co tobie? — grubym głosem przemawiał marszałek. — Napij-że się...

Kot miauczał jak opętany. Przemawianie marszałka nie doprowadziło do niczego. Pani rozpaczliwe wydawała okrzyki. Cała austerya napełniła się ruchem, bieganiną i stukaniem.

Podróżny w wygodnie wysłaném łóżku przewracał się na wszystkie boki, przywołując sen, który się przywołać nie dawał. Na przewra-

caniu się upływał czas. Północ przysła i mi-  
nęła.

Wkrótce po północy wpadł do izby marsza-  
łek, podszedł szybko do łóżka podróżnika i na-  
chylając się nad nim, takie mu w ucho wsu-  
nął wyrazy:

— Na miłość Boską, poświęć się pan dla  
własnego i wszystkich nas téj nocy spokoju...  
Powiem żeś lekarz... nie zaprzecz mi... Przy-  
niosę tu przekłętogo kota: wyprawimy go na  
tamten świat i będzie spokój...

— Ach, dobrze... dobrze! — odpowiedział  
podróżnik.— Rozporządzaj pan mną... Gotów  
jestem być na ten raz lekarzem, byle mieć  
chwilkę spokojności...

Marszałek wybiegł i po chwili słychać było,  
jak polecał swojej pani lekarza i podejmował  
się odnieść mu dzikdzika dla opatrzenia.

— Lepiejby było, gdyby tu przyszedł...

— Leży w łóżku, tu obok, w przyległej iz-  
bie... Jasna pani może się z nim rozmówić prze-  
zedrzwi...

— No, to dobrze... Weź dzikdzisia, tylko  
ostrożnie i zanieś go lekarzowi, ale dobrze okryj,  
żeby go w sieniach nie zawiąło...

Owinięty, okryty, miauczający kot zjawił się w izbie podróżnika. Pomiedzy tym ostatnim a panią zawiązał się dyalog przezedrzwi. W dyalogu tym marszałek odegrał rolę suflera.

— Cóż tam, konsyliarzu?—zapytała pani.

Marszałek podpowiedział, a podróżnik odrzekł:

— Źle bardzo...

— Jakaż na to rada?..

— Operacya...

— Och!.. mój Boże!.. a czy nie możnaby łagodnych użyć środków?..

— Nie można... Potrzeba ratunku heroicznego... Inaczej nastąpi pęknięcie płuc i śmierć...

— Och!..

— Zgadza się pani na operacyę?..

— Cóż robić!.. mój Boże!.. zgadzam się...

— Wyjdźże z nim pan do sieni... Weź go za tylne nogi i ogon i z całej siły wyrznij łbem o śłup—szepnął marszałek.—Jeżeli tę operacyę wytrzyma, z pewnością będzie zdrów...

Podróżny, rad że ma sposobność zemśczenia się na przekłętym stworzeniu, nie dał sobie tego dwa razy mówić. Zerwał się, nogi włożył w pantofle, na grzbiet zarzucił szlafrok, wyskoczył do sieni i za chwilę powrócił z milczącym



kotem, którego wniósł za ogon i na podłogę rzucił.

— Już?.. zawołał marszałek.

— Operacya skończona?.. zapytała pani.

— Skończona...

— Powiodła się?..

— Wybornie... Dzisiaj osłabł... Wpadł w sen...

I dodał cicho do ucha podróżnemu:

— Z którego, jest nadzieja, nie przebudzi się... Dziękuję panu...

— Przynieś-że mi dzisieczka, tylko ostrożnie, okryj go...

Marszałek położył ogłuszonego kota na poduszkę, okrył go kołderką i szalem i odniósł. Za chwilę w obojętności powróciła spokojność i nasz wędrowiec pograżył się w głęboki sen, z którego, białym już dniem, przebudził go marszałek.

— Spiesz się, konsyliarzu, po honorarium i po wysłuchanie wyrazów wdzięczności... Kot żyje... i jest zdrow, tylko się ruszać nie może... Przepisz mu tam co jeszcze... Księżna pana wzywa...

Podróżny się opierał, lecz marszałek tak go prosił i zaklinał, że zgodził się odegrać raz jeszcze rolę eskulapa—wstał, ubrał się i wszedł

do pokoju, w którym sąsiadka jego jeszcze w łóżku leżała.

— Mój konsyliarzu, jakże ja panu jestem wdzięczna—były pierwsze jej wyrazy.

Podróżny, nim jej odpowiedział, obejrzał się po pokoju, który z brudnej żydowskiej izby, przedzierzgniętym był w pyszną sypialną komnatę. Ściany znikły pod zawieszonymi obiciami, podłoga pod rozesłanymi kobiercami. Składane fotele, krzesła i stoły zajęły miejsce kosztlawych mebli. Na stołach rozłożone były kosztowne toaletowe i gotowalniane przybory. Obok łóżka samej pani stał mahoniowy stoliczek, a na nim ze słoniowej kości krucyfiks. W głębi pokoju ustawionych było pięć misternej roboty koszyków, a w nich leżało pięć kotów.

— Jakże ja panu jestem nieskończenie wdzięczna—powtórzyła pani, uśmiechając się.—Biedny dzisio, tak cierpiał!.. Teraz mu lepiej... Zechcij pan opatrzeć jeszcze swego pacyenta...

Podróżny zbliżył się do koszyka który mu wskazała i dotknął kota ręką.

— Cóż?.. jakże?..

— Będzie zdrow... Trzeba go tylko na dycie potrzymać i bżowym kwiatem poić...

— Na poty—podchwyciła pani—i mnie się tak zdawało... Ale gdyby się mu pogorszyło?..

Podróżny na to zapytanie ramionami ścisnął.

— Nie mógłbyś, konsyliarzu, ze mną przez parę dni jechać?

— Nie mogę—odrzekł zapytany stanowczo... Pani jedzie w przeciwną stronę, a mnie interes prowadzi do Ładyżyna...

— Do Ładyżyna?—zapytała.

— Tak... W okolicach Ładyżyna jest gdzieś majątek Zawilskiej,.. to jest z domu Zawilskiej, po mężu pani Dalman...

— Dalman!.. krzyknęła pani spazmatycznie.

## XI.

Księżna O.—domyślił się bowiem czytelnik, że owa bogata pani, która z nieznanym wędrowcem w murowanej karczmie się spotkała, była nie kim innym,—księżna, powiadam, silnego doznała wrażenia, gdy po latach tylu usłyszała wymówione nazwisko, które spoczywało w głębi jęj serca, obwinione w skubaną starannie w tę sumienia. Spotkało ją to tak niespodzianie. Krzyknęła, zbladła, jakby ujrzała przed sobą upiora—i zemdląła.

Nie potrzebuję opisywać zdumienia podróżnego, który stanął, oczy szeroko otworzył i nie umiał sobie sprawy zdać z tego co widział.

Okrzyk księżny przywołał do jęj łóżka Zuzię i Józię, a za niemi i marszałka. Ten ostatni szepnął podróżnemu półgłosem do ucha:

— Hej, panie, prędzój!.. nie stój tak... pehń do ostatka funkcją lekarza... Na stole stoi flaszeczka z amoniakiem... Chwytaj za tę flaszeczkę i wetknij jej pod nos... Baba przyjdzie do siebie i, ujrawszy pana z flaszeczką w ręku, uwierzy żeś lekarz...

Podróżny poszedł za radą marszałka. Amoniak zakrecił księżnie w nosie, otworzyła oczy i głęboko westchnęła. Wkrótce potem odzyskała przytomność, a zobaczywszy przy sobie tylu ludzi, osłabionym zapytała głosem :

— Co to się stało?..

— Jaśnie oświecona pani zemdląła... odpowiedziały razem obie pokojówki.

— O!.. mój Boże!.. ach!.. pan konsyliarz!.. Co za szczęście, że los sprowadził pana tu na noc... Uratowałeś pan dwie istoty: dzisiaj i mnie... Wdzięczność moja dla pana jest podwójną...

— O!.. pani... to tak ~~ta~~ bagatela — tłumaczył się podróżny.

Księżna okiem po komnacie powiodła, cós sobie niby przypomniała i, zwracając się do pokojówek i marszałka, rzekła:

— Wyjdźcie... Zostawcie mnie samą z konsyliarzem...

A gdy została sam na sam z podróżnym:



— Wymówiłś pan nazwisko—ciągnęła—  
które mnie głęboko wzruszyło... Człowiek co  
to nazwisko nosi, mocno mnie interesuje...

— Oswald Dalman?..

— Tak jest, konsyliarzu...

Tu westchnęła i oczy zawróciła.

— On jest na złej drodze: pragnęłabym na-  
wrócić go na dobrą... Mam to sobie za obowią-  
zek sumienia...

Podróżny drwiąco-pytającym wzrokiem spoj-  
rzał jęj w oczy. Ona ciągnęła dalej:

— Przez wiele, wiele lat nic o nim nie sły-  
szałam... Nie wiem co się z nim dzieje... Po-  
dobno się ożenił...

— Ożenił się—wtrącił podróżny.

— Z kim?..

— Z panną Heleną Zawilską...

— Jakże się im wiedzie?

Zapytania te mieszały trochę podróżnego.  
Jednakże odpowiedział.

— Jako tako... Dobrze... Żyją wystawnie  
i dworno...

— Więc musi im powodzić się dobrze...

— A tak... tylko źródło ich powodzenia jest  
zagadką... Właśnie rozwiązanie tej zagadki jest  
celem mojej podróży...

— Znasz ich pan blisko?..

— Oswalda doskonale... O! znam go doskonale—odparł podróżny z przyciskiem.— Panią Dalman, z daleka...

— Pan się nimi interesujesz?..

— Bardzo..

— Czy wolno zapytać, dlaczego?..

— Niech mnie pani uwolni od odpowiedzi na to pytanie...

Księżnie oczy zaiskrzyły się. Wlepiła wzrok w nieznanego, którego twarz przybrała wyraz nienawiści.

— Pan nienawidzisz—rzekła po chwili milczenia.

Nieznanomy uśmiechnął się uśmiechem człowieka zadowolonego z pochwały.

— Mniejsza o to — ciągnęła dalej. — Ja nie mam przeciwko pańskiej nienawiści, pomimo że nie mogę jej pochwalić, gdyż źródłem jej jest gniew, a gniew jest grzechem głównym... Ale może być że pańska nienawiść przyda mi się w swoim czasie... Dlatego chciałabym wiedzieć czy pan będzie w stolicy...

— Tam jest moje stałe mieszkanie...

— Czy prędko pan powrócisz?..

— Jak można najprędzej... Za dwa, najdalej trzy miesiące...

— Zechcesz się pan do mnie zgłosić?..

Podróżny skłonił się, na znak twierdzącej na jej zapytanie odpowiedzi.

— Oto mój adres (tu podała bilet, na którym ołówkiem kilka wyrazów nakreśliła)... Gdy pan zaszczyisz mnie swoją bytnością, powiedz ażeby mi wręczono ten bilet, a natychmiast każe pana prosić... Trzeba żebyśmy się bliżej poznali...

I dodała z uśmiechem:

— Mnie także interesuje pan Dalman... Może interes pański da się z moim pogodzić...

Czytelnik z pewnością w podróznym poznał adwokata z odstającymi uszami. Tak było rzeczywiście. Odstające jego uszy wpadły od razu w oko pokojówkom, marszałkowi, lokajom, kucharzom, całej dworni i całej arendarza rodziny. Był to on we własnej osobie.

Cóż go pchnęło w tak daleką podróż? Jużci nie prosta ciekawość dowiedzenia się, czy Helena posiada jaki majątek, czy nie. Powód musiał być głębszy. On sam przed księżną przyznał się do tajemnicy „głębokiej jak grób, wielkiej jak zemsta.“ Przyznać mu potrzeba

pewną poetyczność wyrażenia. Zobaczymy, co też to była za tajemnica.

Nim jednakże do tego przyjdzie, trzeba żebyśmy z nim razem siedli na wózek i jechali i jechali, mijali wsie i miasteczka i miasta, popasali, noclegowali, noclegowali i popasali i odbywali z Żydami szabasy i na szabas przyjechali do Ładyżyna. W Ładyżynie możemy go zostawić. Niech się przypatruje Żydom w racimorowych kaftanach i lisich z aksamitem czapkach i Żydówkom w perłowych naczółkach i muszkach, brylantowych zausznicach i szytych złotym szychem napierśnikach; niech się przysłuchuje krzykom modlitwy, którą dzieci Izraela od wieków Jehowę wzywają—która razi nasze uszy, a może Bogu jest miłą; niech zresztą robi co mu się podoba: my wyprzedźmy go do Sabinowa.

Tam także krzyki, ale nie modlitwy, tylko wesela—a wesela nie w znaczeniu prostej wesołości, lecz wesołości czerpiącej powody w okazyi, jaką była ta okoliczność, że najmłodsza córka państwa Brodeckich dostała męża.

Dostała męża w osobie—ale, mniejsza o to. Ona i jej mąż weszliby do naszej powieści, gdyby się rozwinęła do ostatka. Lecz że się nie

rozwinie, przeto państwo młodzi posłużą tylko jako widowisko dla człowieka który z daleka przyjechał.

A było to widowisko nie lada. Ażeby godnie opisać te „pijające gardła“, strzelające moździerze, huczące wiwaty, potrzebowałbym pióra, z którego płyną rymy. Zwykłym piórem zadaniu temu nie podołam. Nad moje prozaiczne siły jest skręślenie obrazka naszej przeszłości, której najgłówniejszą zaletę stanowi poezya—poezya w akcji, w życiu, w każdym najmniejszym ruchu. Przodkom naszym wiele zarzucić można, tylko nie brak poezyi, czyniącej że każdy szlachcic dawniej daty jest postacią posagową, domagającą się gwałtem dłuta, a przynajmniej pędzla, nie pióra.

Wesele w Sabinowie było jednem z tych, które należały do wesel dawniej daty. Weselono się nie żartem i nie w ciemnych ramach etykiety. „Hulaj dusza bez kontusza!“ praktykowało się na niem na szeroką skalę. Wrzało jak w kipiátku. Zjechała się cała okolica. Szlachta rozłożyła się taborem i przypuściła szturm do zasobnej piwnicy, dla której przemieniła się w studziurną beczkę Danaid. Stare mio-



dy, stare wina, wytrawne nalówki lały się przez szlacheckie gardła jak przez przetak.

Huczna to była przeszłość i zabawna, ale niekoniecznie naśladowania godna, zato ciekawa, jako spektakl.

Na ciekawość tę przyjechał nasz podróżny.

Przed gankiem sabinowieckiego dworu zatrzymała się żydowska bryczka i z niej wysiadł człowiek z odstającymi uszami. Wysiadł i usta otworzył. Na ganku ujrzał kilkunastu szlachciców, którzy mu na powitanie huknęli:

— Wiwat!..

Każdy szlachcic trzymał w ręku kielich.

Podróżny zawahał się co robić: wejść, czy zrejterować do bryki? Zachęcony jednakże jednogłośnie wzywaniem: „prosimy“, przekroczył kilka schodów prowadzących na wystawę i uchylając kapelusza, zapytał:

— Czy tu mieszka pan Brodecki?..

— Tu, mości dobrodzieju — odpowiedziało mu kilka głosów razem. — Tu...

I kilka kielichów posunęło ku niemu.

Podróżny nie wiedział co począć.

— Mam interes do pana Brodeckiego... Jestem adwokat... Nazywam się...

— Adwokat! — krzyknęto — asan dobro-

dzięk z intereselem przyjeżdżasz na wesele?.. Na wesele z intereselem?.. Precz z intereselem!.. Najprzód pij, a potem będziesz gadał o interesie...

Jeden wetknął mu kielich w rękę, napełniony po brzegi, a drudzy wołali:

— Pij!..

— Zdrowie gospodarza domu!..

Podróżny się wzdragał. Kielich wydawał się mu za dużym. Przestraszała go masa napoju której wlać miał w siebie. Trzymał kielich w ręku i spoglądał po buńczucznych szlachcicach wzrokiem który nic nie wyrażał.

— Pij, kłapouchy adwokacie! — wołano na niego.

On nie pił.

— He!.. tobieby się chciało krupniczku?.. ukropu?.. co?..

— Chciałbym pomówić z panem Brodeckim...

— Pomówić!.. he?.. kruczek zagiąć?.. szlachcica w trąbę puścić?..

— Zdrowie pana Brodeckiego!..

Podróżny, nie znając zwyczajów polskich, nie wiedział że ubliżeniem jest nie wypić kiedy proszą. Począł się więc bardzo grzecznie wymawiać:

— Dziękuję panom... przepraszam... ja pić nie mogę...

— Nie możesz?!.. Nie możesz?!.. A toć to, mości dobrodzieju, rzecz niesłychana!..

— Tandem tedy... przyjeżdża z interesem i pić nie chce?..

— Hej! spoić go jak bełę!

Takie i tym podobne przemówienia nie ze wszystkiem były dla naszego podróżnego zrozumiałemi. Rozumiał wprawdzie, że chcą ażeby pił, ale nie mógł pojąć dlaczego się gnięwa- ją. Jemu się zdawało, iż powinnyby być kon- tenci że nie pije. Więcej dla nich zostanie. Groźne wszakże szlacheiców miny nie wróżyły mu nic dobrego. Cofnął się więc ku bryce.

— Żydzie!.. fora ze dwora! — huknął jeden z ganku. — A ty, adwokacie, nie żartuj z uczciwych ludzi... Pij!..

Rozkaz był tak groźny i stanowczy, że Żyd- woźnica natychmiast zebrał lejce i cmoknął na konie, a adwokat pomyślał sobie:

— Cóż robić!..

Przytknął kielich do ust i wypróżnił go do dna.

— Bravo! — krzyknęła szlachta. — A no jeszcze!..

— Nie mogę, panowie...

— Co tam, nie mogę!.. Poszedł ci gładko jeden, pójdzie i drugi...

Wetknęli mu drugi pełny kielich. Kielichy były miary starożytnej, to jest nie dzisiejsze naparsteczki, lecz pękate i głębokie, w które pół butelki chowało się jak nic.

— Nie marudź!.. pij!..

— Ależ, dalibóg, nie mogę... Nie jestem przyzwyczajony... Będzie mnie bolała głowa...

— Cha cha cha!—grzmotny śmiech był odpowiedzią na ostatnie wyrazy.

— Adwokat... i wymawia się bólem głowy!.. Któż kiedy widział, żeby adwokata głowa bolała... i to od czego?.. od kieliszka wina!.. Cha cha cha!..

— Znasz ty doskonale na ból głowy lekarstwo?.. Jeżeli nie znasz, to cię nauczę... Weź w gębę zimnej wody i siądź na żarzących węglach: gdy się woda w gębie zagotuje, głowa przestanie boleć...

— Cha cha cha! —odpowiedziano chórem.

— Kiedy znasz lekarstwo, to nie masz nad czym się namyślać... Wychył kieliszek!..

Adwokat się wahał, oglądał; chciałby się od tej napaści uwolnić, ale nie wiedział co po-

cząć: dla pozbycia się przeto, palnął drugi kielich.

— Wiwat! — krzyknęła szlachta. — A no jeszcze!..

— Panowie!.. na miłość Boga!.. nie mogę!..

— Eee!.. co tam!.. spróbuj!.. *Omne trinum perfectum*... Musisz dopełnić liczby trzy, a dopełniwszy jednej, drugą rozpocząć... taki porządek natury... Trzy, potem znów trzy, potem jeszcze trzy i tak dalej bez końca, aż zaczniesz pleść trzy po trzy...

— Proszę!.. zaklinam!.. błagam! — zawołał adwokat w rozpacz, ręce jak do modlitwy składając. — Uwolnijcie mnie, panowie, od picia... Szczerze się tłumaczę, że zachoruję...

— E!.. kpiny, mości dobrodzieju... Znamy się na tych chorobach... Pij!.. albo... słuchaj... nie żartuj!..

— Och! — westchnął adwokat, któremu to co wypił poczęło już w głowie czmęrać. — Panowie, pozbawicie mnie zdrowia...

— Śmieję się z tego!.. pij!..

— Ale niech-że to będzie już ostatni kielich...

— Ostatni z trzech... zgoda!..

Adwokat wypróżnił do kropelki.



— Niech żyje!— huknęła szlachta. — A no jeszcze!..

Na ten ostatni wyraz adwokat wykręcił się na pięcie i drapnął.

— Goń!.. łapaj! — rozległy się wołania.

Szlachta hurmem runęła z ganku.

Rozpoczęła się gonitwa. Adwokat uciekał, szlachta ścigała.

Do opisanja tój gonitwy potrzebowaliby, Homerze, twego pióra, albo raczej twego stylu, boś ty piórem nie pisał. Ty jeden potrafiłbyś obrazowo opowiedzieć o szybkości nóg i lekkości biegu, o strachu uciekającego i zawziętości ścigających. Ja nie potrafię. Mogę tylko powiedzieć, że adwokat zrazu odsadził się był znacznie, lecz w miarę jak zapął jego wzrastał, szybkość się zmniejszała. Nie tak się dzieje z arabskim koniem. Ten przy końcu biegu jest najszybszym. Wydobywa z siebie wszystkie siły i — ginie. I adwokat wydobył z siebie wszystkie siły: ale półtorej butelki wina, co w nim były, przyspieszyły ewaporacyą, która uderzyła na mózg:—zachwiał się i padł, pijany jak bela.

Szlachcice, którzy, jak ścigający Horacyusza Kuracyusza podstawali jeden od drugiego, po

jednemu dobiegali do leżącego, stawali nad nim, otaczali go, brali się w boki i sapali.

— Widzisz go!.. adwokat!.. przemówił jeden.—Chciał nam kominka wywinąć...

— Widzisz go!.. powtórzył drugi.

— O...

— Cha cha cha!.. grzmieli chórem.

Otoczyli go, śmieli się, czynili różne uwagi... a on leżał, wsparłszy głowę na łokciu i zabiegłym krwią wzrokiem wodził powoli dokoła.

Szlachta to jego położenie znajdowała nader śmieszném. Ten mu się kłaniał, inny o zdrowie pytał, inny na rozmowę wyciągał. On na zapytania odpowiadał chrząkaniem.

— A nie mógłbyś wstać, jurysto?.. zagadnął jeden.

Adwokat spróbował, lecz nie wstał. Podniósł się trochę i musiał równowagi w horyzontalném szukać położeniu.

— Spróbuj jeszcze...

Powtórna próba nie lepiej się powiodła...

— A no jeszcze!—zawołała szlachta wesoło.

Za trzecim razem stanął na nogach, wziął się w boki, kiwał głową i chciał coś mówić, lecz tylko niezrozumiale zabełkotał, postąpił kilka kroków i zachwiał się.

— Trzymaj!.. krzyknęli szlachcice.

Kilka rąk podtrzymało go w położeniu stojącym. Dwóch podeszło bliżej, ujmując go pod ramiona.

I nastąpiła scena Hogartowskiego godna pędzla. Pijani prowadzili pijanego. Już to samo, jako obrazek, było doskonałe. Cóż dopiero gdy do tego dodamy kontrast, jaki zachodził pomiędzy prowadzącymi a prowadzonym. Wesołość na całe roześmiana gardło, okoliła wieńcem rumianych, rubasznych twarzy przestraszonych, który byłby bladym, gdyby nie wino, byłby proszącym, gdyby służył język, byłby drżącym, gdyby nie wewnętrzny upał. Nie obeszło się i bez wypadków. Tych zdarzyło się kilka, a wszystkie pochodziły z téj znanéj pijanych ludzi słabości, trzymania się prostéj linii. To spowodowało, że szli krzywą, zataczali się i dziwne formowali grupy. Szlachcice śmieli się do łez, do rozpuku i prowadzili w tryumfie zbiega, którego, po licznych przygodach, doprowadzili nakoniec do dworu, wepchnęli na ganek, z ganku do sieni, a z sieni do salonu, gdzie liczne grono dam zasiadło stojące w półkole pod ścianami krzesła i ławy. W głębi, w otoczeniu kilku pań, siedziała panna młoda w ślubném ubraniu.

Panna młoda ubrana była prześlicznie, całym w bieli, w gazowej sukni popodpinanej zielonemi bukietkami, w zielonym wianuszku, strojącym w szmaragdy listków dyadem war-kocza.

Szlachcice sprowadzili adwokata, w celu pokazania damom pociesznego widowiska i odegrania w ich obecności pewnego rodzaju improwizowanego dyalogu, którym spodzielali się ubawić towarzystwo. W tym celu podprowadzili go ku panie młodej. Jeden z nich zabięrał się do przemowy— do prologu, który miał oznajomić zgromadzenie ze wszystkiēm co zaszło, to jest z przybyciem podróznego żydowską budką, ze wstrętem jaki okazał do wina, z wypiciem trzech tylko *kieliszeczków*, z ucieczką, z pościgiem, z pojmaniem, z różnemi wypadkami—gdy nagle adwokat otrzeźwiał. Przestał się chwiać na nogach, przestał błędnie oczami wodzić i językiem bełkotać. Wyprostował się, wzrok jego nabrał wyrazu trwogi, połączonej z radością i zdziwieniem. Wyciągnął rękę i ukazując palcem na pannę młodą, krzyknął:

— To ona!..

W tēm krzyknięciu dzwonił taki tragiczny akcent, że do śmiechu wszystkim odpadła ocho-

ta. Było w niem coś przerażającego, nawskróś przejmującego. To „to ona!“ padło niby piorun. Oczy wszystkich, z wyrazem pytającej trwogi, zwróciły się na adwokata, który, wyprostowany, z wyteżonym wzrokiem, z wyciągniętą ręką, wpatrzony w pannę młodą, stał przez chwilę, sterczał jak skamieniały na środku salonu i nagle—padł na kolana.

I złożył ręce jak do modlitwy i wyciągnął je do panny młoděj. Oczy jego przybrały wyraz proźby i rzewności.

— Pani!—zawołał—przebacz!.. jam winien... przebacz... bądź wspaniałomyślna!.. Moja wina pochodziła ztąd, zem cię bardzo kochał, że jeszcze kocham, że kochać nie przestałem, chociaż we mnie wmówili, że ciebie już niema na tym świecie... Chciałem podstępem dobić się ręki twojēj... Przebacz!.. Niczego więcej od ciebie nie żądam, tylko przebaczenia...

Można wyobrazić sobie zdziwienie i panny młoděj i całego zgromadzenia, gdy z ust człowieka którego nikt nie znał, takie wypłynęło wyznanie. W salonie zapanowała cisza. Każdy z najwyższem nateżeniem uwagi oczekiwał, co z tego będzie. Każdemu się zdawało, że nieznamy coś jeszcze będzie mówił.



Adwokat milczał. Na twarzy jego malowała się ekstaza. Dłonie wciąż trzymał złożone i ręce miał wyciągnięte, a wzrok w pannę młodą wlepiony.

— To jakieś *qui pro quo*— odezwał się ktoś w zgromadzeniu.

Odezwanie się to trafiło do przekonania wszystkich i odrazu tragiczność przemieniło w komiczność. Poczęto się ciekawie uśmiechać do kłęzącego.

— Pan kochałeś i kochasz tę panią? — zapytał ktoś.

— O!— była odpowiedź adwokata, połączona z głębokim westchnieniem, które wywołało kilka głośnych śmiechów.

— Jakże się ta pani nazywa? — zagadnął ktoś drugi.

— Ona!.. ona! — zawołał adwokat. — Moja Fryderyka!..

— Ładnie się nazywa — ktoś zrobił uwagę. Towarzystwo w śmiech.

— Przyrzekł mi ją jój ojciec—ciągnął nieznamy.— Przyrzekł i zaręczył nas. — Och!.. Boże!..

Wyciągnął rękę ku pannie młodej, brwi

zmarszczył, oczom nadał wyraz gniewu i krzyknął:

— To nie ona!.. Dalman!..

Zbladł, zerwał się, zachwiał i runął na podłogę.

Znów komiczność ustąpiła miejsca tragiczności. Nieznajomy zemdłał.

Ostatni jego wyraz—nazwisko znane wszystkim prawie co udział w obrzędzie weselnym brali — stał się niby zagadką, o rozwiązaniu której każdy pomyślał. Lecz imię „Fryderyka“ i nazwisko „Dalman“ nie miało dla zebranych najmniejszego znaczenia. objaśnień nie mógł dać człowiek który przytomność postradał. Odniesiono go więc do osobnego pokoju, otoczono starannością, otrzeźwiono i pozostawiono w spokoju. Sędzia i sędzina, w towarzystwie lekarza, dowiadywali się do niego co chwila.

Adwokat, rozmarzony trunkiem i znękanym wrazeniami, mocno zasnął. Odgłosy muzyki i okrzyków weselnych nie przeszkadzały mu spać. Obudził się późnym wieczorem i z pewnym trudem zdał sobie sprawę z własnego położenia. Najtrudniej było mu odpowiedzieć na zapytanie:

— Gdzie jestem?..

Ledwo nieledwo przypomniał sobie własną historią, aż do momentu ucieczki z ganku. Póki się nie obudził, zdawało mu się że wciąż ucieka—że biegnie w jakąś przestrzeń bez końca i granic, że w biegu zawadził o kamień i upadł, i kiedy się chciał kamieniowi przypatrzyć, kamień przybrał kształty trupa, a w tym trupie poznał kobietę, której obraz przez długie lata w sercu nosił. W uszach jego brzmiały śmiechy, w oczach migały postacie. Śmiechy i postacie wydały się mu szatańskie. Ten kamień przemieniony w trupa, te śmiejące się szatany napełniły umysł jego przerażeniem. Jakim jednakże sposobem to wszystko przemieniło się w wygodne łóżko, w pokoik o jednem oknie i jednych drzwiach, w kaflowy piec, w nocną lampę w kącie gorejącą i nakoniec w dochodzący do jego uszów odgłos zamaszystego mazurowa? — to było dla niego zagadką. Podniósł się, usiadł i obejrzał się. Jego tłomok podróżny, skórzana poduszka i płaszcz, wszystko to, porządnie złożone, spoczywało na podłodze obok stolika. Na stoliku stała karafka z wodą i szklanka. Ujrawszy wodę, uczuł pragnienie. Nalał szklankę i wypił. To go orzeźwiło. Począł się

wsluchiwać w akordy mazura, wśród których odróżnił tupanie obcasami.

— Muzyka i tańce—rzekł sobie w duchu.— Jestem gdzieś, gdzie grają i tańczą... Może jestem u sędziego Brodeckiego...

To przypuszczenie wydało się mu tak prawdopodobnym, że po chwili namysłu przestał o tém wątpić i zaczęło mu już o to tylko chodzić, ażeby się z sędzią widział i rozmówił. Do tego potrzebował wstać, ubrać się i zrobić rekonesansik.

Wstał, ubrał się i wyszedł. Kierunek sieni wyprowadził go na podwórze, gdzie znalazł tłumy skupione pod oknami, które były otwarte. Tłumy składały się z wieśniaków i służby. Przedmiotem ich ciekawości były zabawy pańskie. Wieśniacy przypatrywali się i różne robili spostrzeżenia, których sobie półgłosem udzielali. Gdy się pomiędzy nich adwokat wnieszał, właśnie mówili o piękności panien, które mimo okien przesuwały się w mazurze.

— Ej, jaka ta ładna! — mówił jeden parobek.

— I ta niczego—dorzucił drugi.

— Ta jeszcze ładniejsza — rzekł trzeci.

— Ale chyba że takiej jak nasza, to drugiej niema — odezwał się czwarty.

— Któraż to wasza? — zapytał adwokat.

— Panna młoda — odparł zapytany. — Dziś wzięła ślub...

I od słowa do słowa, wypytujac wieśniaków, dowiedział się, że pan Brodecki wydał córkę za mąż. Dowiedziawszy się, domyślił się i powodu dla którego spotkany został z kielichami w rękę. O resztę już nie pytał: oczywistém bowiem było, iż jest u pana Brodeckiego w gościnie. O to mu tylko chodziło. Powrócił przeto do swego pokoju, w intencji wyspania się należycie. Zastał w nim dwóch ludzi, stojących w zamyśleniu ze świecami w rękę nad jego łóżkiem. Gdy wszedł, jeden z nich powitał go i po powitaniu rzekł:

— Frasowaliśmy się o naszego pacyenta, gdzie się podział: a oto pan wchodzisz i od frasunku nas uwalniasz...

— Jestem już zdrów, odparł adwokat. Dziękuję panom za troskliwość i przepraszam za ambaras... Nie przewidywałem, że przyjadę w takiej niewłaściwej porze... Przyjechałem z interesem do pana Brodeckiego...



— Ja nim jestem— odrzekł człowiek który pierwszy przemówił. Mówiono mi już że pan masz do mnie interes... Jeżeli ważny, to gotów jestem słuchać...

Drugi jegomość zrobił ruch do wyjścia.

— Czekaaj, konsyliarzu... Chwalić Boga, nie mam żadnych sekretów...

— Mój interes jest bardzo krótki... Mam panu tylko zrobić kilka zapytań, dotyczących się majątku pani Dalman, z domu panny Heleny Zawilskiej...

— Majątku? — zapytał sędzia zdziwiony. U mnie w depozycie był posag w gotówce mojej siostrzenicy i ten jej w całości wypłaciłem.. O żadnym innym majątku nic nie wiem...

— O dobrach?...

— Helena żadnych dóbr nie posiadała i nie posiada...

— Pozwoli pan zapytać się, jakiej wysokości był posag?

— Czterykroć sto tysięcy złotych polskich...

— Wypłaconych roku?..

Sędzia wymienił dokładnie datę i dodał:

— Mam w ręku dowody oblatowane, mam kwity, świadczące że Helena swój posag odebrała... To nie sekret... Możesz pan dowiedzieć się o tem w sądach...

## XII.

---

Od opowiedzianych w poprzednim rozdziale wypadków upłynęło kilka tygodni. Cały teatr działania przeniósł się do stolicy, gdzie nadzwyczajny wypadek stał się powodem rozmów, wniosków, przypuszczeń i komentarzy. Nadzwyczajnym owym wypadkiem było przybycie księżny.

— Laura! — grzmiało po salonach, niby hasło.

Laura-wdowa stała się pojętniejszą. Jaki taki myślał o jej milionach, a każdy spodziewał się, iż przybywa z zasobami, uzbieranemi po salonach wszystkich stolic świata.

Przez jakiś czas nie mówiono o niczem, tylko o nowoprzybyłej.

Kilka dni upłynęło i znów kilka i jeszcze kilka: interesująca wdowa nigdzie się nie pokazała. To stało się nowym, nadzwyczajnym wypadkiem, z którego sobie sprawy zdać nie umiano. Rozmowy, wnioski, przypuszczenia i komentarze szły *crescendo*. Zamiast *bon jour*, witano się pytaniem:

— Cóż Laura?..

Odpowiedź była także pytaniem.

Aż nareszcie ktoś powiedział, że w kościołach pojawia się codziennie dama w ciemnym ubraniu, woalem zasłonięta, i że tą damą jest nie kto inny, tylko Laura.

— Czy być może!? — krzyknięto.

— Wiesz co — mówiła do Heleny hrabina X — księżna stała się bigotką... wyrzekła się świata...

— Szczególny gust—odrzekła Helena.

— Nigdzie nie bywa, z nikim się nie widuje, nikogo nie przyjmuje... Dziwna rzecz... Można przecie nabożeństwo połączyć z obowiązkami członka towarzystwa względem którego ma się pewne powinności... I ja jestem nabożną i przytém już nie młodą, a przecie...

— Musi ona mieć jakieś powody... Może śmierć męża...

— Co znów!— przerwała hrabina.— Że ma jakieś powody, to pewno; ale nie śmierć męża... W tém jest coś innego...

Owo „coś innego“ było zagadką do rozwiązania. Do rozwiązywania jęj brali się starzy i młodzi, panowie i panie. Pomagając sobie wspomnieniami z przeszłości, usiłowali wytłumaczyć postępowanie księżny, ale napróżno. Nikt nie posiadał klucza do zagadki, nikt, nawet nasz adwokat, który powróciwszy z dalekiej wycieczki, natychmiast zakolał do wrót pałacu w którym Laura mieszkała.

— Jakie pan przynosisz wiadomości? — zapytała ta ostatnia.

— Dziwne... Pani Dalman przed ośmiu laty odebrała w całości swój posag, który wynosił czterykroć sto tysięcy złotych... Ten posag, gdyby istniał, mógłby przynosić najwyżej trzydzieści dwa tysiące procentów... Gdyby do tego dodać dwadzieścia tysięcy pensyi, jaką pobiera pan Dalman, byłoby pięćdziesiąt dwa tysiące dochodu, za który państwo Dalman mogliby skromne prowadzić życie... Lecz oni wydają cztery razy tyle, a posagu ani śladu...

Księżna westchnęła.

— W tej tajemnicy musi być grzech— rzekła po chwili milczenia.

— Niezawodnie— podchwycił adwokat. — Mnie się zdaje, że jestem na śladach tego grzechu...

Księżny oczy ciekawością zabłyszczały. Lecz się powściągnęła, wzrok rzesami przysłoniła i rzekła:

— Panie, zlituj się nad niemi... wyrwij ich z otchłani zepsucia; bo zapewne nic innego tylko zepsucie jest dla nich źródłem dochodów...

Adwokat był zanadto ostrożnym, ażeby dał się złapać na tego rodzaju indagacyą. Zamiast przeto prostować domysł księżny, odpowiedział:

— Tak... jasnie oświecona pani... zepsucie...

— Świat terażniejszy taki zdemoralizowany!..

— Bardzo zdemoralizowany...

W tym guście przeciągnęła się rozmowa, która pod koniec wzięła trochę bardziej interesujący obrót, gdy księżna rzekła:

— Mnie się zdaje, że pan nienawidzisz Dalmana...

— Bardzo — podchwycił adwokat z przyciskiem i dodał:



— Jak nie mam nienawidzić człowieka, który żartem wydarł mi szczęście całego życia!.. Prawda, że tego szczęścia nie byłem godny, że go nie umiał szanować, że się go dobijał nagannym sposobem; ale... przecie, było ono mojem...

Kiedy on mówił, księżna myślała:

— Położenie moje jest jota w jotę takie same... I mnie szczęście całego życia zostało wydartem, i ja nie byłam tego szczęścia godną i nie umiałam go szanować i dobijałam się go nagannymi sposobami... Ale teraz, kiedy jestem oczyszczoną, teraz słusznie mogę po nie rękę wyciągnąć...

I odpowiedziała adwokatowi:

— Jesteśmy w jednakowem położeniu... I ja nienawidzę, tylko nie Oswalda, lecz Helenę... Jak pan nie mówisz mi wyraźnie powodów dla których nienawidzisz Oswalda, tak i ja mam prawo moje powody w tajemnicy zachować... Powody jednakże grają tu rolę podrzędną... Główna rola przypada nienawiści pana i mojej, schodzącej się na dwóch istotach, związanych węzłem małżeńskim... Może moglibyśmy te dwie nienawiści sprzymierzyć... Może przymierze to przyniosłoby nam wzajemnie pewną korzyść...

Zamilkła. Adwokat się zamyślił. Na chwilę w salonie księżny zapanowała cisza, którą przerwał adwokat:

— Przymierze to mnie mogłoby przynieść wielką korzyść; jaśnie oświeconej pani?.. nie wiem... Ja ubogi, brak mi środków, więc księżna pani mogłabyś mi takowych udzielić...

— Mogłabym, pod pewnym warunkiem — podchwyciła księżna. — Pan nienawidzisz nie dla samej przyjemności nienawidzenia... Wszak tak?..

Adwokat pochylił głowę na znak twierdzenia.

— Pragniesz zemsty?..

Powtórne ze strony adwokata twierdzenie.

— Zemsty jednakże nie owój brutalnej, której narzędziem jest obuch, sztylet, trucizna lub kula?..

— A, niech mnie Pan Bóg broni!—zawołał adwokat z pewnym rodzajem przerażenia.

— Owóż — podchwyciła księżna — o to mi jedynie chodziło... Domyślam się, że pan chcesz mścić się przez upokorzenie... Na to gotową jestem dostarczyć panu środków, ile będzie potrzeba...

To rzekłszy, wyszła i po chwili powróciła ze sporym w ręku woreczkiem, który wręczyła

adwokatowi. Adwokat nawet nie dziękował. Zważył woreczek w rękę, uklonił się i chciał odejść, gdy księżna odezwała się :

— Ale, ale!.. A nie chciałbyś pan odwiedzić swego pacyenta?

— Mego pacyenta?—zapytał adwokat zdziwiony.

— Chyba pan zapomniał o noclegu w karczmie zajezdnej na Wołyniu i operacyi jakąś pan tam zrobił... Biedny dzisiaj, długo cierpiał; lecz trzymałam się ściśle przepisów pańskich i powoli, powoli odzyskał zdrowie, ale stracił humor... Dawniej był taki wesoły, dziś poważny i zamyślony... Trzeba żebyś go pan widział...

I nie czekając na odpowiedź, klasnęła, zawołała „kić, kić!“ i przez otwarte drzwi weszło pięć kotów, z których cztery biegiem, a jeden powoli. Weszły i mrucząc poczęły się łąsić około księżny, spoglądającej na nie wzrokiem rozrzewnienia.

— Ciekawam, czy pan poznasz swego pacyenta...

— Ten — rzekł adwokat, ukazując palcem na, chybił trafił.

— Ale gdzie też!—zawołała księżna.—Najprzód pomyliłeś się pan co do płci, a potem lili

nigdy w życiu nie chorowała... Oto ten jego-  
mość takiej mnie nabawił trwogi...

To mówiąc, jednego z kotów wzięła na ko-  
lana.

— Oto pański pacjent... Dzisiaj, podziękuj-  
że panu, że ci zdrowie przywrócił... Gdybyś to  
pan przepisał mu co jeszcze na odzyskanie hu-  
moru...

Adwokat się uśmiechnął i odpowiedział:

— Moje wiadomości medyczne nie sięgają  
tak daleko, ażebym mógł i na humor leczyć...

— Przecież panowie leczycie na melanco-  
lią...

— Jaśnie oświecona księżno, jam prawnik...

— Nie lekarz? — zawołała księżna.

— Z medycyny posiadam niejakię wiado-  
mości, które dozwoliły mi dziesiowi zdrowie  
przywrócić, ale leczeniem się nie trudnię...

— Szkoda... a już chciałam proponować pa-  
nu, ażebyś przyjął posadę nadwornego mego  
i moich wychowanków lekarza...

— Mocno żałuję, że nie jestem w stanie chę-  
ciom księżny pani zadość uczynić...

— W każdym razie będziesz pan czasami  
samotnicę odwiedzał?...

— Nie omieszka — odparł adwokat z niskim ukłonem. — Czyni to mi wielki zaszczyt...

Jeszcze raz się ukłonił i wyszedł.

Zanim dalej opowiadanie posuniemy, wypada nam zastanowić się nad pobudkami, które skojarzyły tych dwoje ludzi.

Mniej więcej wiemy, co prowadziło księżnę. Jakkolwiek ona sobie własne postępowanie tłumaczyła, przewodnikiem jej była miłość, otoczona wszystkimi powabami owocu zakazanego i spotęgowana wszystkimi przypadłościami recydywy. Wiadomo powszechnie, że w chorobach recydywa jest zawsze silniejszą.

Laura stała się namiętą, zazdrosną kochanką. Był to naturalny wynik dwóch przyczyn: umartwienia i hipokryzyi. Pragnęła i stracony czas wynagrodzić, i zasłonić się przed światem i własnym sumieniem pozorami. Dlatego to w adwokacie przeczuła człowieka takiego jakiego jej potrzeba, człowieka którego nienawiść stać się mogła narzędziem jej miłości.

Zkąd-że w adwokacie ta nienawiść? Jeden wyraz wytłumaczy mniej domyślnemu czytelnikowi całą tajemnicę pobudek którymi kierował się ów człowiek. Wyrazem tym jest nazwisko: Hilberg. Adwokatem był nikt inny, tylko da-



wny nasz znajomy Hilberg, narzeczony niegdyś Fryderyki, któremu Oswald z przed nosa porwał i przyszlą żonę i wszystkie do tej żony przywiązane nadzieje. Może czytelnicy przypomną sobie jak to było. Grało się komedya, a w rezultacie wypadła tragedia. Pomiedzy Oswaldem a Hilbergiem położył się trup, który ze sobą do grobu zabrał całe tego ostatniego szczęście.

Hilberg należał do tego rodzaju ludzi, co to stawiają przed sobą cel życia, ale tylko jeden. Gdy ten chybi, drugiego postawić nie umieją i albo sobie we łby strzelają, albo idą naprzód na oślep. Mówię tu o celach podrzędnych, których jest mnóstwo. Cel wielki—prawda—spólnym jest wszystkim ludziom dobrej woli i zdrowego umysłu. Kto ten sobie postawi, tego nie złamie lada niepowodzenie. Hilberg tego nie zrobił i został złamany. Ułożył sobie że się ożeni z Fryderyką, że się wystawnie urządzi, że otworzy biuro na wielką skalę, że zwabi liczną klientelę, że zostanie bogatym, wziętym i sławnym. Fryderyki nie stało — i cały gmach szczęścia, jaki sobie zbudował, runął jak pałac z kart. Otworzył biuro i pracował, lecz bez celu. Ot — pchał życie naprzód, dlatego jedynie,

żeby nie iść w tył. Wytworzył się w nim tylko żal za tём co stracił, żal który był w jego duszy głuchém pragnieniem zemsty.

W pierwszej chwili, kiedy Fryderyka znikła, i on znikł. Napróżno Donner rozsyłał za nim na wszystkie strony. Nikt go nie widział, nikt nie wiedział co się z nim stało. On zamknął się i rozmyślał, a jedynym jego rozmyślania przedmiotem był Oswald, w obec którego największy zbrodniarz wydawał się mu niczém, a to dlatego, że krzywdy nie zrobił mu żaden, tylko jeden Oswald. O! gdyby on był sędzią!...

— Gdybym to ja mógł go w swoje ręce dostać!...

Takim był temat jego rozmyślań, które osnuwał około ćwiertowania, palenia na wolnym ogniu, wbijania na pal, łamania w kole, tarzania w nabitej ćwiekami, beczce i t. p. i t. p. Nie było tortur, używanych przez świętą inkwizycyę, którymby on nie pragnął poddać swego przeciwnika. Zwyczajna zemsta nie wystarczała mu.

— Gdybym go zabił—mówił sam do siebie, byłoby to niczém...

Gdy to jednakże wymówił, błysnęła mu myśl:

— Oddam mu wet za wet... Zburzę jego szczęście, jak on zburzył moje...

Ta myśl opierała się na tém przypuszczeniu, że Oswald w tym celu porwał Fryderykę, ażeby się z nią ożenić. Chciał więc—sam jeszcze nie wiedział czego, — gdy się dowiedział że Fryderyka nie żyje.

Szatani nie śmieją się takim śmiechem, jakim się on na tę wieść zaśmiał. Radość jego była bez granic. Zdawało mu się że zemsta została spełnioną. Mniejsza o to, że nie spełnił jój on sam. Chodziło mu tylko o czyn, a ten stał się. Wyobraził sobie Oswalda całe życie na torturach—i cieszył się tém.

Ta jednakże radość nie zabiła w nim żalu; nie zabiła, bo zabić nie mogła—bo zemsta, która tak prędko na Oswalda spadła, nie naprawiła jego krzywdy. Żal pozostał przyrosły do jego duszy i tylko z czasem uregulował się. Cicha jakaś melancholia trapiła go nieustannie. Zył, pracował i pośród pracy często przychodziła mu do głowy myśl:

— Coby to było, gdybym był dopiął swego... Gdyby nie ten łotr!.. Przynajmniej został ukarany!.. Harpie sumienia muszą go tam szarpać...

I wyobrażał sobie tego pięknego, kwitnącego życiem chłopca, bladym, wychudłym, ponurym, przeklinającym chwilę własnego urodzenia i przerażającym sobą ludzi. Nie przypuszczał, ażeby mogło być inaczej.

Nagle ten łotr, ten upiór przedstawił się mu jaśniejącym pogodą szczęścia. Jechał na dzielnym koniu, piękny, świetny, uśmiechnięty. Przed nim jechała dama, otoczona śmietanką towarzystwa. Ta dama, to jego żona. Na ten widok zrobiło mu się słabo.

— Gdzież sprawiedliwość?—zawyło w jego piersi zapytanie.

Powinien był raczej zapytać:

— Gdzież zemsta?...

Poszedł pod kamienicę N., widział jego pomieszkanie, widział przeglądający każdą tego pomieszkania szparą przepych. Chodził i przypatrywał się, zaglądał, rozpytywał ludzi i dopatrzył słabą stronę. Lecz tą słabą stroną była zagadka. Więc się wziął do rozwiązania zagadki. Chodził i śledził, podpatrywał i podsłuchiwał — kombinował rezultaty postrzeżeń, i wykombinował, iż węzeł zagadki spoczywa w ręku handlarza starej odzieży. Dla niczego

innego, tylko dla przekonania się o tém, odbył daleką aż na Ukrainę podróż.

Cóż go prowadziło?—Z początku ciekawość, ale nie ta zwyczajna, spoglądająca szeroko otwartemi oczami i wydająca okrzyki podziwienia, lecz milcząca, ponura, rozpaczliwa. Gdyby się był przekonał, że w egzystencyi państwa Dalman niéma żadnej zagadki, byłby sobie może gardło poderzwał, byłby może zwaryował. Zagadka uratowała mu życie i zmysły, ale obudziła pragnienie zemsty. Nie było to już wszakże pragnienie dzikie i przesadne; nie myślał już o torturach, tylko o tém, że, ażeby mu dogodzić, nie można się na ślepy traf spuszczać.

Ślepy traf jednakże posłużył mu trochę. Było nim zjechanie się z księżną i choroba kota. Bez tego, zabiegi jego byłyby się wlokły i wlokły i może na niczém skończyły. Bezpośrednim celem tych zabiegów było dowiedzenie się jaki mianowicie stosunek zachodzi pomiędzy lichwiarzem a jedném z państwa Dalman?—Bo że zachodzi, o tém nie wątpił. Tyle razy widział tego człowieka wchodzącego do kamienicy N. Wiedział jaknajdokładniej, że posag Heleny, jeżeli istnieje, to w jakimś ukryciu, wstydzącem się światła dziennego. Wykombinował



przeto, że to ukrycie, jeżeli jest, to nie gdzie-  
indziej, tylko w szkatule lichwiarza.

Zamknąć tę szkatułę, znaczyło: Oswalda i He-  
lenę z pysznej kamienicy rzucić na bruk i okryć  
ich hańbą.

Ale najprzód potrzeba było odkryć stosunek.  
Pojmował bowiem Hilberg bardzo dobrze, że  
w tej sprawie, ażeby się powiodła, wszystko za-  
leżało na danych wiadomych i najzupełniej pe-  
wnych. Domysły o tyle tylko miały wartość,  
o ile do odkrycia danych służyły. Na same do-  
mysły nie można się było spuszczać, a chociaż  
był głęboko przekonany, że zyski z lichwy  
idą na korzyść Dalmanów, potrzebował na to  
dowodów.

— Pół życia za dowody!—zawołał, wyszedł-  
szy od księżny z pieniędzmi w kieszeni.

Potrzebował dowodów, któreby w jego rękę  
były tém, czém był piorun w rękę Jowisza.

Posiadał bowiem tylko moralne przekonanie,  
a to służyło jedynie dla niego—dla niego co  
nic nie znaczył, którego głos, gdyby go pod-  
niósł, zginałby jak wołanie na puszczy bez echa.  
On chciał swemu głosowi nadać moc prawa—  
chciał Oswalda postawić pod pręgierzem, nie  
opinii publicznej, ale ujętej w paragrafy spra-

wiedliwości, do której miał większe niż do opinii zaufanie.

— Jak dojść do tych dowodów?.. Bez pomocnika nie sposób... Sam wszystkiego nie zrobię...

Gdy idąc ulicą myślał o tém, nagle obito się o uszy jego zapytanie:

— Czy ty człowiek? czy pies?..

Zatrzymał się, podniósł głowę i ujrzał przed sobą człowieka lichy odzianego, którego krwią zasłże oczy, czerwona twarz i fioletowy nos świadczyły, że w życiu często spotykał się z kieliszkiem.

— Poznają cię po oślich uszach i kocim chodzie... To jednakże jeszcze nie dowód, ażebyś nie miał być człowiekiem... Każdy człowiek podobnym jest do któregoś zwierzęcia... Oswald Dalman podobny do pawia lub rajskiego ptaka, a mimo to jest psem...

Hilberg miał odejść, nie chcąc mieć z pijakiem do czynienia; lecz usłyszawszy nazwisko Oswalda, zatrzymał się i zapytał:

— Cóż pan?...

— Nie mów do mnie „pan“—przerwał nieznamomy —Ja tego ścierpieć nie mogę... Oswald mówił do mnie „pan“, „panie“, a w końcu kazał za drzwi wypchnąć...

— Za drzwi? — rzekł Hilberg ze zdziwieniem.

— Tak... podchwycił nieznajomy, rozkraczając nogi, splatając palce i kiwając głową.— Bez względu na to, żeśmy koledzy, że ja—tu się palcem w piersi stuknął — jestem sławnym wynalazcą krambambuli...

— Kilbling! — zawołał Hilberg.

— We własnej swojej osobie... w tych samych kościach i w tém samym ciele, które mnie ubierały onego czasu, kiedyśmy ze sobą kolegowali...

— Zmieniłeś się do niepoznania...

— Nic dziwnego... Przesiąkłem spirytusem... Gdybym się był kazał w słoń szklany włożyć i spirytusem z wiérzchu nalać, byłbyś mnie odrazu poznał... Ale żem się sam słojem zrobił i spirytus do środka wlewam, dlatego mnie nie poznałeś... Spirytusu działanie inne jest z wiérzchu, inne ze środka... Żeś mnie przeto nie poznał, temu się ani myślę dziwić; ale gdybyś, poznawszy, wyparł się mnie, jak Oswald, porwałbym kamień z ulicy i łeb tobie rozwalił... Rozumiesz?..

— Czemużes tego samego Oswaldowi nie zrobił? — zapytał Hilberg, któremu błysnęła

myśl zużytkowania téj obelgi jakiej Kilbling doznał.

— Hm!.. dlatego, że pod nogami, zamiast bruku, miałem perski czy turecki kobierzec, a na karku rękę jakiegoś drağala, który na skinienie tego łotra wywinął mną i jak piłką cisnął... Leciałem, wyobraź sobie, po schodach w koziołki.. Pokazywałem łamane sztuki... I na dole ten drağal, któremu na imię Paweł, pocieszał mnie i proponował, ażebym mu kupił francuzkiej wódki...

Tu się zaśmiał.

— Zabawny człowiek!.. Amator francuzkiej wódki!.. Chciał żebym zafundował, a ja radbym żeby mnie kto zafundował...

— Jeżeli chcesz, to zajdźmy gdzie — podchwycił Hilberg.

— Czy chcesz?.. zabawne pytanie!.. Pragnienie ledwo mnie nie spali...

Poszli razem, zaszli do pierwszego jaki po drodze spotkali handlu i za stołem zasiedli.

— Może chcesz jeść? — zapytał Hilberg.

— Jeść nigdy mi się nie chce... Czasami coś przekąszę... Przekonałem się, że jedzenie czyni człowieka ociężałym... Spirytus, będący niczym innym tylko esencją pożywienia, zastępuje je

jaknajzupełniej i z wielką dla człowieka korzyścią, czyni go bowiem lekkim, uduchowia... *Spiritus*, duch...

— Ale rozum?.. — wsunął Hilberg.

— Co! rozum? — podchwycił Kilbling. — Myślisz zapewne, że spirytus rozumu pozbawia... Fałsz! wierutny fałsz!.. Dam ci dowód na samym sobie... Po każdym kieliszku robi się mi w głowie jaśniej... Cały sekret w tém, ażeby nie pić dużemi kieliszkami...

Hilberg to postrzegł, że Kilbling naléwał sobie potrosze, naraz nie więcej jak spory naparstek, i po wypiciu spluwał i mocno się krzywił.

— Ciekawym tego dowodu — rzekł Hilberg.

— Dam ci go, tém chętniej, że bardzo mi o to chodzi, ażeby prawda zwyciężyła... Fałsz jakoby pijacy byli do niczego, wielce mi zaszkodził... i oto do ostatniej nędzy przyprowadził... Nie mam nad głową dachu, na grzbiecie odzienia, dla téj głupiej racyi żem pijak!..

I o stół kułakiem uderzył.

— Myślałem że mnie podtrzymają koledzy... Zgłosiłem się do Oswalda, do tego Oswalda, którego mogę powiedzieć wychowałem, wychu-



chałem, wykierowałem na człowieka, któregom uczył, prowadził i kochał... Och! gdybym go dostał do rąk!..

Złożył kułaki i zrobił gest oznaczający więzienie za barki. Hilberg się uśmiechnął i rzekł od niechcienia:

— Mógłbyś dostać, gdybyś bardzo chciał...

— O! nie mów „gdybyś“, bo ja chcę, z całej siły chcę!.. To tylko nieszczęście, że on stał się takim wielkim panem, że postawił się tak wysoko, iż ja do niego ręką sięgnąć nie mogę...

— Można go z tej wysokości ściągnąć...

— Co mówisz! — zawołał Kilbling. — Ściągnąć?.. he!..

— Można... Jego wielkość jest piankowa...

— O! pół życia za to, żeby go ściągnąć i zaśmiać się mu w oczy.

Hilberga wzrok jaśniał radością. Powstrzymywał jednakże zanadto wyraźny jój objaw.

— Moznaby go ściągnąć, pod jednym warunkiem: pod warunkiem, ażebyś mi ślepo był posłuszny...

— Hm... Warunek trochę zacieżki... Pamiętajsz czém byłem ja, a czém byłeś ty?.. Ale, gdybyś go umotywował... to...

— Motywa proste — podchwycił Hilberg. Oswald zrobił mi krzywdę cięższą niż tobie...

— Chyba cię kazał swemu Pawłowi oba-  
tożyć...

— Nie, ale...

Tu opowiedział Kilblingowi historią Fryderyki. Gdy skończył, Kilbling nastroił mi-  
nę uroczystą, i wyciągając przez stół rękę,  
rzekł do byłego kolegi:

— Masz moje słowo... Wiedz o tém, że Kil-  
bling umie słowa dotrzymać, zwłaszcza kiedy  
jest podchmielonym... Właśnie w tej chwili  
czuję, że poczyna mi czmérać w głowie i dlate-  
go pospieszam dać słowo, że będę ci ślepo po-  
słusznym, rozumié się, tylko we względzie  
Oswalda... Twoja krzywda jest mi rękojmiał,  
że nie użyjesz mnie do żadnego głupstwa, ale  
do wielkiej i głośnej zemsty...

— Do tego, ażebyśmy, i ja i ty, mogli  
Oswaldowi w oczy plunąć... Trzeba jednak  
w postępowaniu nadzwyczajnej oględności i o-  
strożności...

— Nie lękaj się... Umiem ja być oględnym  
i ostrożnym, gdy potrzeba.. Moje władze umy-  
słowe są jak wodne kwiaty, dlatego rozkwitnio-

ne, że ciągle mokną... Wyjmij je z wody, a zwiędną: nie daj mi gorzałki, a zgłupieję...

Tém powiedzeniem Kilbling zcharakteryzował się doskonale. Należał on do tego rodzaju pijaków, dla których pijaństwo stało się stanem normalnym. Dla tych otrzeźwienie jest tém samém, czém dla zwykłych śmiertelników upicie się. Tracą przytomność, gdy nie doleją miarki, a doléwają małemi dozami, potrosze, ce chwila po pół kieliszka, do którego tak się przyzwyczaili, że bez niego wyżyć nie mogą. Tacy nietylko nie są po pijanemu do niczego, ale przeciwnie, ażeby się na co przydali, potrzebują koniecznie nastroić się. Po nastrojeniu, niektórzy bywają dowcipni, inni sprytni i przebiegli. Do tego ostatniego rodzaju należał Kilbling. Gdy podpił, stawał się sprytnym, przebiegłym, a przytém nieoglądającym się na żadne następstwa.

— No, i cóż rozkażesz? — zapytał. — Ciekawym... Dotychczas nie rozkazywał mi nikt...

— Poczekaj... Muszę się namyślić — odpowiedział Hilberg. — Chodź zemną do mego pomieszkania... Będziemy tam swobodniejsi... Po drodze opowiesz mi swoją historią...

— Moja historia krótka, — rzekł Kilbling,

gdy wyszli na ulicę. — Przechodziłem z fakultetu na fakultet, a gdy fakultetów zabrakło, zostałem z uniwersytetu wypędzony... Udałem się do dwóch innych jeszcze uniwersytetów i tego samego doznałem losu... Wypędzony trzy razy, powiedziałem sobie: dosyć!... Słuchałem, to jest, słuchać byłem obowiązany, prawa, matematyki, nauk przyrodzonych, filozofii, filologii, medycyny i teologii, i mogę o sobie powiedzieć, że jestem człowiekiem uniwersalnym... Jako taki, wziąłem w rękę kij pielgrzymi i dalej w drogę... Wyzwałem do walki świat...

W tym miejscu swego opowiadania kijem wywinał w powietrzu młyńca.

— Największym moim wrogiem jest ludzka głupota...

— Oto już i przyszliśmy — rzekł Hilberg i poszedł przodem po schodach, pokazując swemu gościowi drogę.

— Mieszkasz po królewsku! — zawołał Kilbling, gdy się ujrzał w skromnym salonie adwokata bez wziętości.

— Mieszkałbym inaczej, gdyby nie Oswald... Ale, stało się... Usiądźmy, pomówimy ze sobą obszernie...

Koledzy usiedli jeden obok drugiego i Hilberg, ze wszelkimi szczegółami, opowiedział o stosunkach majątkowych Dalmanów i o wszystkich przypuszczeniach, jakie z tych stosunków wysnuł.

— O!.. zawołał Kilbling. — Rzecz oczywista, że to wielkie państwo bawi się lichwą...

— Oczywiście — odparł Hilberg. — Chodzi tylko o dowody, do których drogę otworzyć może znajomość przeszłości lichwiarza i jego stosunku do Oswalda, albo do jego żony...

Kilbling spuścił głowę i palec na czole położył. Przez chwilę milczał, zmarszczył czoło, głową kiwał i rzekł.

— Zdaj ty to na mnie... Natchnienie powiada mi, że Paweł, który mnie za kark sprowadził i potem zaproponował, ażebym mu francuskiej wódki zafundował, będzie nam przydatnym... W moich pielgrzymkach ociérałem się o ludzi różnych i stałem się trochę fizyognomistą... Fizyognomia tego Pawła jest obiecującą... Tylko musisz mi codziennie dawać na francuską wódkę...



### XIII.

---

Przyznać trzeba, że Hilberg był człowiekiem wytrawnym. Inny na jego miejscu byłby dziesięć razy stracił cierpliwość i wyrzucał Kilblingowi, że napróżno traci czas i pieniądze. Czasu upłynęło kilka miesięcy, pieniędzy poszło półtorasta rubli. Hilberg nie tylko się nie skrzywił, ale nigdy ani zapytał. Kilbling robił co mu się podobało; nie zdawał żadnej sprawy, tylko regularnie przychodził po pieniądze.

Razu pewnego przyszedł jak zwykle, i adwokat, jak zwykle, sięgnął do sakiewki. Lecz Kilbling przytrzymał jego rękę.

— Nie trzeba już, — rzekł. — Zrobiłem co do mnie należało...

Hilberg spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

— Widzisz... dobre miałem natchnienie... Paweł się przydał... Jest to faworyt Oswalda... Opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy, a między innymi i antecedensia pana Jakuba Ładyżyńskiego, o którego ci chodziło...

— No? — zapytał Hilberg.

— Jest to Żyd... Nazywał się niegdyś Herszko, lecz się ochrzcił i przyjął imię Jakub, a nazwisko Ładyżyński... Pochodzi z tego samego miejsca co i pani Dalman...

— Z Ładyżyna — wtrącił Hilberg — dlatego nazywa się Ładyżyński...

— Zapewne... Razem z Dalmanami przyjechał z Odessy i przyjechawszy, na jakiś czas znikł, potem się zjawił i po zjawieniu, regularnie co piątek około siódmej rano, przychodzi i konferuje z samą panią...

— Tegom się domyślał, ale nie byłem pewny... To znaczy, że ma stosunki pieniężne z panią...

— Zapewne... Oswald go nigdy nie widuje... Konferencye z panią Oswaldową odbywają się sam na sam, przy zamkniętych drzwiach... Dowiadywałem się, czy Żyd miał własne fundusze... Miał całego majątku paręset rubli...

— To pewna — podchwycił Hilberg, — że

on obraca posagiem pani Dalman... I tego się domyślałem...

— Otóż masz wszystko, do czego się zobowiązałem... Ale ponieważ obchodziłeś się ze mną po ludzku, przeto przygotowałem dla ciebie miłą niespodziankę, która mogłaby cię narazić na los ojca Ofelii, gdyby Żyd był Hamletem i nosił przy boku ostrą szpadę...

— A!.. rzekł Hilberg.

— Dajże mi pierwój czém gardło odwilżyć...

Hilberg postawił przed nim sztof i kieliszek. Kilbling nalał sobie odrobinę wódki, wypił, skrzywił się, splunął i tak dalej ciągnął:

— Domyślając się, że dla ciebie najciekawszymi byłyby owe konferencye, zobowiązałem Pawła, ażeby cię wprowadził do kamienicy N. i ukrył w sypialnym pokoju pani.

Hilbergowi oczy dziwnym zaiskrzyły się połyskiem. Lecz że umiał panować nad sobą, przeto obojętnie odpowiedział:

— Dobreby to było, gdyby można temu Pawłowi zaufać...

— Ufaj ty nie Pawłowi, ale mnie... Ja Pawła mam w ręku... Pozoznawał on przedemną takie własne sprawki, że z obawy abym go nie zdradził, gotów jest dla mnie wszystko zrobić...

Nie daremnie przez kilka miesięcy poilem go francuzką wódką... Poilem i za język ciągnąłem i poznałem słabą człowieka stronę; a ty zapewne wiesz co to znaczy znać słabą stronę...

Ten rezultat zabiegów Kilblinga był dla Hilberga lepszym niż się mógł spodziéwać. Domysły jego stały się pewnikami i otwierała się przed nim możność poznania tajemnicy spółki, — tajemnicy, która mogła być tyle pożądanym dowodem.

— Cóż?.. jesteś kontent?—zapytał Kilbling.

— Jestem kontent... Nie wiem tylko czy się to da wykonać... Przedsięwzięcie wydaje się mi trudném...

— Jeżeli cię trudność straszy, to daj temu pokój... Mówiłem ci, że cię spotkać może los Poloniusza... Cała rzecz zależy na tém, ażebyś się cicho sprawował... ażebyś nie kaszlał, nie sapał, nie chrapał i dobrze uszy nastawiał... No?.. cóż tedy?.. decydujesz się?..

— Rzecz jest zbyt ponętna, ażebym się nie miał zaryzykować...

— Bądź więc gotów na czwartek wieczorem... Około północy zostaniesz wprowadzony, nazajutrz około południa wypuszczony... Na dwanaście przeto godzin zrób sobie zapas mil-

czenia, nieruchomości i cierpliwości... Byłbym cię zastąpił, gdybym nie doznawał drapania w gardle, które mnie co chwila do chrząkania zmusza... Tobie zaś natura dała zalety rybnie...

W ciągu tej rozmowy Hilberg otrzymał list od księżny, z wezwaniem ażeby przyszedł. Na ten list odpisał:

— „Uczynię zadość rozkazowi waszej księżęcej mości w piątek wieczorem... Spodzielam się iż będę miał ciekawe do udzielenia wiadomości“...

Czwartek wypadł nazajutrz. Przez cały czas, aż do wybicia terminowej godziny, adwokat tak był roztargniony, że żadnej sprawy nie mógł załatwić. Roztargnienie jego pochodziło z wewnętrznego niepokoju. Odważył się na krok hazardowny, który, w razie niepowodzenia, mógł go przed sądy jako złodzieja poprowadzić. Z drugiej jednakże strony ten krok był nadzwyczajnie obiecujący. Pokusa była zanadto silną: nie mógł się jej oprzeć.

Rozmyślał jak się na wyprawę wybrać? Zrazu chciał się uzbroić. Nabił kulami czterorną krucicę i włożył ją do kieszeni. Lecz, po chwili zastanowienia, schował krucicę do komody. Gdyby został pojmanym z orężem,



do posądzenia o złodziejstwo, przybyłoby posądzenie o zamiar morderstwa. Więc nietylko krucicę zostawił, ale nawet scyzoryk, z którym, wskutek wieloletniego przyzwyczajenia, sięgającego jeszcze szkolnych czasów, nigdy się nie rozstawał.

Bezbronny, w najściślejszym tego wyrazu znaczeniu, stawiał się na schadzkę, naznaczoną około dwunastej w nocy, na rogu ulicy na której wznosiła się kamienica N. Zastał już tam oczekujących Kilblinga i Pawła.

— Masz go — rzekł Kilbling. — Strzeż-że go jak oka w głowie... Możesz go poprowadzić wszędzie, nawet pomiędzy uspięne żorawie, bo on ma chód lekki: chodzi jak kot.....

— Byle się tylko nie kręcił — odrzekł Paweł.

— Nie lękaj się... we własnym interesie kręcić się nie będzie... No... dalej!..

— Chodźmy — rzekł Paweł.

Kilbling pozostał. Hilberg i Paweł poszli.

W kamienicy było głucho i cicho. Weszli przez furtkę, którą Paweł zamknął za sobą. Hilberg zaparł dech w piersi.

— Nie masz potrzeby się dusić — rzekł Paweł głośno. — Państwa niema w domu...

Cała służba śpi, wyjąwszy mnie i Pulcheryi...

— Jakięj Pulcheryi? — zagadnął Hilberg.

— Mojęj przyjaciółki... Ona przy pani jest tēm samēm, co ja przy panu... Nas dwoje, to dwa ciała a jedna dusza... Ona ciebie umieści jak należy...

To mówiąc, poszedł przodem na schody i, wzięwszy Hilberga za rękę, prowadził go w ciemności jaka ich otoczyła. Wyszli na pierwsze piętro, wzięli się na prawo, minęli parę izb i Paweł otworzył drzwi do pokoju, oświetconego jedną świecą. W pokoju tym, w głębokim starym fotelu, postawionym obok stolika zarzuconego różnemi gratami, jak koszycki, kłębuszki, żelazka do prasowania itp., siedziała kobieta i drzemała.

— Dość drzēmki! — zawołał Paweł wchodząc. — Zrywaj się i spiesz... Dwunasta dochodzi... Tylko patrzyć jak przyjadą...

Kobieta się zerwała. Gdy oczy przetarła, wyciągnęła się i uśmiechnęła. Hilberg ujrzał przed sobą typ pokojówki, wygadanej, zuchwałej, bezczelnej i umiejącej, stosownie do potrzeby, różne przybierać role. W tym razie, natychmiast po uśmiechu, udała trwoję.

— Mój Boże!.. ach!.. ja nieszczęśliwa!.. Pawle! na co ty mnie namawiasz!..

Jej trwoga udzieliła się Hilbergowi. Zrobiło się mu straszno.

— Nie trzeba już — podchwycił. — Ja wyjdę...

Powiedział to tak strwożonym głosem, że pokojówka w głośny uderzyła śmiech.

— Oto mi bohater! — zawołała. — Że się baba boi, to nie dziw; ale żeby się miał bać taki duży chłop!.. cha cha cha!..,

— Nie bajdurz-no — wtrącił Paweł. — Ty lubisz dużo gadać, a tu czas ucieka... Bierz świecę i chodźmy...

— Ach ty niecierpliw!.. rzekła Pulcherya z zalotnym do Pawła uśmiechem, wzięła świecę w rękę i poprowadziła Hilberga wprost do sypialnego pani Heleny pokoju.

Sypialny ten pokój w urządzeniu swoim posiadał wszystkie właściwości sypialnego pokoju damy wielkiego świata. Był duży i wysoki. Ściany ginęły pod obiciami. Podłogę zakrywał kosztowny, wzorzysty, miękki ze strzyżonej wełny kobierzec, po którym chodzenie bosą nogą sprawiało w dotknięciu wrażenie aksamitu. Łóżko, osłonięte kotarami, szerokie

i wygodne, stało w rogu pokoju, ku środkowi od ścian wysunięte. Pomiedzy oknami stała sofa, a przed nią duży, owalny stół, osłonięty adamaszkowem okryciem, którego gęste, aksamitne, złociste frendzle, spadając do samej ziemi, formowały na kobercu obręcz ze złotych kutasików. Stół ten okolały cztery fotele. Dalej ustawione były symetrycznie różne sprzęty, służące bardziej do zapelnienia miejsca, niż do jakiego użytku, wyjąwszy palisandrowej, misternie rzeźbionej szafki, od której klucza Helena nikomu nie powierzała.

— Gdzie tu pana ukryć? — zapytała Pulcherya, chodząc ze świecą i oświetlając wszystkie kąty.— Pod łóżkiem? pod sofą? albo pod stołem?.. Wybiéraj pan... Pod łóżkiem nie radzę...

I dodała z uśmiechem:

— Niebezpiecznie... Mógłbyś się pan nie chcący poruszyć... Pod sofą niewygodnie, zanizko... Pod stołem doskonale...

Podniosła okrycie i mówiła:

— Bo nietylko można słuchać, ale i widzieć... Trzeba tylko trochę rozchylić frendzle... Radzę panu, leż pod stół: możesz tam sie-

dzieć albo leżeć, jak ci się podoba, słuchać i patrzeć... No cóż? decyduj się pan...

Turkot powozu i silny głos dzwonka wpłynął na szybkie zdecydowanie się Hilberga. Dał nurka pod stół. Lecz gdy posiedział tam przez chwilę, wydało mu się że nie będzie dość bezpiecznym. Z pod stołu więc popęztał pod sofę i głęboko się zasunął.

Położenie jego nie należało do najwygodniejszych. Sofa była niska i na gołej stała podłodze. Wsunąwszy się pod nią na brzuchu, w tej już pozycyi pozostać musiał, nie mając możności przewrócenia się na bok, a tém mniej na wznak. Leżał więc z wyciągniętymi rękami i z zapartym oddechem.

Z początku było mu tam jako tako. Irytacja, nowość, zajęcie uwagi wejściem pani, służyły mu jako rozrywka i przez to niedogodność umniejszały. Słyszał szelest sukien, krzątanie, rozmowę z pokojówką: to go zajmowało. Lecz po jakim czasie nastąpiła cisza istic grobowa. Pod sofą wydało mu się, jakby był w trumnie, tylko nie na wznak, lecz odwrotnie położony. Byłby dał za to wiele, gdyby mógł się odwrócić na wznak. A tu ani się ruszyć, ani kaszlnąć, ani chrząknąć, a twardość podłogi coraz



to mocniej mu dokuczała. Sen go morzył: bał się zasnąć. Bolały go ręce, głowa, brzuch, krzyże i kolana, w uszach mu bębniło, w głowie szumiało, a pomimo tego bębnienia i szumu, słyszał chód zegarka kieszonkowego, który spoczywał na nocnym stoliku, obok łóżka pani Heleny.

O, jakże gorąco pragnął uwolnić się z tej trumiennój niewoli! Kto inny może na jego miejscu byłby stracił cierpliwość i spróbował wysunąć się z pod sofy. On cierpliwości nie stracił, a to z dwóch powodów: ze strachu i z ciekawości. W pokoju, w kącie, paliła się nocna lampa. Lękał się więc, wyłaząc, zdradzić się.

— A nuż—myślał sobie—pani Dalman nie śpi i ma właśnie oczy na sofę zwrócone...

Przytém, zaszedłszy tak daleko, nie chciał już się cofać.

Więc leżał, cierpiał i czekał. Zegar miejski wybijał powoli godzinę po godzinie. Pierwszej nie słyszał. O słuch jego uderzyła druga, potem trzecia, czwarta, piąta. Pomiedzy drugą a trzecią, trzecią a czwartą i t. d., biły kwadransy. Za każdym uderzeniem odciągał liczbę wydzwonioną od siedmiu i powtarzał sobie w duchu:

— Jeszcze pięć... Jeszcze cztery i trzy kwadransy... Jeszcze cztery i pół... i t. d.

Nakoniec nastąpiło:

— Jeszcze godzina... Jeszcze trzy kwadransy... Jeszcze pół godziny... Jeszcze kwadrans...

Ostatni kwadrans wydał się mu najdłuższym. Ledwo nie krzyknął z radości, gdy siódma bić zaczęła i gdy w tejże chwili w sypialnym pokoju usłyszał ruch i rozmowę.

— Pani, już siódma — odezwał się jeden głos.

— Siódma?— odezwał się drugi.

— Piątek...

— A!..

Nastąpiło ziewnięcie, a po ziewnięciu ust płukanie.

— Odsuń franki i odsłoń żaluzje... Jak tam na dworze?..

— Pogoda...

— Przyniósł krawiec suknię?..

— Przyniósł.

— Włożę ją dziś... Trzeba posłać do modniarki po kołnierzyki i mankiety, które u niej zamówiłam...

Ruch coraz to się wzmagał. Słychać było krzątanie się, zwykle przy posłudze około wsta-

wania pani z łóżka. Krzątanie się to na chwilę ustało i odezwał się nowy, męzki głos:

— Dzień dobry pani...

— Dzień dobry — odpowiedział głos niewieści.

Klucz we drzwiach zaskrzypiał. Hilbergowi serce mocnym uderzyło tętnem, tem bardziej, że z pod sofy ujrzał na kobiercu dwie nóżki kobiece w szytych złotem aksamitnych pantofelkach i dwie duże, niezgrabne w nieczyszczonych i wykrzywionych butach nogi męzkie. Zbliżyły się i ukryły pod frendzlami przykrycia osłaniającego owalny stół.

— Przynoszę sześćset rubli — odezwał się męzki głos.

I dał się słyszeć dźwięk pieniędzy, ten czysty, srebrny dźwięk, który i bez odezwania się mężczyzny dałby Hilbergowi poznać, że na stół wysypane zostały ruble i dukaty.

— Nie licz — odezwał się głos niewieści. — Nudzisz mnie tem liczeniem...

— O nie — odparł głos męzki. — Pieniądze lubią rachunek... Pani musi sobie zapisać...

I rozpoczęło się rachowanie:

— Dziesięć... dwadzieścia... trzydzieści...

W czasie rachowania kobieta parę razy głośno ziewnęła.

— Niechże pani teraz zapisze — rzekł mężczyzna, gdy, zestawivszy dziesiątki w setki, tych ostatnich naliczył sześć.

Para nówek w pantofelkach mignęła na kobiercu, klucz w zamku się obrócił i znów mignęły nóżki.

— Rubli srebrnych sześćset — odezwał się głos mężki sposobem dyktowania.

— Sześćset — rzekła kobieta i po chwili dodała:

— Coraz to większe przynosisz summy...

— Wielmożna pani coraz to więcej potrzebuje — odrzekł mężczyzna.

— Ach! to prawda — odpowiedziała kobieta i westchnęła, a po chwili zapytała głosem w którym zabrzmiała tkliwość:

— Jakże się ty masz?..

— Ot... trzymam się... Dziękuję wielmożnej pani za pytanie... Dodaje mi sił i zdrowia to, że mojem zdrowiem i życiem wielmożnej pani służę... Gdyby nie to, jużbym nie żył...

— Jakiś ty pocziwy!..

— Co ja za pocziwy? — przerwał mężczyzna. — To pani pocziwa, że mnie ze sobą za-

brała, że nie powiedziała mi: idź precz Herszku... że Herszkowi uwierzyła, kiedy on powiedział: oddaj mi pani swoje pieniądze, a ja zgrosza zrobię dziesięć, a z dziesięciu sto, a ze sta tysięcy... Ja niczego innego nie chciałem, tylko na wielmożną panią zdaleka patrzeć, a wielmożna pani w moje ręce oddała wszystko... i pozwoliła mi czuwać nad sobą... O! wielmożna pani dała mi szczęście... Wiem przynajmniej, że żyję nie na próżno... Czyż mógłbym żyć, gdyby nie pani?... Wielmożna pani dla mnie jak słońce... Gdyby pani nie świeciła, to nie wiem coby się z Herszkiem stało... Ze wielmożna pani pozwala mi mówić to co teraz mówię, to już dla mnie wielkie, wielkie dobrodziejstwo...

— Niema co o tem mówić — odparła kobieta.— Zaufałam ci, bo lubię ciebie...

— No... wielmożna pani mnie lubi... Mnie więcej nie trzeba...

Nastała chwila milczenia, wśród którego rozległo się męzkie westchnienie. Milczenie przerwała kobieta.

— Idź już, Herszku...

— Pójdę już, tylko mam wielmożnej pani jeszcze coś powiedzieć... Ja odkładam na stronę posag dla...



Tu wymówił imię, którego Hilberg nie dosłyszał. Zrozumiał tylko, że było to zdrobniałe kobiece imię.

— Już się summa dopełnia... Za dwa, za trzy tygodnie będzie wynosić tyle, ile wynosił posag wielmożnej pani... Chciałbym ją złożyć w pewnym i bezpiecznym miejscu, ale sam tego zrobić nie mogę... Dlatego za dwa, za trzy tygodnie naradzę się z wielmożną panią...

— Czyż twoje ręce nie są bezpiecznym miejscem?—zapytała pani.

— Moje ręce!.. o!.. moje bezpieczeństwo jest bezpieczeństwem zajęcia, którego psy wietrzą i na którego myśliwy z fuzyą czatuje... Chciałbym o tém z panią pomówić, ażeby, na wypadek gdybym ja przepadł, moja praca nie ze wszystkiem przepadła...

Hilberg nateżył słuch. Pani się odezwała:

— Przerażasz mnie... Cóż?.. mów...

— Powiem, ale nie dzisiaj... Niech się piérwój dopełni summa posagu dla...

Tak prędko imię wymówił, że Hilberg znów go nie dosłyszał.

Duże, wykrzywione buty wysunęły się na kobierzec, zwróciły do sofy napiętkami i odda-

liły się w kierunku drzwi. W ślad za niemi popłynęły wyrazy kobiety:

— Bądź zdrów, Herszku... Do zobaczenia...

— Niech wielmożna pani zostaje zdrowa...

Rozległo się męskie westchnienie. Klucz w zamku zaskrzypiał, drzwi stuknęły. W chwilę potem rozległ się srebrzysty głos pokojowego dzwonka i dały się słyszeć następujące przez pannę Pulcheryą wymówione wyrazy:

— Co pani rozkaże?..

— Niech do budoaru przyjdzie fryzyer...

— To się pani już nie położy?..

— Nie... będę się ubierała...

— To jeszcze bardzo rano... Niema ósmój...

— Spać mi się już nie chce... Potrzebuję trochę świeżego powietrza... Niech karéta będzie w pogotowiu...

Po tej rozmowie nastąpiła cisza.

Hilberg, który przez cały czas pobytu Herszka zapomniał o niedogodnościach swego położenia, zabolął naraz wszystkimi członkami, kośćmi i stawami. Zmiarkowawszy po ciszy że sam jest w pokoju, ruszył się, podniósł sofę i na wznak się obrócił. To mu trochę ulżyło. Wyciągnął się—wszystkie kości zatrzeszczały. Odetchnął z głębi piersi— i nagle wstrząsł się

cały drzeniem niespodzianego przestachu. Tuż przy jego uszach rozległ się tłumiony śmiech i dały się słyszeć wyrazy:

— Jakże się tam spało?..

Było to zapytanie panny Pulcheryi, która podniósłszy nakrycie, pod sofę zaglądała.

— Och!—odpowiedział Hilberg.

— Nie nader wygodnie przepędziłeś pan noc...

— Całe ciało mnie boli...

— A mówiłam że lepiej pod stołem... Wyłaż pan i wynoś się...

Hilberg, pomagając sobie plecami, wypełznął z pod sofy, podniósł się i wyszedł na palcach do pokoju panny Pulcheryi, gdzie na niego czekał Paweł, który go wyprowadził na ulicę.

Och! jakże on odetchnął pełno, szeroko! Odetchnąwszy, natychmiast, czasu nie tracąc, począł sobie zdawać sprawę z tego co słyszał i zebrane wiadomości kombinować. O krok dalej postąpił na drodze pewności moralnej, ale dowodów jeszcze nie miał. Było to już bardzo wiele i było jeszcze niczém. Trzeba było rzecz posuwać dalej.

Udał się do księżny. Tej oznajmił, że jest

na bardzo pewnej drodze, lecz potrzebuje jeszcze środków. Księżna z największą gotowością podała mu sakiewkę. Lecz on jej nie wziął.

— Jakichże środków? — zapytała zdziwiona.

— Z tuzin pamiątkowych klejnocików, nie drogich, ale znacznych, któreby się dokładnie dały opisać...

Księżna ramionami ścisnęła i poprowadziła Hilberga do swego skarbcza, w którym obok istotnych kosztowności, znajdowały się pierścionki, kolczyki, broszki, spinki, guziki, klamki z kamykami i bez kamyków, całe i połamane. Hilberg wybrał dwanaście sztuczek i zrobił z nich jaknajdokładniejszy inwentarz, z jaknajszczegółowszym opisem każdej z osobna. Inwentarz ten napisał na dwie ręce. Jeden egzemplarz dał księżnie, drugi zabrał ze sobą wraz z klejnocikami.

— Cóż tam? — dopytywała się księżna.

— Niech jaśnie oświecona pani będzie spokojną... Rzecz się robi powoli i ostrożnie...

— Pokładam w panu nieograniczoną ufność... Mam w Bogu nadzieję, że przy pańskiej pomocy grzesznik będzie uratowany...

Hilberg się głęboko na podziękowanie za ufność skłonił i odszedł.

I zeszedł się z Kilblingiem.

— Cóż tam? — zapytał ten ostatni. — Jak widzę nie spotkał cię los Poloniusza...

— Masz oto ten nadłamany kolczyk — odpowiedział mu Hilberg. — Idź z nim do handlarza starej odzieży i zastaw... Gdy będziesz zastawiał, przyglądaj się pilnie całej manipulacyi lichwiarza...

— To da się zrobić — odparł Kilbling od niechcenia. — Ale powiedz-no mnie, czyś kontent z nocnej wyprawy?..

— Nie ze wszystkiém... Muszę ją jeszcze kilka razy powtórzyć... Uprzedź o tém Pawła.

— To da się zrobić — powtórzył Kilbling — bylebyś tylko na wódkę nie skapił... Radzę ci, idź spać: wyglądasz jak z krzyża zdjęty...

Czy Hilberg poszedł za radą kolegi? — kronika z której spisuję powieść niniejszą, milczy o tém. Zato twierdzi stanowczo, że trzykrotnie jeszcze był w sypialnym pani Heleny pokoju, ale już nie pod sofą. W miarę jak bywanie powtarzał, przybywało mu odwagi. Za drugim razem ukrył się pod stołem i dopiero o piątą rano wlaź pod sofę; za trzecim razem o szóstą; za czwartym wcale nie wlaź i usły-



szął następujące, wielkiej dla niego wagi, zeznanie Herszka:

— Wielmożna pani nigdy mnie nie pytała, jakim sposobem z grosza robię dziesięć... Wielmożna pani dobrze robiła, bo to niepotrzebna dla was wiadomość... To moja rzecz, a ta rzecz jest żydowska.. Dość że się na mnie ludzie nie skarżą i niejeden, zagrożony niedostatkim, błogosławi... Nie kradnę, nie rozbijam, nie wydziéram gwałtem; niemniej przeto nie jestem bezpieczny, pomimo że trzymam pieniądze i wszelkie kosztowności w dwóch izbach, zasłoniętych starzyzną i nie na moje wynajętych imię... W tych izbach, w szafie do ziemi przyśrubowanej, składam posag Lorki...

— Lorki!.. powtórzył sobie w myśli Hilberg, dla zapamiętania.

— Trzeba żeby pani przyjechała, te pieniądze zabrała i w banku umieściła... Ale trzeba zajechać z tyłu... Kamienica ma dwa wyjścia... Otóż należy się zatrzymać na ulicy X. przed numerem Y... Będę na panią czekał... wprowadzę i wszystko pokażę i dam pani od wszystkiego klucze, ażeby, gdyby mnie co, broń Boże, spotkało, pani mogła natychmiast

wszystko zabrać... Nauczę panią otwierać kasę, która strzela...

— To wszystko w tej samej kamienicy, w której twój handel? — zapytała pani.

— W tej samej... W podwórzu z korytarza... tylko pod cudzém imieniem... Składy ni by nie należą do handlu...

— Kiedyż mam przyjechać?...

— We wtorek, o szóstej wieczorem... fiakrem... żeby który ze sług nie podpatrzył... Lepiej niech ludzie nie wiedzą, że wielmożna pani do mnie jeździła...

Pani Helena zrobiła kilka zarzutów, na które Herszko odpowiedział uspokajająco i wyszedł. Hilberg, tym samym sposobem co pierwszym razem, wyniósł się z kamienicy N.

Sprawozdanie Kilblinga z powierzonego mu zadania było następujące:

— Kiedy lichwiarz wyszedł po pieniądze, zajrzałem do jego księgi... Zdziwiło mnie, że w takim porządku prowadzi rachunek starzyzny... Zainteresowała mnie ta księga, przedstawiająca jaknajporządniej spisany inwentarz starych pończoch, dziurawych spodni, poplamionych kamizelek, podartych prześcieradeł i t. d. i t. d., z wymienieniem ilości dziur i plam...

Postanowiłem bliższą zabrać z nią znajomość... Dwukrotnie do niej zaglądałem, zawsze napróżno... Aż za trzecim razem uderzyła mnie pewna szczególność... Zapamiętałem ostatni numer... Na kwitku danym mi dla rozpoznania zastawionego przezemnie przedmiotu był numer następujący... Drugi raz to samo zrobiłem postrzeżenie, trzeci i czwarty raz znowu to samo... Zdaje się przeto, że owa księga jest rachunkiem nie starych łachmanów, ale zastawionych klejnotów...

Hilberg wysłuchał tego sprawozdania w milczeniu. Twarz jego rozjaśniła się uśmiechem wewnętrznej radości. Uśmiech ten jednakże nie był anielskim. Kilbling tak go scharakteryzował:

— Gdyby się kot śmiał, to nie inaczéj jak ty w téj oto chwili...

Hilberg bowiem i uśmiechał się i marszczył, zupełnie jak kot patrzący na uciekającą mysz, którą sam wypuścił na to, ażeby ją natychmiast złapać.

— Tyś kontent... pokazuje się, że masz pana Oswalda w ręku...

— Mam — odrzekł Hilberg i głową pokiwał.

— Rozpowiadaj-że mi, jak to będzie... Niech i ja podzielam twoją radość...

— Zostaw mnie samego... Potrzebuję pomysłu...

— Daj-że mi na wódkę...

I dostawszy kilka złotych, opuścił Hilberga, który natychmiast zabrał się do pisania. Pisał i przekreślał i odczytywał co napisał. Zamyślał się i znów pisał. Zapisał cały arkusz, który, że był pokreślony, więc go starannie, dużemi literami, na czysto przepisał—i, odczytując jeszcze raz, zastanawiał się nad każdym wyrazem. — Aż rzekł sam do siebie:

— Dobrze... treściwie a jasno... Podług tej informacyi wszystko wynajdą...

Złożył zapisany papier, włożył go w zana-drze i udał się wprost — do policyi.

#### XIV.

---

Trudno opisać zdumienie Heleny, gdy, wszedłszy do izby, w której złożone były klejnoty, obejrzała nagromadzone w niej bogactwy Blask ich zrywał jęj oczy. Chodziła dokoła izba i oglądała, przypatrując się dłużej kilku antykom, których kosztowność nie ustępowała miśterności wyrobu.

— To wszystko twoje? — zapytała, oglądając wysadzany brylantami, turkusami i szmaragdami dyadem.

— Tu niema nic mego... Wszystko to należy do różnych ludzi, wyjąwszy tęg szafy (tu ukazał na odosobniony szereg pólek), w której wszystko jest pani...



— Moje?—rzekła Helena zdumiona.

Herszko kiwnął głową na znak potwierdzenia i nie wdając się w dalsze tłumaczenie, rzekł:

— Przejdźmy teraz do drugiej izby...

— Ale wytłumacz-że mi pierwój tę zagadkę...

— Ach! ta zagadka wytłumaczy się sama, ale potem... Teraz chodźmy... Od momentu jak się dopełniła suma posagu Lorki, pilno mi pozbyć się tych pieniędzy...

— Chwila prędkiej, chwila później nie stanowi różnicy...

I dodała, wlepiając w niego przenikliwy wzrok:

— Mnie się zdaje, Herszku, żeś ty się bawił lichwą...

— No, a jeżeli się i bawił, to co?...

— Tyś mi tego nie powiedział, chociaż powinnam się była domyślić...

— A gdyby się była wielmożna pani domyśliła, to co?..

— To byłabym ci powiedziała: nie rób tego...

— Pani byłaby powiedziała: nie rób... a ja byłbym robił... bo widziałem was w rozpaczy... i byłem gotów pójść zabić kogo, byle pieniędzy dostać... Więc chwyciłem się lichwy, nie dlatego, żeby miała być ona równa zabójstwu,

ale dlatego, że innego sposobu nie było, a ten sposób, jeżeli jest nieuczciwym, to nieuczciwym jest każdy, kto jeden, kto pół, kto ćwierć od sta procentu pobiera... Bo jak złodziejem jest każdy co kradnie, tak lichwiarzem być powinien każdy co na procenta daje... Ja, dając na siedemdziesiąt od sta, brałem procent cztery razy mniejszy niż inni... i niejednemu podałem rękę pomocy... Bo co wy myślicie?... Ja pożyczałem trzecią część wartości przedmiotu, który, gdyby został sprzedany, przyniósłby właścicielowi czwartą, piątą, a często tylko dziesiątą... Czyż ja nie uczciwszy od tych co za bezcen kupują?... To wy, pani, nie mówcie do Herszka: tyś się lichwą bawił... Bawił się... prawda... i lichwą i różnemi innemi rzeczami, ale wszystko to nie dla siebie...

Kiedy to mówił, wzrok jego dziwnym świecił połyskiem, a na blade lica wystąpił rumieniec. Helena, na ostatnie wyrazy „nie dla siebie“, które znaczyły „dla ciebie“ spuściła oczy i niepewnym odrzekła głosem:

— Ja ci żadnej nie robię wymówki... Nie mam żadnej do ciebie pretensyi... owszem cenę wysoko twoje poświęcenie...

— No, więc chodźmy do drugiej izby...

— Co to?... sama odzież?—zapytała Helena, wszedłszy do drugiego składu...

— Jest tu i nie odzież — odparł Herszko, odchylając suknie i pokazując kasę.

— Oto główny skład a w tym składzie posag Lorki...

— Nie umiem ci być dosyć wdzięczną — odezwała się Helena, nadając głosowi akcent rozrzewnienia — żeś o mojej córce pamiętał...

— O!.. a jakżebym miał nie pamiętać! — podchwycił Herszko tonem tak naturalnym, że zdawało się jakby uważał to za swoją powinność.

— Oto kasa strzelająca...

I począł otwierać szafę, tłumacząc tajemnice jej mechanizmu.

— Tu się naciska, a nacisnąwszy posuwa... Oto dziurka od klucza... Klucz wkłada się tak, zakręca i jeszcze się dalej wkłada... i przyciska, i jeszcze się raz zakręca, ale w przeciwną stronę... Teraz się otwiera, ale trzeba tę sprężynkę z góry na dół nacisnąć, bo bez tego z zamku wyskakują pistolety i strzelają... Rozumie pani?..

Otworzył drzwi, następnie począł otwierać szuflady.

— Oto cały posag Lorki... Sześćdziesiąt tysięcy rubli czystym złotem, jak oko... Ani jednego nie brak... Sześćdziesiąt worków po tysiąc rubli... No, cóż?.. Czy nie warto Herszkowi powiedzieć: dziękuję?..

I spojrział Helenie w oczy wzrokiem pełnym dumy, pełnym wyrazu wewnętrznego zadowolenia.

Nagle słyszeć się dało niby świegotanie leżącego ptaszka. Herszko zbladł i krzyknął:

— Uciekaj!..

I nie czekając aż się ruszy, porwał Helenę za rękę, wyprowadził ją na korytarz, z korytarza na podwórze i ukazując ręką na wrota, przeciwne wchodowi którym ją wprowadził, jednym tchem wymówił:

— Tam, spiesz się, na ulicę i uciekaj...

Helena poskoczyła i za chwilę znikła. Herszko z głębi piersi odetchnął, jakby mu z barków wielki spadł ciężar. Za chwilę ze wszystkich stron ukazali się uzbrojeni policyjanci, z komisarzem na czele. Herszko się cofnął na korytarz, drzwi za sobą zatrzasnął i zarygłował, drzwi od izb pozamykał, klucze na korytarzu wrzucił pod podnoszący się na podłodze kamień i ukrytymi drzwiczkami wsunął się do

swego pomieszkania. W tój samej chwili drzwiami od sklepu weszła policya.

— Czy tu mieszka Jakub Ładyżyński? — było pierwsze zapytanie, które z ust starszego urzędnika wyszło.

— Ja nim jestem, — odpowiedział Herszko spokojnie i przytomnie.

— Jesteś aresztowany... Mam rozkaz przy twojej osobie, w twoim sklepie i w twojem pomieszkaniu odbyć ścisłą rewizyą... Oddaj mi klucze od kufców, magazynów i wszystkich należących do ciebie składów...

Herszko wyjął z kieszeni pęk kluczyków i odpowiedział:

— Ja innych składów nie mam, tylko te oto...

I ukazał ręką na drzwi od sklepu.

— To się pokaże — odrzekł komisarz, idąc wprost do rozłożonej na stoliku księgi.

— Jest to księga handlowa — rzekł Herszko.

— Widzę — odparł komisarz.

I przeczytał głośno jeden numer i zwracając się do jednego z policyantów, kazał mu wyszukać w sklepie przedmiot, do którego ów numer był przypięty. Policyant wyszedł i za



chwilkę wrócił, niosąc w ręku kobięcą spódnice. Komisarz czytał:

— Spódnica, obszywka u dołu, trzy dziury wypalone...

Tak było słowo w słowo.

Następnie zrobił próbę na drugim i trzecim numerze. I te próby wypadły jak pierwsza.

— Niema co mówić... Porządnie swój handel prowadzisz...

Herszko nic nie odpowiedział. Mina jego była zupełnie spokojna i trochę drwiąca.

— Popatrzmy do stolika — rzekł komisarz, otwierając blat, na którym leżała księga.

— Co znaczą te ważki?..

— Do ważenia monety—odpowiedział Herszko.

— A te kamienie?..

— To są kamienie próbiercze...

— A te dłutka, pilniki, szczypczyki?..

— Jestem trochę zegarmistrzem... Jak mi się zegarek popsuje, sam go sobie naprawiam...

— Wolałbyś być zegarmistrzem... To zyskowniej niż handlować starą odzieżą...

Herszko nic na to nie odpowiedział.

Komisarz wziął się do przetrząsania wszystkiego, co było w izbie i w sklepie. Przej-

rzał wszystkie kąty i kąciki, wszystkie kryjówki, każdy łachman, obszukał kieszenie w każdej sztuce starój odzieży, obszukał i kieszenie Herszka. Gdy zakończył tę drobiazgową rewizyą, zapytał, patrząc Herszkowi w oczy:

— Czy się domyślasz, czego tak pilnie szukałem?..

— Nie — odpowiedział zapytany. — Widzę tylko że nie znalazłeś pan i nie znajdziesz nic podejrzanego, bo niczego podejrzanego nie ma w mojem postępowaniu ani w zatrudnieniu...

— Przeciwnie — odparł komisarz — podejrzenie budzi to, żeś mi nie dał wszystkich kluczków...

— Wszystkie dałem — podchwycił Herszko. — Zresztą niedać nie mogłem... Poszukiwania pańskie były tak dokładne...

— Moje poszukiwania były bardzo dokładne, ale twoje schowanie jest jeszcze dokładniejszem... Nie znalazłem kluczków od składów, do których wejście jest z korytarza...

Na te wyrazy Herszko się zmieszał, ale nie okazał tego po sobie. Zmieszanie się jego było wewnętrzne. Twarz miał spokojną, nawet uśmiechniętą. Komisarz z twarzy nic nie wyczytał.

— Nie wiem o jakich pan składach mówisz...

— O tych, w których przechowujesz zastawy...

— Zastawy?! — zapytał Herszko, udając wielkie zdziwienie.

— Nie graj ze mną komedyi — rzekł komisarz głosem zupełnej świadomości. — Policya jest o wszystkiem uwiadomiona... Radzę ci przeto, daj klucze...

— Nie mogę dać, czego nie posiadam — podchwycił Herszko.

— Daj, powtarzam ci, albowiem na wypadek gdybyś nie dał, przyprowadziłem ze sobą ślusarzy, którzy zamki otworzą, nawet strzelające...

Herszko zamigotał oczami, jak człowiek który nie może znieść widoku światła. Chwilkę widać było w jego twarzy wahanie się; lecz zaraz ustąpiło ono miejsca spokojnej rezygnacyi.

— Cóż? — zapytał komisarz.

— To co mi pan mówisz o jakichciś składach i strzelających zamkach jest tak dla mnie dziwném, że nie umiem na to odpowiedzieć...

— Więc nie dasz kluczów?...

— Nie... oddałem panu wszystkie jakie miałem...

— Namyśl się i wiedz o tém, że dobrowolne przyznanie się do winy jest okolicznością łagodzącą...

— Nie mam się nad czém namyślać — odparł Herszko z cierpkością. — Cała ta rewizya i wszystko co pan komisarz mówisz jest dla mnie niezrozumiałém... Kluczów żadnych od składowów ani od zamków strzelających nie posiadam, a nie posiadając, dać takowych nie mogę...

— Do kogóż należą te składy, do których wchód z korytarza?..

— Nie wiem... To rzecz nie moja... Zapytaj pan właściciela domu...

Komisarz posłał po właściciela kamienicy.

— Do kogo należą te składy, do których wchód z kamienicy?— zapytał tego ostatniego.

— Do Jana Brinka, który je u mnie od lat dziewięciu wynajmuje...

— Gdzież on?..

— Mieszka w Rydze... Posiadam jego adres. Zostawił mi go, abym pisał do niego na wypadek, gdyby nadzwyczajna jakaś okoliczność wymagała jego obecności...

— Znasz go pan?..

— Jakżebym znać nie miał!.. Przyjeżdża kilka razy do roku i czynsz jaknajregularniej płaci, niekiedy osobiście, a niekiedy przysyła pieniądze przez pocztę...

Komisarz tém zeznaniem został, jak to mówią, zderutowany. Zamyślił się i w zamyśleniu spoglądał na stojącego pod wartą Herszka, którego twarz była wciąż spokojna i lekko uśmiechnięta. Po chwili wyjął z zanadru zapisany arkusz papieru i uważnie go odczytawszy, zapytał właściciela kamienicy:

— Jak ten Jan Brink wygląda?..

— Człowiek lat średnich, rudowłosy, piegowaty... utyka na prawą nogę, nosi okulary...

— Wzrostem wyższy jest czy niższy od pana Jakuba Ładyżyńskiego?..

Właściciel zmierzył okiem Herszka, który w tej chwili wyprostował się, i odpowiedział:

— Może trochę niższy, ale jeżeli niższy, to niewiele...

— Cóż on w tych składach trzyma?..

— Nie wiem... Jakieś towary... Widywałem paki wnoszone i wynoszone, ale co było w tych pakach... wiedzieć o tém nie do mnie należy...

Komisarz jeszcze raz się zamyślił i jeszcze raz zapisany arkusz odczytał.



— Trzeba te składy otworzyć — rzekł po namyśle.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział właściciel kamienicy. — Jeżeli pan komisarz sobie tego życzysz, napiszę do pana Brinka, ażeby przyjechał i otworzył...

Komisarz, jakby coś sobie nagle przypomniał, wyszedł do sklepu i przyniósł ztamtąd rudą perukę. I zapytał właściciela:

— Czy tego koloru są włosy pana Brinka?..

— Zdaje się — odpowiedział zapytany.

A przypatrując się lepiej, dodał:

— Tak... tego... Nawet zdaje mi się, że nie ma włosów naturalnych...

— Hm — mruknął komisarz pod nosem, patrząc badawczo w oczy Herszkowi. — Ubierzcie go w tę perukę — rzekł do policyantów — i włóżcie mu na nos okulary...

— Ja na to nie pozwolę — odrzekł Herszko spokojnie, ale stanowczo. — Pan przyszedłeś tu nie po to, ażeby dla własnej przyjemności sprawiać sobie ze mnie widowisko maskowe... Spełniłeś pan swoją powinność: zrobiłeś rewizyę, teraz pisz protokół!.. I z pana, gdyby pana umalować, w perukę ubrać i kazać panu na nogę

utykać, możnaby podobieństwo do Brinka, albo do mnie, albo do kogobądź zrobić...

— Nie unos się, mój przyjacielu—odpowiedział komisarz grzecznie. — Trzeba żebym ci rzecz wytłumaczył... Na spryt jest spryt, na przebiegłość przebiegłość... Policya wie o tém, że składy twoje pod cudzém istnieją imieniem; więc chodzi jój o to: czy to imię nosi inny człowiek, czyli téż nosisz je ty sam?.. Jeżeli inny człowiek, to człowiek ten jest twoim spółnikiem; jeżeli zaś ty sam, to należy się o tém przekonać, ażeby z jednej strony czasu nie tracić, z drugiej nie dopuścić możliwego, pomimo warty i pieczęci, wyniesienia przedmiotów, jeżeli nie wszystkich, to ważniejszych... Rozumiesz więc dlaczego chcę z ciebie zrobić sobie maskowe widowisko?.. Kiedym pytał o wzrost Brinka, tyś się wyprostował... Ją to widziałem i dlatego uważam za niepotrzebne pisać po Brinka do Rygi... Ubierz-no się w perukę i okulary...

— Nie chcę!—zawołał Herszko zmienionym głosem. — Ubiierać siebie nie pozwolę!.. Przekonaj się pan piérwój, że ów jakiś Brink nie egzystuje, a potém dopiero możesz robić przypuszczenia, że ja i Brink jesteśmy jedną i tą samą osobą...

Na twarz Herszka wystąpiły czerwone plamy. Komisarz otwierał już usta, ażeby coś jemu czy policyantom powiedzieć, gdy nagle dał się słyszeć głos człowieka, który wszedł przed chwilą i w milczeniu przysłuchiwał się kwestyi tożsamości osób Brinka i Herszka. Był to Hilberg. Mowę zwrócił do komisarza:

— Pozwól pan sobie zrobić uwagę, że prawo wymaga dobrowolnego przyznania się do winy; zatem zabrania dopuszczania się gwałtów i podstępów na osobie obwinionego...

Komisarz trochę się zmieszał i odpowiedział:

— Pozwól pan siebie zapytać: co panu do tego?..

— Nic... Wszedłem tu wiedziony prostą ciekawością, a pozwoliłem sobie na uwagę dlatego, że jestem adwokatem i znam prawo...

Herszko wpatrzył się w niespodziewanego obrońcę z wyrazem wdzięczności.

— Czy pan występujesz w charakterze obrońcy obwinionego? — zapytał komisarz.

— Nie — odpowiedział Hilberg.

— Więc nie pozostaje panu nic innego, jak uwolnić nas od swojej obecności — rzekł komisarz i dodał:

— Chyba że obwiniony wezwie pana na swego orędownika...

Hilberg zrobił ruch do odejścia i był już na progu, gdy Herszko zawołał:

— Wzywam pana na mego orędownika!.. Zostań pan i broń mnie!.. Prawa nie znam, a jestem niesłusznie posądzony...

— W takim razie, jeżeli podejmujesz się pan obrony, możesz pozostać i być niemyym świadkiem toku sprawy—odezwał się komisarz.

— I owszem—rzekł Hilberg.—Sprawa wydaje się być interesującą... Gotów jestem bronić jęj dla własnej satysfakcyi, tém bardziej, że po handlarzu staręj odzieży nie można sutego oczekiwać honorarium...

— Za tą starą odzieżą ukrywają się ciekawe rzeczy—odparł komisarz.

Po tém krótkim intermezzo nastąpił dalszy ciąg śledztwa. Komisarz jeszcze raz zazaądał kluczów, Herszko jeszcze raz odmówił. Wówczas komisarz zabrał pod pachę księgę, kazał obwinionemu iść za sobą, wezwał właściciela kamienicy i Hilberga i udał się z nimi na podwórze, a zatrzymawszy się przed okutemi drzwiami, rozkazał je ślusarzowi otworzyć.

Gdy wytrychy zazgrzytały w zamku, Hersz-

ka febryczne porwało drzenie. Nie mógł o własnych siłach na nogach się utrzymać. Policjanci musieli ująć go pod ramiona. Bełkotał coś do siebie niezrozumiałym językiem, jakby w obłąkaniu i z przerażeniem spoglądał na powolną robotę ślusarza, który po otworzeniu zamku przekonał się, że drzwi były ze środka zaryglowane.

— Więc musi być drugie wejście — odezwał się komisarz.

Właściciel kamienicy ścisnął ramionami.

— Nie wiem o inném wejściu...

Komisarz posłał policyantów na rekonesans, a sam zaczął przemawiać do Herszka:

— Nacóż ci władzę na takie narazić trudy?.. Sam widzisz, że nie odstąpię od natychmiastowej rewizyi składów... Więc lepiej pokaż wejście, daj klucze i zrzuć z siebie odpowiedzialność za upór w zaprzeczaniu występku...

Herszko nie odpowiedział komisarzowi, lecz się zwrócił do Hilberga.

— Panie adwokacie, te składki do mnie nie należą... Należą, jak właściciel kamienicy twierdzi, do jakiegoś Brinka... Powiedz mi pan, czy wolno, w nieobecności istotnego wła-



ściciela, odrywać zamki i odbywać rewizyą?..  
Wszak to gwałt...

— Należałoby właściciela sprowadzić—odrzekł Hilberg.

— A nim on przybędzie, opieczętować składy i postawić warty...

— Tak jest...

— Powiedźże pan to komisarzowi... Bo chociaż te składy do mnie nie należą, ale odwrócenie gwałtu należy do każdego człowieka... Jest to rzeczą sumienia, które tak samo obowiązuje i mnie, i pana, i każdego...

— Nie przystoi mówić o sumieniu tobie, coś się bawił lichwą i złodziejstwem—odezwał się komisarz.

— Złodziejstwem?!.. ja?! — krzyknął Herszko, któremu twarz spąsowiała od nagłego uderzenia krwi.

— Mamy w policyi uwiadomienie o zginieniu klejnotów ze skarbca księżny O... i jest silne podejrzenie, że te klejnoty w twojem znajdują się posiadaniu...

— O! — zawołał Herszko, — to coś nowego... Ja o żadnej księżnie O... w mojem życiu nigdy nie słyszałem...

W tej chwili wysłani na zwiady policyjanci powrócili z uwiadomieniem, że żadnego wejścia nie znaleźli.

— Cóż tu robić? — zapytał komisarz ślusarza. — Drzwi trzeba otworzyć koniecznie...

— Innego sposobu niema — odpowiedział ślusarz, — tylko przepiłować drzewo i przez otwór w drzewie usunąć sztabę, która musi być żelazną...

— Piłuj...

Ślusarz wziął się do roboty, którą odbywać musiał przy latarni, nim bowiem ukończoną została rewizya w sklepie i pomieszkaniu, słońce zaszło i noc coraz bardziej wciągała na siebie gwiazdzisty swój płaszcz. Lecz gwiazdy świeciły sobie gdzieś tam w górze, same dla siebie lub dla tych, co mieli ochotę im się przypatrywać, a tu na ziemi, na podwórzu Herszkowego pomieszkania, trzeba było kilku światel: jednego dla oświetlenia trzymanego pod wartą dwóch ludzi kupczyka, drugiego dla oświetlenia trzymanego pod wartą czterech ludzi Herszka, trzeciego dla przyświećania komisarzowi, czwartego, piątego i szóstego, dla czuwających w różnych miejscach policyjantów, siódmego i ósmego dla pracującego ślusarza.

Hilberg stał w cieniu i z uśmiechem przypatrywał się obrazowi jaki miał przed oczami. Widział spokój komisarza, obojętność policyantów, przestrach kupczyka, rozpacz Herszka, ciekawość właściciela kamienicy i zawziętość piłującego ślusarza. Wszystkie te objawy uczuć połączyły się w różne grupy, rozrzucone na śmieciach ciasnego podwórza i ubrane w ramy wysokich murów, opatrzonych szlakami okien, w których widać było sylwety ciekawych lokatorów. Nad tym obrazem, w górze, świecił kawałek gwiaździstego nieba.

Drzwi wreszcie odskoczyły; spocony ślusarz otarł czoło rękawem, splunął i odetchnął. Komisarz zbliżył się z latarnią i wysuwając ją naprzód, z progu oświecił wnętrze korytarza.

— Tu pustki — rzekł głośno. — Jeszcze dwoje drzwi pozostaje do otworzenia... Za mną!..

Komisarz najprzód, a za nim policyanci, obaj trzymani pod wartą, właściciel kamienicy i Hilberg weszli do korytarza.

Ślusarz wziął się do otwierania drzwi od jednej z izb. Pokręcił kilka razy wytrychem i otworzył. Tak samo poszło mu z drugimi drzwiami. Uwagę ślusarza zwróciło to, że je-

dne i drugie drzwi były zamknięte jakby tymczasowie, naprędcie, nie na wszystkie zamki i nie na wszystkie spusty.

— Gdyby nie to, musiałbym znów piłować — rzekł do komisarza.

Komisarz, na progu stojąc, oświecił wnętrze jednej izby. Był to skład klejnotów.

— Panowie, proszę za mną — rzekł zwracając mowę do właściciela kamienicy i Hilberga. Na policyantów skinął, ażeby wprowadzili Herszka.

Gdy weszli i obejrzel się, komisarz się odezwał:

— Trzebaby spisać inwentarz tego wszystkiego... To praca długa... Więc ograniczę się dziś na skonstatowaniu niektórych informacji... Czego tu najwięcej? — zapytał przyglądając się szafom. — A, złotych zegarków.

Przeczytał numer przyczepiony do jednego z zegarków i wyszukał ten sam numer w księdze. W księdze było zanotowane: „frak, sajeta, pięć plam“. Przeczytał numer przy drugim zegarku i znów w księdze znalazł: „frak, sajeta, trzy plamy“. Przy trzecim i czwartym, to samo, z różnicą co do liczby plam.

— Cóż znaczą plamy?..

Obejrzał pierwszy zegarek i odpowiedział sam sobie:

— Aha... kamienie... Pięć plam, pięć kamieni; trzy plamy, trzy kamienie... Dowcipnie...

Zrobił jeszcze próbę na złotych obrączkach — i ta dała ten sam co pierwsza rezultat.

— Mam tu opis skradzionych u księżny O. klejnotów... Zobaczymy, czy nie dadzą się tu odszukać?..

Wyjął z zanadru papier, przeczytał i przepatrzył szafy. Tu znalazł kolczyk, tam broszkę, owdzie spinkę, gdzieindziej coś jeszcze.

— Dość... i reszta, zdaje się, da się tu odszukać... Przejdźmy do drugiego składu...

Przeszli. Tu oględziny bardzo prędko naprowadziły na odkrycie kasy otwartej.

Pomimo że była otwartą, komisarz zbliżył się do niej z wielką ostrożnością.

— Tu, panie, ma być strzelająca maszyna...

Obejrawszy jednakże z drobiazgową dokładnością drzwi i zawiasy, przekonał się, że kasa jest rzeczywiście otwartą.

— Ten pan Brink, to człowiek zapominający się...

I począł przeglądać szuflady.



— Zakłady dobroczynne nieźle się obłowią — rzekł, znalazłszy pieniądze.

Przez cały czas rewizyi Herszko zachował się dość spokojnie. Doznawał wprawdzie chwilami pewnego rodzaju febrycznego drżenia, lecz przy ogólném zajęciu, jakie odkryte skarby wzbudzały, nie zwracał na siebie niczyjej uwagi. Dopiero gdy komisarz odsunął szufladę, w której złożone były pieniądze, krzyknął spazmatycznie, dostał nerwowych kurczów i na cały głos się zaśmiał. Komisarz kazał go na wolne wyprowadzić powietrze, — następnie składy rządową opieczętował pieczęcią, przy pieczęciach postawił liczną wartę, której zalecił jaknajwiększą czujność i wezwał obecnych do protokołu, do pomieszkania Herszka.

Herszko tak osłabł, że go musiano wnieść i posadzić.

Komisarz zasiadł przy stoliku i rozpoczął zwykłe pytania:

— Jak się nazywasz?.. Ile masz lat?.. Jakiej jesteś religii?.. Gdzieś się urodził? itd. itd.

Na pytania te Herszko odpowiadał słabym głosem, bez długiego namysłu. Następne do-

piéro pytanie musiał komisarz po kilka razy powtórzyć:

— Czy znasz niejaką panią Helenę Dalman, zddomu Zawilską?..

— Znam — odpowiedział w końcu.

— Gdzieś ją poznał?..

— W Sabinowie...

— Czy i w jakich zostawałeś z nią stosunkach?..

— W żadnych...

— Po co bywałeś u niej co piątek o siódmiej rano?..

— Odwiedzałem ją niekiedy po stariej znajomości...

— Czy ci dawała jakie pieniądze?..

— Nie dawała...

— Co się stało z jej posagiem?..

— Nie wiem... itd. itd.

Najdziwniejszemi wydały się mu zapytania, odnoszące się do ostatnich jego z Heleną rozmów, wymieniające jaknajszczegółowiej summy w ostatnie cztery piątki Helenie wręczone. Na te pytania dał stanowcze zaprzeczenie.

Po skończeniu protokołu, komisarz posłał po fiakr i kazał wyprowadzić Herszka. Dwaj policyjanci podtrzymywali go pod ramiona i,

otworzywszy drzwiczki od powozu, wsadzali go powoli, zwyczajnie jak chorego. Herszko ciężył im całym ciałem; sam komisarz musiał go podtrzymywać i podsadzać, bo z trudnością nogi dźwigał. W powozie zachwiał się—upadł na siedzenie i nagle — znikł.

— Łapaj! trzymaj! — rozległy się okrzyki.

Policyjanci otoczyli powóz, poskoczyli w prawo, w lewo: Herszka nigdzie nie było.

## XV.

---

Dla tych co widzieli akrobatów przez obręcz skaczących, łatwą do zrozumienia będzie ucieczka Herszka. Przyrowadzony fiaker, był to powóz z fordekiem, z siedzeniem z przodu i z tyłu, mający dwoje, jak zwykle, drzwiczek. Jedną stroną, przez otwarte drzwiczki, Herszko wszedł, drugą, poprzez zamknięte drzwiczki, wyskoczył — i nie uciekał, ale schował się pod powóz, chwytając rękami i nogami za drażek łączący ós przednią z tylną. Objął ten drażek i przylgnął do niego całą ciała długością. Noc posłużyła mu wybornie. Znikł, niby spadająca gwiazda. Wszelkie poszukiwania nie przydały się na nic. Fiaker odjechał, komisarz wrócił, w celu wzmocnienia wart przy drzwiach i na-

kazania jaknajwiększej czujności, a reszta policyjantów odmarszerowała, uprowadzając z sobą drżącego ze strachu ku pczyka.

W tém zdarzeniu osobistość Herszka podrzędną grała rolę. Głównie chodziło o złapanie na gorącym uczynku Heleny i wplątanie żony Oswalda w brzydką sprawę lichwy i złodziejstwa. Tak rzecz była przez Hilberga nastrojona. Lecz Helena uszła. Hilbergowi przeto w głównym jego zamiarze nie powiodło się. Nie powiodło się mu cisnąć piorunu, któryby wroga od jednego razu w proch powalił.

Helena uszła bardzo szczęśliwie. Jeden przypóźniony krok byłby ją zgubił. Agenci bezpieczeństwa publicznego właśnie wchodzili, kiedy ona, pchnięta przez Herszka, tylko co wyszła, i spotkali się z nią oko w oko, ale już na ulicy, gdzie wyglądała jak każda inna dama, idąca spieszenie i woalem zasłonięta. O kilka kroków dalej spotkała przejeżdżającą próżną doróżkę, zatrzymała ją, wsiadła i pojechała.

Nie wiedziała ona ani się domyślała, jakie jej wielkie groziło niebezpieczeństwo. Mimo to przestрах przejmował ją nawskróś. Drżała, w piersi czuła duszność, potrzebowała odetchnąć świeżem powietrzem. Kazała się przeto



wieźć do ogrodu publicznego, przed którym wysiadłszy, zapłaciła fiakrowi i w cieniste puściła się aleje. Nogi pod nią dygotały, serce było gwałtownym ruchem, zimny pot ją oblewał. Szła szybko i, gdy się rozgrzała, powoli, powoli powróciły jej spokój duszy i pogoda umysłu. Zaczęła powolniejszym przechadzać się krokiem, zaczęła rozmyślać nad tém co zaszło. Nie umiała sobie z tego jasnej zdać sprawy, tylko przeczucie nasuwało jej na myśl zapytanie:

— Co się stanie z Herszkiem?..

— Herszko pójdzie na galery— wyśpiewał tuż za nią głos jakiś, na nutę jednej z rozposzechnionych podówczas ulicznych piosenek. Głosowi towarzyszył ciężki chód człowieka za nią idącego. Helena, strwożona, przyspieszyła kroku; lecz i człowiek kroku przyspieszył, wciąż śpiewając:

— Herszko pójdzie na galery... tra la la, tra la la...

Helena bała się obejrzeć za siebie. Puściła się szybko, wybiegła z ogrodu, skinęła na pierwszą lepszą dorózkę i z powozu dopiero ujrzała stojącą we wrotach ogrodu postać śpiewaka, który się ujął rękami w boki i śmiechem roz-

promienił czerwoną twarz. Nigdy go w życiu nie widziała. Był to Kilbling, który, spotkawszy przypadkiem żonę Oswalda, nie zaniechał sposobności rzucenia jój w ucho kilku wyrazów pociechy.

Ej! pociechaz to była... Helena ani wątpiła, że stanie się według zapowiedzi nieznanomego pijaka. Perspektywa straszna, okropna stanęła jój przed oczami. Zasłoniła oczy cieniuchną, woniejącą batystową chusteczką i — pierwszy może raz w życiu — zapłakała.

Zostawmy ją: niech płacze. Może łzy jój ulgę przyniosą.

Hilberg nie płakał, ale nie był wesół. Noc przepędził na rozmyślaniu. Oswald Fryderykę wtrącił do grobu: on chciał Helenę wtrącić do więzienia. Nie powiodło się mu. Tylko dla Oswalda i Heleny otworzył perspektywę niedostatku.

— Niedostatku? — zapytał sam siebie. — A nuż oni się do położenia swego zastosują?.. A nuż poprzestaną na małym?.. Ha, mogą być jeszcze szczęśliwi, bardzo szczęśliwi!..

Tego się lękał.

Rano, jak zwykle, stawił się u niego Kilbling.

— Cóż?.. jakże?.. Pan Ładyżyński w kozie?.. Hilberg opowiedział mu rzecz całą i podzielił się z nim obawą.

— Śmieć się z tego — odrzekł Kilbling. — Spróbuj odzwyczaić mnie od kieliszka... Nałogu nie zmienisz, a wielkie państwo jest także nałogiem i kto wie czy nie silniejszym niż pijaństwo... Oni teraz pójdą po pochyłości upadku i zobaczysz jakie w ostatniej chwili pyszne robią *salto mortale*... Spuść ty się już na nich samych i tylko zaabonuj sobie łożę, ażebyś mógł być widzem ostatniego aktu, jaki małżeństwo odegra... Zaczął on się dla nich wczoraj...

— Ale—dodał po chwili—ten Herszko, to chwyt... Gdybym nie był Kilblingiem, chciałbym być Herszkiem... Chlusnął jak szczupak i przepadł... Ale to bynajmniej rzeczy nie zmienia... On i na torturach byłby Heleny nie wydał...

Po rozstaniu się z Kilblingiem, udał się Hilberg do księżny i zdał jej po raz pierwszy szczegółową sprawę, ukrywając tylko udział jaki własną wzięł osobą w wykryciu składów Herszka i zatrudnienia jakiemu się oddawał. Całą tę rzecz zwał na karb policyi, która, podług niego, odkryć potrafiła stosunek jaki zach-

dził pomiędzy lichwiarzem a Heleną i korzyść jaką z tego Dalmanostwo ciągnęli.

— To straszne! — zawołała księżna, gdy do końca sprawozdania wysłuchała. — I niebo na takie monstra nie ma piorunów!..

— Teraz wszakże Oswald ma sposobność poprawienia się — zauważył Hilberg.

— Jako? — zapytała księżna.

— Niebo zesłało mu przestrozę... Od niego tylko zależy wydatki do dochodów zastosować, wziąć się do pracy i...

Księżna przerwała mu gestem przeczenia, połączonym z ironicznym uśmiechem, który w okamgnieniu zmieniła we wzniesienie oczu do góry i pobóże westchnienie.

— Daj Boże!.. Niczego bardziej nie pragnę jak poprawy tego człowieka, który tak ciężko Pana Boga obrażał...

— Poprawa jest mu tém potrzebniejszą, że ma żonę i dziecko...

Na wspomnienie Oswaldowej żony i dziecka, oczy księżny zaiskrzyły się, ale niby zapalem pobożności.

Nastąpiła chwila milczenia, po której księżna zapytała:

— Więc cały ich dochód stanowiły zyski z lichwy?..

— I pensja Oswalda, wynosząca około tysiąca dukatów...

— Bagatela... Ale z posagu pani Heleny...

— Nie pozostał ani złamany szeląg—dokończył Hilberg.

Księżna głową z wyrazem politowania pokiwała.

— Co się tyczy klejnotów, które jaśnie oświecona pani mnie powierzyła, to te zostały skradzione—dodał Hilberg z uśmiechem.

— Skradzione?.. co pan mówisz!.. Mój Boże!.. familijne pamiątki!—zawołała księżna.

— I już się odszukały — podchwycił Hilberg, zawsze z uśmiechem. — W imieniu j. o. pani policya dostała uwiadomienie i znalazła skradzione przedmioty w składach lichwiarza...

— No! proszę!.. to oni się i kradzieżą bawili?.. I Oswald do tego należał?.. O! jakże ten człowiek nisko upadł!.. jak nisko!.. mój Boże!.. Ileż to krzywdy ludzkiej ciąży na jego sumieniu!..

Oburzenie pobożne do wysokiego doszło stopnia. Wzniesione do góry i wyrazem trwogi napelnione oczy świadczyły o wstręcie, jakim



Oswald przejmował księżnę, — a o to właśnie Hilbergowi chodziło, albowiem lękał się ażeby pobożnej niewieście nie przyszło na myśl ratowanie upadającego. Zaspokojony pod tym względem, opuścił księżnę, układając sobie, przy pomocy zawartych w kamienicy N. znajomości, śledzić pochód Oswalda ku upadkowi.

Księżna, po rozmowie, nagle zmieniła postępowanie swoje. Jak przedtém, bez żadnej na pozór przyczyny, zamknęła się w absolutném odosobnieniu, tak teraz, bez żadnej również przyczyny, powróciła do świata. Z posadzek kościelnych, przerzuciła się na posadzki salonów. Zaczynając od hrabiny X, pojechała z wizytami do wszystkich starych znajomych, przez co stworzyła jeden z tych ewenementów, o których ludzie przez trzy dni dość nagadać się nie mogą, a po trzech dniach zapominają.

Powróciła do świata, ale nie pozbyła się pobożności. Salonom przybyła niewiasta — żywe wcielenie dewizy „*memento mori*“ — cierpka, kwaśna, natchniona, głęboką przejęta pogardą dla znikomości tego świata, rozkochana w kotach i w sobie i... Ale salony o tém ostatniém „i“ nic nie wiedziały. Księżna stała się dla nich tém, czém jest pieprz w potrawach—

pewnym rodzajem przyprawy *piquante*, gryzącej i piekącej. Eleganci i elegantki chórem śpiewali:

— Taka bogata! jeszcze młoda!.. a taka święta!..

Powszechném było mniemanie, że pójdzie wprost do nieba.

Tę świętą niewiastę zgrozą przejmowały wszelkie, z drogi którą sprawiedliwi idą, zbroczenia, jakich pełno na wielkim świecie. To też zgroza jój nie opuszczała. Była żywém zgrozy wcieleniem. Mimo to chodziła, „gdzie się schadzają grzesznicy“ i—co więcej, pilnie przysłuchiwała się wszystkiemu, co się grzechów tyczy.

Niedługo też czekając, miała sposobność wysłuchać krążącego po salonach opowiadania, o odkryciu „zakładu lichwiarskiego na wielką skalę, który obracał milionami“.

— Proszę księżny, co to za zgorzenie! — mówiła hrabina X.

— Jak taki zakład mógł istnieć? — zapytała Laura.

— Jak?.. Tajemnica jego istnienia nie jest tajemnicą — tu głos zniżyła: — zostawał pod opieką wysoko położonych osób...

— Co mówisz? hrabino! — wołała księżna zgrozą przejęta. — Czy to być może?.. Ten zakład był także ogniskiem złodziejstwa...

— Co mówisz? księżno! — wołała z kolei hrabina. — Czy to być może?..

— Najpewniej... Mogę o tem z całą mówić pewnością... W tym bowiem zakładzie znaleziono moje własne klejnoty... Ale mi nie o wysoko położonych osobach nie mówiono... Mówiono mi tylko o jakimś Zydzie...

— Który uciekł — dodała hrabina — uciekł w sposób nadzwyczajny... Sama ta jego ucieczka daje wiele do myślenia... Nie obeszło się przy niej bez wpływów... Jest to...

— Hrabino — przerwała księżna, wyciągając ku niej rękę z przestraczem w oczach — nie mów mi tego nazwiska... Nie do nas należy sąd o ludziach... Niech Bóg ich sędzi... (tu oczy wzniosła). My wszyscy ułomni...

Hrabina nie wymówiła nazwiska, które pod sekretem z ust do ust chodziło, i pomyślała sobie w duchu:

— Ona doprawdy święta... Nawet nie ciekawa...

Niepodobieństwem było, ażeby nasza święta nie spotkała się w salonach z panem i panią

Dalman. To też to niepodobieństwo nie stało się. Ale z Oswaldem nie wznawiała, z Heleną nie zabięrała znajomości. Oboje oni traktowani przez nią byli z wysokości jak można najbardziej książęcej. Zaledwo raczyła spoglądać niekiedy na płazy, które nieraz obok niej zasiadały. A ile razy to się zdarzyło, z jej ust natchnionych płynęły pełne pomazania wyrazy, nawijające się około myśli zawartej w przypowieściach o synu marnotrawnym, o owieczce odszukanęj, o 'grzeszniku pokutę czyniącym, albo też w zasadach żalu za grzechy, pokuty, poprawy, pokory i t. p. Niewyczerpaną była, zwłaszcza w obecności Oswalda, w tych rozmowach, których skutek był ten, że nikogo nie nawróciły, a wszystkich znudziły. Przyznawano chętnie Laurze świętość, ale przytęm i dziwactwo, które świętość wstrętną czyniło. Nad tę świętą przekładało grzesznicę Helenę, o której straszne pod sekretem rozpowiadano rzeczy.

Widzi z tego czytelnik, że pomimo szczęśliwego wyslizgnięcia się Heleny i ucieczki Herszka, pomimo że Hilbergowi nie udało się posadzić ich obok siebie na ławie oskarżonych, opinia publiczna uwiadomioną była

o wszystkiem—co mówię!—więcej niż o wszystkiem, bo o takich rzeczach, które się ani Oswaldowi, ani Helenie, ani Herszkowi nie śniły. Wytworzono bowiem kombinacją, której dwie wersje za niezawodne uchodziły prawdy. Według jednej z tych wersji, Helena miała dwóch mężów, jednego *de facto*, drugiego *de nomine*, i tym ostatnim był jakoby Oswald, który dawał firmę i w zamian należał do pewnej części zysków. Miało się to dziać za wiedzą i wolą Oswalda. Druga wersja tém się od pierwszej różniła, że zaprzeczała wiedzy i woli nominalnego męża. Pierwsza jednakże otrzymała ostatecznie uznanie, a to dlatego, że Herszko przyjechał wraz z Oswaldem i że co piątek, w biały dzień, odwiedzał Helenę.

Skandalicznej tej tedy historyi nie brakowało niczego. Helena była zbrukana, a z nią i Oswald. Mimo to żadne drzwi nie zamknęły się przed nimi, nikt do nich nie odwracał się plecami. Przeciwnie: Oswald i Helena wystąpili na tle salonowej jednostajności, otoczeni nowym blaskiem, jako bohater i heroina skandalu. Tacy świetni, piękni, wypieszczeni i w takich brudach skąpani, przedstawiali kontrast— a, jak wiadomo, nie w takim stopniu jak kon-



trasty nie budzi interesu. Przytém w ich istnieniu tkwiła zagadka:

— Czy są zruinowani?..

Przed rozwiązaniem tej zagadki, opinia publiczna żadnego nie czuła się mocną wydawać wyroku. Jeżeli bowiem nie są zruinowani, jeżeli, jak powszechnie twierdzono, skład Herszka był filią głównego składu, znajdującego się w kamienicy N. i zawierającego niekompromitujące przedmioty, jakimi są miliony w gotówce, w takim razie absolucją zapewnioną mieli z góry, absolucją przez skandal uwydatnioną. Jeżeli zaś owe miliony w gotówce były utworem czyjéjś fantazyi, wówczas opinia publiczna do wydania wyroku potępienia dosyć miała czasu. Nie spieszyła się więc z wyrokiem. Towarzystwo z uśmiechem na ustach, serdeczniejszym niż przedtem, przyjmowało zajmującą parę.

A ta para znajdowała się w położeniu, które dla niej saméj nie było jasnym. Oswald o niczem nie wiedział. Helena wiedziała, ale nie o wszystkiem — wiedziała o ciosie jaki spadł, lecz nie o zaradczych środkach, z pomiędzy których jeden tylko na myśl jéj przyszedł i ten jeden wybrała. Był nim: impertynencki

pochód naprzód. Już raz w życiu z toni wyratowana geniuszem Herszka, uwierzyła w swoją gwiazdę i spuściła się na niespodziany raturek. Zapłakała, łzy otarła i nazajutrz po katastrofie, z pogodą na czole, spokojem w oczach i uśmiechem na ustach, wystąpiła na deskach tej sceny, z której powinna była zejść. Świetna pani Dalman, świetniała jak zwykle i nawet bardziej niż zwykle, bo dała u siebie dla śmietanki towarzysztwa bal kostiumowy, na którym wystąpiła w stroju tak gustownym i kosztownym, że znawcy dużo mieli o nim do mówienia.

Ale ten strój był na kredyt, wystąpienie także na kredyt, życie nawet na kredyt. Dotychczasowi dostarczyciele, regularnie płaceni, dosyłali wszystkiego — na kredyt. Cała służba służyła na kredyt. Helena używała i nadużywała kredytu, wierząc wciąż w zbawcę, który niespodzianie się zjawi i pełną sypnie jej garścią.

Lecz zbawca się nie zjawiał, a kredyt się wyczerpywał. Przyszło do tego, że na drobne wydatki nie było już ani grosza, a wierzyciele poczęli grube przysyłać rachunki, których spłacenie Helena obiecywała w jaknajkrót-

szym czasie. Wierzycciele grzecznie się kłania-  
li, pamięci i względom polecali i na złe czasy  
narzekali. Z nimi jeszcze szło jako tako. Pier-  
wsze zajście, które naszej bohaterce dotkliwie  
czuć się dało, było zajście z mężem.

Oswald, jako mąż poważny i człowiek do-  
brego tonu, grywał co wieczór w wista, punkt  
po pięćdziesiąt dukatów. Była to gra wcale  
nie hazardowna, w której jednakże można było  
zostać wygranym lub przegranym dwadzieścia  
lub trzydzieści tysięcy złotych. Wygraną zwykle  
spłacał przegraną, a jeżeli mu kiedy zabrakło,  
zgłaszał się do żony po pożyczkę kilku tysięcy  
złotych. Zwykle gra kończyła się około pół-  
nocy, a rachunki załatwiała się nazajutrz około  
jedenastej rano. Przegraną wygranym odsy-  
łali przez kamerdynerów długi honorowe.

Zdarzyło się, że kiedy Helena nie posiadała  
ani grosza i kilku już wierzycieli spłaciła  
obietnicą, Oswald na zaspokojenie honorowego  
długu zapotrzebował — bagateli — pięciu ty-  
sięcy złotych.

— *A propos* — rzekł do niej przy śniada-  
niu — muszę u ciebie zaciągnąć dług...

Helena spłonęła i wyjąkała fatalne:

— Nie mam...

— Pięciu tysięcy złotych?..

— Ani pięciu złotych...

— Muszę zapłacić dziś, koniecznie... dług honorowy...

Helena za całą odpowiedź ciężko westchnęła.

— Na taką bagatelę nie znajdę u pani kredytu? — zapytał cierpko.

— Nie mam — powtórzyła Helena.

— A! — rzekł wstając — niech mi pani wybaczy, ale to... niegodnie!..

— Niegodnie! — zawołała Helena z przyciskiem. — To pan chyba zapomniał, że mu nigdy nie odmawiała...

— Bo przyjemność odmówienia zachowała pani sobie na chwilę, w której nieuiszczenie się z długu postawiłoby mnie w oczach ludzi jako gamena, z którym wdawać się nie warto...

— Mojem dotychczasowem postępowaniem nie zasłużyłam na podobne insynuacye...

— Więc mi pani stanowczo pięciu tysięcy złotych odmawia?..

— Nie mam! — krzyknęła Helena głosem rozpaczcy.

Oswald drzwiami trzasnął i wyszedł.

W kilka dni później nastąpiło drugie zaj-

ście, w tym samym rodzaju i z tego samego powodu. Szło już nie o pięć tysięcy, ale o pięćset złotych. Oswald z wielką cierpkością powiedział, że przeszłym razem pożyczyć musiał na rachunek swojej pensyi; tym jednakże razem spodziewa się, że pani nie zechce podobnej dopuścić ostateczności.

— Dla honoru domu, jeżeli nie dla czego innego — rzekł kończąc.

Wówczas Helena oświadczyła mu wręcz, że jest:

— *Au bout des ressources...*

Oswald się głośno roześmiał.

— Więc ów niewyczerpany posag wyczerpnął się... Więc stało się, čom przewidywał... Więc w końcu pokazało się, że wypadało słu-chać meża, który dobrze radził...

Helena doskonale rozumiała, co Oswald miał na myśli, lecz udała że nie rozumie.

— Czy pamiętasz pani tę chwilę, w której mówiliśmy ze sobą o regule odciągania?.. Postawiłem się wówczas wyraźnie, jako mąż wyrozumiały i (tu nacisk położył) niezazdrosny... Była to chwila, w której u nóg pani legli Samsony, Krezusy i Rotszyldy... Była to piękna chwila dla pani i dla najniższego jej sługi, tak



mało wymagającego męża... Wówczas kazałaś mi być spokojnym... Byłem spokojnym i... cóż zyskałem?.. Nędznych tysiąc niespełna dukatów pensyi, przy której doczekałem się tego, że zbudowany rękami pani gmach runął... Piękna chwila minęła... Dla Samsonów, Krezusów i Rotszyldów przekwitła piękność jest pięknoscią przekwitła, a dla nas otwiera się sielankowa perspektywa skromnego życia w małym domku, o jednej słudze i mnóstwie dzieci, tej koniecznej w sielankowym obrazku ilustracyi... Czy pani kazesz mi jeszcze być spokojnym?..

Resztką pozostałości dawnych czasów, kobięca miłość własna, obudziła się w Helenie i całą jej krew ogniem zapaliła. Na długą przemowę męża odpowiedziała jednym wyrazem, który przez zęby jej precisnął się jak syknięcie gadziny:

— Nikczemny!..

— Cha cha cha! — zaśmiał się Oswald, rozwalając się na szezłagu i nogi wyciągając. — Nie sama jedna pani o mnie to powie!.. Powiedzą i ci, którym długów honorowych nie płacę... Ale nikt się może nie domyśli, że na nikczemnika wykierowała mnie najczulsza małżon-

ka, która wyżej ceniła, co?.. cnotę!.. cha cha cha!.. niż istotny męża i własny spokój...

— Czy myślisz pani — zapytał podnosząc się i drwiący wyraz twarzy nadając— czy myślisz, że jest choć jedna żywa ludzka istota w rzekomą twoją cnotę wierząca?.. Czy myślisz że ja w nią wierzę?..

— Milcz!— krzyknęła Helena. — Milcz!..

Wstała i wyprostowała się. Gładkie jej czoło pokryło się zmarszczkami, które we dwa pęki nad brwiami się zebrały. Twarz jej pokryła się czerwonymi plamami, a usta pobieleły i drżały. Z oczów strzeliły błyskawice wściekłości. Furja gniewu, groźna, wspaniała— zachwycającą była w tym gniewie.

Mówić nie mogła. W wyrazie „milcz!“ zesrodkowała wszystko, coby mogła powiedzieć. Cisnęła go całą płuc siłą i odeszła. Lecz przy drzwiach zaskoczył jej drogę Oswald. Stała.

— Niech pani raczy wrócić i usiąść... Małżeństwo, które przykładowie dziesięć blisko lat z sobą przeżyło, nie rozstaje się tak... Potrzeba ażebyśmy się rozmówili... ostatecznie...

Wróciła, usiadła i po chwili, uspokajając się zupełnie, suchym głosem rzekła:

— Słucham...

— Nie będę cierpliwości pani nadużywał... Po takiem uniesieniu potrzebuje pani dla ciała spoczynku, dla umysłu rozrywki... Spoczynek przyjdzie sam przez się, z oddaleniem się mojej osoby... Na rozrywkę dam pani propozycją następującej osnowy, propozycją którą wyciągam z samej natury spółki jaka pomiędzy nami istniała... Oczywiście, spółka ta musi się zerwać... Owóż chodzi o to, ażebyśmy, i jedno i drugie, wynieśli z niej jaką taką korzyść, którą zapewnić jedynie może ustąpienie swojej części komuś trzeciemu i wzięcie w zamian za to odpowiedniego odstępnego...

Helena uśmiechnęła się i skrzywiła.

— Niech się pani nie krzywi — ciągnął Oswald. — Jakiego rodzaju są przyczyny, takiego samego muszą być i następstwa... Wymaga tego prosta, najzdrowsza logika... Niech pani to nie zraza, że nazywam rzeczy po imieniu... Wymaga tego jasność i zwięzłość propozycji, opartej na tém, że w spółce naszej moją częścią, którą odstąpić mogę, jest pani, pani częścią jestem ja... Innego wyjścia nie mamy, chyba sielankowe, którego, ponieważ całym ciężarem spada na mój żołądek, nie przyjmuję... Oto moja propozycja: albo ja odstąpię panią, albo

pani odstap mnie... Niech pani nad tém pomyśli i da mi w najkrótszym czasie odpowiedź... Tymczasem... do zobaczenia...

Domawiając ostatnich frazesów, wstał, wciągnął rękawiczki, wziął kapelusz i laskę, skłonił się i wyszedł.

W tej samej chwili przed kamienicą N. zatrzymała się elegancka karéta, z której wysiadł poważny w średnim wieku mężczyzna, ubrany z wyszukanością dorobkiewicza. Miał na sobie frak prosto z igły, według ostatniej skrojony mody, takie same spodnie, mocno błyszczące obuwie i kosztowną kamizelkę, z pod której wyglądały zaboty cieniutkiej bielizny. Wysokie kołnierzyki podpięrały mu uszy, a sute breloki spadały na poważnie zaokrąglony brzuch. Jegomość ten na schodach spotkał się z Oswaldem, lecz się z nim rozminął bez wymienienia powitania. W przedpokoju wręczył kamerdynerowi kartę wizytową i zapieczętowany bilecik, zaadresowany do Heleny. Na karcie w rogu była korona szlachecka i nazwisko br. (co znaczy baron) Alfred Kalb. Kamerdyner kartę i bilecik złożył na tacy i poniósł pod adresem.

Helena rzuciła na kartę okiem i cisnęła ją

na stół,—rozerwała pieczęć, przebiegła oczami pismo i krzyknęła:

— Ach!..

↳ natychmiast potem, z gorączkowym pośpiechem, rzekła do kamerdynera:

— Prosić...

Bilecik był następującej osnowy:

— „Niech pani natychmiast da baronowi posłuchanie sam na sam.“ — „Herszko.“

Baron wszedł. Helena podniosła się na powitanie. Baron usta otworzył i kilka wyrazów przemówił. Helena padła w fotel, oczy jej strzeły radością i zawołała:

— Nigdy w świecie nie poznałabym ciebie, gdyby nie głos!.. Takeś się odmienił!..

— Człowiek, gdy ma głowę na karku, to potrafi być wszystkiem... Z Herszka zrobiłem się baronem i bardzo mi z tém dobrze, tém lepiej, że oto znów jestem na usługi pani...

— Żle z nami, mój Herszku...

— A źle... ale...

— Cóż, ale?..

Cała postać Heleny wyrażała radość, niecierpliwość i ciekawość, zlane w jedno.

— Ponieważ jestem baronem, niech mnie pani siedzieć poprosi...



— Siadaj i mów prędko.

Herszko usiadł, chrząknął, uśmiechnął się i odparł:

— Nie jest tak źle, jak pani myśli, to jest, może być lepiej, jeżeli pani zechce...

— Zechcę!.. ach, zechcę!—podchwyciła Helena. — Nie może być gorzej jak jest... Wyobraź sobie, mój Herszku — dodała tonem skargi — mąż chce mnie przehandlować za odstępnę...

— Odstąp pani męża — przerwał Herszko, robiąc ręką gest odtrącający.—Ja pani następcę kupca...

— Zartujesz — rzekła przeciągle Helena.

— Czy pani zna niejakiego Hilberga?..

— Nie...

— Adwokata, który z mężem pani chodził razem na uniwersytet i któremu mąż pani porwał narzeczoną?..

— Nie...

— Czy pani zna niejakiego Kilblinga?..

— Nie...

— Pijaka, który także z mężem pani chodził na uniwersytet i który pani w ogrodzie śpiewał „Herszko pójdzie na galery, tra la la?..“

— A! widziałam go z daleka, ale go nie znam...

— Szkoda, to człowiek nieoszacowany... Od niego dowiedziałem się, z kąd się złe wzięło i jak je naprawić...

A nie dając Helenie przyjść do słowa, dalej pytał:

— Czy zna pani księżnę O?..

— Nie... Spotykałam ją w świecie, ale nie zabrałam z nią znajomości...

— To zabierz pani teraz... Ona to jest kupcem, z którym pani doskonały zrobi interes... Ona pani gotówką i dobrze zapłaci...

— Ależ ona!.. Herszku?.. taka święta!..

— No!—zawołał Herszko z uśmiechem, podnosząc rękę, jedno oko przymrużając i zapominając że jest baronem — my się na tych świętościach znamy... Ona święta?.. Ona chce pójść do nieba, ale nie sama... Dla niej niebo bez kotów i bez męża pani nie będzie niebem... Niech-no pani do niej pojedzie...

— Ja?!..—podchwyciła żywo Helena—mam do niej jechać?..

— Kiedy ja mówię, to niech pani do niej jedzie... Ja już u niej byłem nieraz... ja, baron von Kalb... i całą rzecz ułożyłem... Powia-

dam wyraźnie: ona gotówką i dobrze zapłaci, byle mózgi męża pani zabrać ze sobą do nieba...

— Wytłumacz się jaśniej... Mnie w głowie się maści... Nic a nic nie rozumiem...

— Co tu tłumaczyć?.. Kiedy policja przyszła na rewizyję i śledztwo, wszystko wydało się mi naturalnem i w porządku, wyjąwszy jedną rzecz: posądzenia o kradzież klejnotów księżny O. Wiedziałem doskonale, kto te klejnoty przynosił i zastawiał... Był to Kilbling... Natychmiast przyszło mi do głowy podejrzenie jakiejś kabały i zaraz po ucieczce i zapewnieniu sobie bezpieczeństwa, odszukałem tego Kilblinga, który udaje bardzo mądrego i chce świat przekonać, że wódka do rozumu pomaga... Ja jemu pomagałem i za język ciągnąłem; a on mi wszystko wyśpiewał...

Tu opowiedział o nośnych pod kanapą i stołem Hilberga zasadzkach, o powodzie nienawiści tego ostatniego do Oswalda, o stosunkach jego z księżną — i tak dalej ciągnął:

— Nietrudno mi więc było zmiarkować, że w kabale tej księżna gra rolę, o której warto coś wiedzieć... Jako baronowi, łatwo mi przyszło zbliżyć się do księżny, zawiązać z nią rozmowę o zepsuciu tego świata, nakierować ją na

Oswalda i dowiedzieć się od niój, iż pani, głównie pani, nikt tylko pani, jest przyczyną, że Oswald prostą drogą idzie do piekła; że gdyby go z rąk pani wydrzeć, to może pójść jeszcze do nieba... Postrzegłem, że księżnie bardzo chodzi o niebo dla męża pani i zachciałem wiedzieć dlaczego?.. Nietrudno mi było dowiedzieć się o tém od ludzi pamiętających dawne dzieje... Nietrudno mi było także naprowadzić księżnę na to, że gdyby zbawienie męża pani kosztować miało trzykroć sto tysięcy złotych, to nie byłoby wcale przepłaconém... Ciekawa rzecz, czy bardzo będzie trudno panią namówić...

— To wszystko wydaje się mi nieprawdopodobném...

— Co to pani szkodzi przekonać się... Zresztą i ja tam będę... Przyjechałem karétą księżny i muszę natychmiast do niój powracać... Tam u niój, na stoliku, jest przygotowany pewien papier, który pani ma podpisać... Cóż mam jej powiedzieć?..

— Cóż?.. powiedz— wahała się Helena, myślała, głowę to na prawo to na lewo przechylając—powiedz że... przyjadę...

— Hurra! — krzyknął Herszko, zrywając

się. — Jadę, spieszę, uprzedzam i czekam na panią.

I bez pożegnania ruszył ku drzwiom, ale się zawrócił:

— Jeszcze jeden warunek... Pani zabierze Lorke i wyjedzie i kupi sobie wieś...

Helena ręką i głową znaki potwierdzenia dawała.

W półgodziny później stanęła w obec księżny, we własném téj ostatniéj pomieszkaniu.

Dziwném było spotkanie się tych dwóch kobiet. Helena usiłowała być poważną. Księżna przybrała taką minę, jakby miała do czynienia z szatanem. Cała jéj postać wyrażała: *retro satanas!*.. Dla wzmocnienia snadź swego stanowiska, otoczyła się kotami, pomiędzy któremi figurował wspaniały angora, złożony jéj w darze przez barona. Baron był także po jéj stronie: ze złożonemi pobożnie na brzuchu rękami, z przechyloną na bok głową, słodziutkim głosem, w którym głos Herszka zginął jak w przepaści, grał rolę pośrednika. Na stole leżał papier stemplowy— podanie o rozwód. Chodziło o to, ażeby Helena to podanie podpisała. Obok tego podania leżały weksle, płatne na okaziciela.

— W przekonaniu że spełnia dobry uczy-



nek, księżna proponuje pani ten podpis w zamian za te weksle — rzekł pośrednik i począł jeden weksel po drugim posuwać ku Helenie, za każdym posunięciem wymawiając głośno cyfrę i dodając takową do poprzednio wymienionój.

Helena milczała. W milczeniu zgarnęła pieniądze, wzięła pióro, podpisała i wyszła. Z za progu usłyszała wyrazy:

— Panie, zlituj się nad jawnogrześnicą!..

#### E P I L O G.

Oswald poszedł pomiędzy koty i zajął tak mocne stanowisko, że Hilberg, natężywszy umysł nad wyszukaniem nowego sposobu zemsty, sposobu nie wynalazł i... zwaryował. Kilbling utrzymywał, że powodem jego waryacyi był wstręt do wódki — choroba równie niebezpieczna jak wodowstręt, czyli wścieklizna.

— Bo czemuż-to ja nie zwaryowałem?.. — mawiał — ja, co także nad sposobem zemsty przemyśliwam, aż mi głowa o mało nie pęknie, ale nie pęka, bo nie daję mózgowi wysychać...

Oswaldowi było bardzo dobrze. Płacił regularnie długi honorowe i pędził żywot bez troski, wygodny i porządny.

Helena wyjechała na to, ażeby z jęj wyjazdu wynikła „cudna awantur girlanda,“ cudna! — powiadam ci, łaskawy czytelniku — tak cudna, że wszystkie te awantury, które w dwóch tomach pod tytułem „Helena“ zebrałem, są tylko prologiem do tomów bez liku.

W tych dwóch tomach (po napisaniu ich postrzegłem się na tém dopiero) wielki popelniłem bład. Nie wynagrodziłem cnoty, nie ukaraniem występku, nie poetyzowałem żadnej postaci. Fryderyka, aniołek, owiany kuchennym zapachem, legła w grobie; Helena, szatanek wcielony, dostała trzykroć sto tysięcy złotych; jeden tylko Oswald skazanym został na rekolekcyę, w którzech jednakże w końcu zagustował. Donnerstwo, po stracie córki, pocieszyli się synową. Pani Warring do samęj śmierci filozofowała. Słowem, wszystkim działa się niezłe nawet Hilbergowi, który straciwszy zmysły, stracił zarazem i świadomość nieszczęścia.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

**INSTYTUT  
BADAN I EDUKACJI CPAM**

Biblioteka  
ul. Nowy Świat 72  
00-350 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 12**











F

1244

2